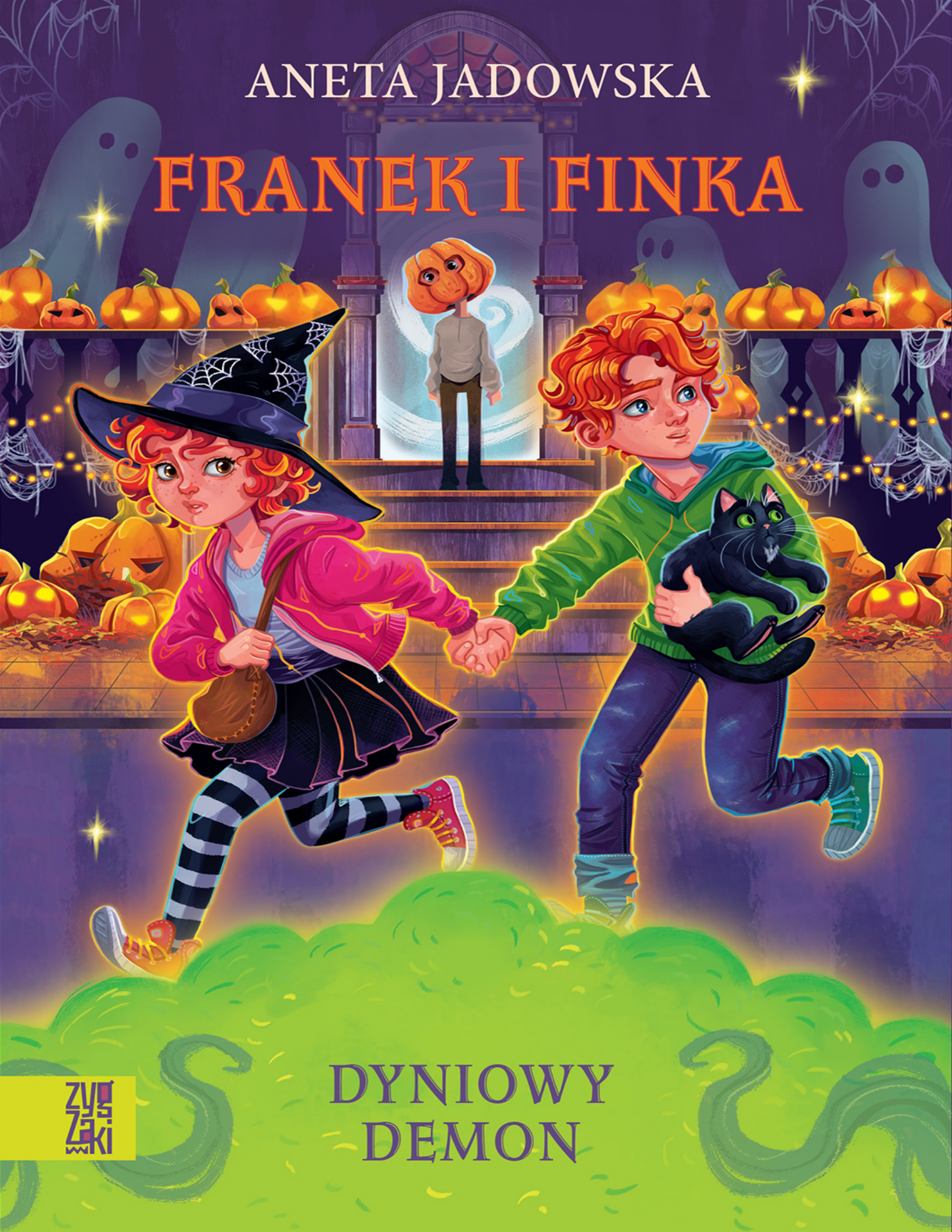


ANETA JADOWSKA

# FRANEK I FINKA



ZYS  
ZAKI

DYNIOWY  
DEMON





ANETA JADOWSKA



ilustrowała  
MAGDALENA BABIŃSKA

ZYG  
ZAKI

Copyright © [Aneta Jadowska](#), 2023

Copyright © [Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.](#), 2023

Redaktorka inicjująca • [Milena Buszkiewicz](#)

Redaktorka prowadząca • [Karolina Kisiołek](#)

Marketing i promocja • [Karolina Kisiołek](#)

Redakcja • [Karolina Borowiec-Pieniak](#)

Korekta • [Joanna Jeziorna-Kramarz](#), [Anna Nowak](#)

Projekt typograficzny wnętrza i łamanie • [Mateusz Czekala](#)

Projekt typograficzny okładki • [Magda Bloch](#)

Projekt okładki i ilustracje • [Magdalena Babińska](#)

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Tekst dziełowy w książce złożono krojem Albertina autorstwa Chrisa Branda.

eISBN 978-83-67727-81-5

## [Zygzaki](#)

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

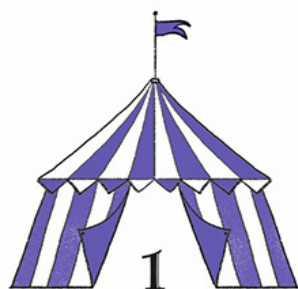
tel.: 61 853-99-10

[redakcja@zygzaki.pl](mailto:redakcja@zygzaki.pl)

[www.zygzaki.pl](http://www.zygzaki.pl)

*Marcie Kisiel, bez której wsparcia nie odważyłabym się pisać  
książek dla dzieci.*

*Poli, Tymkowi i Julce,  
bez których nie miałabym  
konkretnych powodów i nacisków, by to robić.*



## NIESPEŁNIONE MARZENIE BALTAZARA BĄCZKA O NUDZIE I PRZEWIDYWALNOŚCI

Baltazar Bączek, maestro cyrkowy, był przygotowany na to, by wszystko zaczęło się układać. By było przewidywalne, bezpieczne i ani odrobinę nie odbiegało od normy. Wolałby nawet stan nudy od tego, czego doświadczali on, jego trupa, a co gorsza – jego wnuki, przez ostatnie tygodnie. Skakali od jednej niebezpiecznej sytuacji do kolejnej! I dzieciaki zaczynały sądzić, że właśnie tak wygląda życie w cyrku! Oczywiście próbował im wyjaśnić, że to tylko przypadkowa kumulacja. Pech nawet! Że przez ostatnie kilka lat nigdy nawet nie zbliżył się do takiego zamieszania jak w te wakacje! Chyba nie całkiem mu wierzyli... Bo też i jakie mieli podstawy, by wierzyć swojemu dziadkowi, którego dopiero niedawno poznali i wyłowili z pamięci zduszonej na lata zaklęciem?

Baltazar Bączek był wielkim fanem przewidywalności. Na przykład lubił przewidywać, że gdy przyjadą do miasteczka, zostaną mile przyjęci, bo ludzie generalnie lubili rozrywki, a nie było wiele lepszych rozrywek na Rubieżach niż

cyrk. Lubił przewidywać, że dadzą kilka przedstawień i zarobią solidny grosz, który pozwoli im uzupełnić zapasy, dzięki czemu bez cienia stresu i niepokoju będą mogli pojechać do kolejnego miasteczka, gdzie zarówno miłe przyjęcie, jak i sukcesy – artystyczny i finansowy – powtórzą się jak w zegarku.

Bardzo cenił sobie tę powtarzalność, bo w nie zawsze bezpiecznych okolicznościach, jakie serwowało życie na Rubieżach, była ona gwarancją przetrwania, pełnych brzuchów jego załogi i całej skóry na ich karkach.

I tak właśnie było. Zwykle.

Tyle że tego lata, kiedy wreszcie mógł do cyrku sprowadzić swoje wnuki – jedenastoletnie bliźnięta, Franka i Finkę – wszystko szło jak po grudzie. Jak to powiedziała Branwen, ich cyrkowa wiedźma, rozwiązała się sakiewka z przygodami. Psia jego mać.

Sylwester Żuczek (odwieczny wróg Bączka, przy okazji przez lata główny konkurent, a obecnie poniekąd wspólnik) był nieco bardziej dosadny. Do uszu Baltazara dotarły plotki, które ten łachmyta rozsiewał za ich plecami – że bliźniaki przynosiły kompanii pecha i póki są w taborze, nic dobrego nie mogło cyrku spotkać. Baltazara te plotki rozsierdziły bardzo i powiedział Sylwestrowi więcej niż raz, co właściwie myśli o takim podejściu, ale ten nawet się z nim nie kłócił, a jedynie zdejmował swój szapoklak i rozwijał wielkie, słoniowe uszy, wachlował się nimi przez kilka chwil wielce wymownego milczenia i zakładał nakrycie głowy z powrotem.

Baltazar był dość uczciwy, by przyznać, że istnieje być może jakaś korelacja między obecnością dzieciaków w cyrku a słoniowymi uszami Sylwestra. Bo do niedawna ich nie miał, a teraz i owszem. Ale to, że pojawienie się bliźniąt w cyrku

i uszu słoniowych na głowie Sylwestra wystąpiło z grubsza w podobnym czasie, wcale nie oznaczało, że jego wnuki miały z tymi uszami cokolwiek wspólnego. Właściwie jeśli Sylwester mógł kogoś o nie winić, to wyłącznie siebie samego. I własny upór, z którego był znany. Gdyby posłuchał Baltazara i oddał zwierzęta cyrkowe do Sanktuarium zaraz po tym, jak ich cyrki się połączyły, nie byłoby ich w cyrkowym inwentarzu, kiedy spotkali wiedźmę Gaję, wnuczkę Baby Jagi, a wtedy nie rzuciłaby na nich wszystkich klątwy, nie byłoby całego zamieszania, w tym słoniowych uszu na głowie Sylwestra...

Bączek musiał też przyznać, że zmiany, które zaszły, odbiły się na Sylwestrze i jego cyrku bardziej. Bo i owszem, ze starej trupy Baltazara odeszło kilka osób – rodzina akrobatów jeszcze w czasie konkursu Letniego Dworu, gdy stawki podskoczyły, nie chciała ryzykować życia (co rozumiał i nie mógł ich o to winić), ale też po całej chryi z Gają kilkoro muzyków i pracowników technicznych wzięło „dłuższy urlop i być może wrócą jesienią”. Zostali w Sanktuarium i miasteczku tuż obok, załatwili sobie zlecenia na dancinгах i zostawili po sobie konkretną lukę w programie. Baltazar nigdy wcześniej nie musiał używać muzyki z magnetofonu w trakcie przedstawień, teraz nie bardzo miał inne wyjście.

Ale sytuacja Sylwestra była jeszcze trudniejsza. W Sanktuarium zostały nie tylko zwierzęta, ale też część treserów i opiekunów, spora część pracowników technicznych, kilku kierowców. Do Grodzisk dojechali już w mocno okrojonym składzie, a tam jeszcze trzy osoby z kompanii zdecydowały się pozostać w miasteczku na dłużej! Nagle brakowało im ludzi do prowadzenia ciężarówek ze sprzętem, konieczne było też zostawienie w wynajętym schowku drugiego namiotu i dużej części dekoracji, bo byli zmuszeni dosyć



mocno ograniczyć liczbę pojazdów. Sporo rzeczy udało się wpakować do autobusu Jewgienija, ale wciąż – mniej ludzi to mniej rąk do pracy i gorsza atmosfera już na starcie. Bączek rozumiał, że Sylwestrowi to doskwierało. Nie chodziło tylko o zwierzęta, ale też o tożsamość cyrku Żuczka, który nie chciał być wchłonięty przez cyrk rywala.

Baltazar poniekąd przyswajał to, że być może nagromadzenie wszystkich wypadków nieco nadwąttiło entuzjizm cyrkowej trupy wobec obecności bliźniąt. Bo jakkolwiek by na to patrzeć, to były dziwne wakacje.

Najpierw turniej cyrkowy, rzecz znana i przewidywalna od dobrych trzydziestu lat, pokomplikował się zupełnie i musieli się zjednoczyć z wrogim obozem, łącząc cyrk Jutrzenka z cyrkiem Solaris w nowy twór – cyrk Aurora Borealis – by uniknąć klątwy, śmierci i innych paskudstw, które na nich i na konkurs sprowadził Nero Mortus, nekromanta z Cyrku Martwych Makabresek. No ale przecież bliźnięta z jego pojawieniem się nie miały kompletnie nic wspólnego! Nie mogły wiedzieć, że snuł swój plan od lat i akurat w tym roku był gotów, by przystąpić do ostatniego etapu, po którym przejąłby elfi dwór i pewnie sporą część Rubieży. Członkowie obu cyrków powinni być raczej wdzięczni Frankowi i Fince, bo bez nich i bez ich magii być może wszyscy byliby dziś zupełnie martwi, a na pewno nie mieliby glejtu pozwalającego im bezpiecznie podróżować i występować w miasteczkach na Rubieżach!

A potem przecież ani Franio, ani Finka nie mieli nic wspólnego z burzą magiczną, która zwała im się na głowę nagle i nieoczekiwanie. I o kilka lat za wcześniej! Nikt nie był na nią specjalnie przygotowany w tym momencie. To nie z winy jego wnuków musieli się schronić w nieprzyjaznym

miasteczku. Nie przez nich też wzięła ich na celownik Gaja ze swoją klątwą.

Nie maczali też palców w niepokojącej zamianie Baltazara w Prosiaczka i na odwrót. Na samo wspomnienie Bączek aż się wzdrygnął i przez chwilę wydawało mu się, że wciąż ma ogonek, którym macha, nerwowo pochrumkując, bo ani pół słowa po ludzku nie może powiedzieć. To było bez wątpienia trudne doświadczenie, traumatyzujące nawet, i wracało do niego czasem w snach. Choć te, musiał przyznać, były dziwne, ale wcale nie straszne. Wylegiwał się w nich zwykle w kałuży z błotkiem i marzył o jabłuszkach, a one zawsze się potem znajdowały, podrzucone hojną ręką Karola...

No tak, stanowczo była to pechowa przygoda, ale przecież nie można było o nią winić bliźniąt. Absolutnie i w żadnym wypadku. Jeśli już, to należało im pogratulować odwagi i uporów, bo gdyby nie jego wnuki, być może wcale nie udałoby się zdjąć klątwy, a dziś połowa trupy chodziłaby na czworakach, zamieniona w kucyki, osły, słonie czy białe pudle...

I być może ktoś mógłby się czepiać, że wyplątując cyrk z tarapatów, bliźniaki wybrały niebezpieczną ścieżkę, która wiodła do przejętej przez Czarnoksiężnika Czerwonej Wieży. Tym samym wplątali się w grubą magiczną awanturę. Ale przecież to nie tak, że wiedzieli o tym, że szukając tam pomocy, skończą uwięzieni w lochach czy będą musieli uwolnić prawowitego właściciela wieży spod władzy zaklęcia, prawda? Nie było to, być może, przyjemne, na pewno okazało się straszne, ale też nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, a wiele dobrego z ich interwencji wyniknęło! Rodzina Leonidasa została uwolniona, Czerwona Wieża odzyskana, a do tego dziaduszek Niedźwiedź przypomniał sobie, jak się

zmieniać w człowieka, co natychmiast przełamało klątwę Gai. No przecież na lepsze rezultaty nie mogli liczyć!

Może i Baltazar by wołał, żeby się to wszystko nie wydarzyło. Żeby jechali sobie spokojnie od miasteczka do miasteczka, występując dla hojnej publiczności. Ale jeśli już musiało się zdarzyć, nie można było odmówić bliźniakom rozwiązywania problemów w sposób spektakularny i zawsze skuteczny. Baltazar Bączek był z Franka i Finki całkiem dumny, choć wołałby raczej, żeby do końca wakacji nudzili się w cyrku jak mopsy i nie wpadali więcej w żadne tarapaty.

Już się zaczynał nieco niepokoić, jak to wszystko przyjmie jego córeczka... Wcale nie śpieszyła się z wysyłaniem wnuków do cyrku i do dziadka. Gdyby nie choroba, operacja i wizja uciążliwej terapii, być może wcale by do tego nie doszło. A już na pewno nie w tym roku. Ale to była kolejna mało przyjemna okoliczność, z której Baltazar próbował wyciągnąć, co najlepsze, siłą wrodzonego optymizmu. Owszem, jego córeczka miała raka piersi, ale czuła się już dużo lepiej, a operacja przebiegła pomyślnie. Pisała do niego listy całkiem regularnie i czerpała sporo otuchy z tego, że dzieci nie zamartwiają się o jej stan, przeżywają przygodę życia z dziadkiem i dobrze się bawią. Bączek wołałby tylko, by ta przygoda była odrobinę mniej przygodowa, mniej niebezpieczna, a bardziej przewidywalna...

Ale nie zamierzał się tym zamartwiać zbyt długo. To byłoby wbrew naturze Baltazara. Był urodzonym optymistą. Jego szklanka była zawsze do połowy pełna, a woda w środku pyszna. Zupełnie nie widział sensu w tym, by martwić się na zapas. Zwłaszcza że najgorsze na pewno mieli za sobą, prawda?

Nie wiedział, że pomyślał to sobie w zupełnie złą godzinę i sam trochę rzucił losowi wyzwanie. Bo oto zaczynała się kolejna wielka przygoda Franka i Finki. I nic już nie mógł zrobić. Decyzja zapadła dużo wcześniej, kiedy postanowił wybrać bezpieczną drogę do Białych Wód, sporego, ludnego i przyjaznego miasteczka, w którym mieli umówione kilka dużych występów. Jeszcze nie wiedział, że nigdy tam nie dotrą. I że nic, co sobie zaplanował, nie dojdzie do skutku...

Nie mógł przewidzieć, że gdy prowadził dziarsko kampera po wąskiej, leśnej drodze, na czele cyrkowej karawany, z każdym kilometrem zbliżał się do nieuniknionego zagrożenia, obfitującego w duchy, demony, dynie i koty. Nie wiedział, że powinien zawrócić, a nawet gdyby wiedział – nie mieli dość paliwa czy zapasów, by starczyło ich na powrót do oddalonego o prawie dwa dni drogi miasteczka, z którego wyruszyli do Białych Wód.

Powinien był zawrócić, gdy tylko przed maskę samochodu wyskoczył spanikowany smok.

Oczywiście ktoś mógłby powiedzieć: Baltazarze, smoków należy z zasady unikać, zwłaszcza tych wzburzonych, ale Baltazar na swoją obronę miał to, że smoka tego znał od maleńkości i był on najlepszą przyjaciółką jego wnuczki, Finki. Miał na imię Sznurówka i prawie nigdy nie stanowił dla cyrku prawdziwego zagrożenia... No może poza tymi dniami, kiedy miał straszny katar i kichał ogniem, ale nawet wtedy nie spalił niczego specjalnie cennego...

Być może po zastanowieniu Baltazar mógłby przyznać, że właściwie już wtedy powinien się spodziewać kłopotów, ale przecież nie był wróżką! Był szanującym się bestiarem, maestrem najlepszego cyrku na Rubieżach i nigdy nie miał proroczych snów!



Zresztą, czy gdyby wyśnił to, co miało się wydarzyć, uwierzyłby choć jednej wizji? Pewnie nie. Pomyślałby, że może nie należało jeść ciasta przed snem, bo spanie z pełnym brzuszkiem ściągało na głowę dziwaczne obrazy.

Jednego był pewien – cokolwiek miało się wydarzyć, Franio i Finka nie ponosili za to żadnej winy i nie było w tych dzieciakach ani jednej pechowej kosteczki!



## DUŻO BUJANIA I SMOK OSTRZEGAWCZY

Finka nie miała nic przeciwko podróżowaniu. Uwielbiała dziadkowego kampera, który był jak wygodne mieszkanie na kółkach. Odkryła jednak, że mieszkanie na kółkach sprawdzają się dużo lepiej na równej drodze, nie zaś na ulicy, która wygląda, jakby była zrobiona z sera, a nocą dobrało się do niej stado myszy gigantów. Kiwało. Bujało. Podskakiwało. Kołysało się i potrząsało pasażerami jak kamyczkami w marakasach.

To miało dla Finki konkretne konsekwencje. Po pierwsze – istniało całkiem spore ryzyko, że całe to potrząsanie wytrząśnie z niej płatki, które zjadła na śniadanie kilka godzin temu. Po drugie – nawet gorsze – nie mogła czytać! Próbowała! Ułożyła się wygodnie na dolnej pryczy piętrowego łóżka, zapaliła swoją specjalną lampkę do czytania, owinęła się kocykiem, nie z powodu zimna, ale by przyjemnie zwiększyć poziom komfortu, i zabrała się do lektury. A była to lektura wciągająca! *Leksykon stworzeń i kreatur magicznych* Karoliny

Ferramo stał się ulubioną książką Finki, gdy odkryła, że istnieje magia, a z nią całe mnóstwo istot. Niektóre znała z baśni czy legend, a teraz przekonywała się, że istnieją naprawdę. Inne były całkowitą nowością. Finka czytała *Leksykon* w każdej wolnej chwili. Lubiła być przygotowana i lubiła wiedzieć. Chciała też wiedzieć więcej o swojej magii – a była ognistą bestiarką – więc oczywiście zwracała szczególnie wiele uwagi na wszystkie stworzenia powiązane z żywiołem ognia. Dotarła właśnie do rozdziału o dżinach i innych ognistych bytach demonicznych, ale nijak nie mogła skupić wzroku na linijkach tekstu. Przez to potrząsanie! Łapała ją choroba lokomocyjna, z zawrotami głowy i niespokojnym brzuszkiem, więc sfrustrowana odłożyła książkę pod poduszkę i sapnęła głośno.

Finka szczyliła się tym, że nigdy się nie nudzi. Nie miała takiego zwyczaju. Zawsze potrafiła znaleźć sobie rozrywki i zajęcie. Ale zamknięcie w kiwającej się puszcze na kółkach trochę zaczynało ją nużyć. Frankowi to nie przeszkadzało. Spał na górnej pryczy, mamrocząc co jakiś czas coś pod nosem czy machając to ręką, to stopą, jakby się od czegoś opędzał.

Finka wygrzebała się spod kocyka i wstała z łóżka. Spać nie zamierzała. Najchętniej pobawiłaby się ze Sznurówką, ale odkąd smoczyca całkiem wyzdrowiała i minął jej uporczywy katar z ognistymi kichnięciami, nie miała już ochoty spędzać w kamperze całego dnia. Wołała latać. I Finka nawet nie mogła mieć jej tego za złe. Po prostu troszkę tęskniła za pogaduchami, a nawet za ciasnotą, którą odczuwała, kiedy całkiem spory smok wciskał się na jej pryczę, bo potrzebował przytulasków i pociechy w chorobie. Od kilku dni Sznurówka, gdyby mogła, w ogóle by nie lądowała. „Rozprostowywała

skrzydełka”, szybowiała, wzbijała się najwyżej, jak mogła, albo przelatowała nad taborem cyrkowym z wysokim piskiem radości.

Przytrzymując się szafki i stolika, Finka przeszła na przód kampera. Wsunęła się za zasłonkę, do kabiny kierowcy, gdzie urzędował dziadek – Baltazar Bączek. W swoim fioletowym surducie i z cylindrem nasadzonym krzywo na czubek głowy, mamrotał coś gniewnie pod nosem i skręcał kołem kierownicy to w prawo, to w lewo, próbując ominąć dziury. Próżny trud – omijanie dziur jest możliwe tylko wtedy, gdy jest coś jeszcze poza nimi, tymczasem ta leśna droga nie słyszała o utwardzaniu, asfalcie czy jakimkolwiek tłuczniu. Była piaszczysta, kręta i składała się z podmytych deszczem dołków i kamienistychgórek, wyżłobionych głęboko kolein i kałuż.

– Długo jeszcze, dziadku? – zapytała Finka, opadając na fotel pasażera.

Kamper podskoczył tak mocno, że cylinder wyrzucił w podsufitkę i zjechał właścicielowi na czubek nosa. Baltazar Bączek ściągnął go z głowy i rzucił na półkę przed szybą. Kilka sekund później, przy kolejnym wertepie, cylinder spadł Fince na kolana, a dziadek sapnął.

– Jeszcze kawałek, nim dojedziemy do Białych Wód, ale wertepy skończą się szybciej. Za mostem powinna nas już witać całkiem cywilizowana i utwardzona droga. I mam nadzieję, że nikt do tego czasu nie zgubi zawieszenia czy zębów – dodał trochę ciszej, jakby do siebie, nie do wnuczki. A potem uśmiechnął się do niej promiennie. – Spodoba się wam w Białych Wodach! To piękne miasto, i to takie z prawdziwego zdarzenia! Jedno z większych po tej stronie Bramy. Gdyby nie ta cała awantura z Czerwoną Wieżą



i Sanktuarium, opóźnieniami względem planu, a potem kilkoma odwołanymi zaproszeniami, gdy rozeszło się, że cyrk obecnie funkcjonuje w nieco okrojonym składzie, i koniecznością zmiany trasy, jechalibyśmy tam z całkiem innej strony i w ogóle byśmy nie musieli zahaczać o Dziwny Las.

– Czemu tak się nazywa? – zapytała dziewczynka, z ciekawością wyglądając przez okno. Teraz, kiedy widziała drogę i dołki przed nimi, jej mózg trochę lepiej znosił to kołysanie i choroba lokomocyjna prawie całkiem jej minęła.

Baltazar Bączek skubnął brodę, zwlekając z odpowiedzią. Ale jeśli czegoś się nauczył o swojej wnuczce, to tego, że jeśli miała pytanie, dostanie odpowiedź i nie zawaha się czekać, nawet bardzo długo. I powtórzy je kilka razy, na wypadek gdyby miało mu umknąć.

– Bo naprawdę taki jest. Sporo dziwów tu mieszka. I dobrze, że nie musimy tędy jechać po zmroku. Czasem najgorsze, co się tu spotka w nocy, to błędne ogniki, które sprowadzają podróżnych na bagniska i ugory. Innym razem można tu wpaść na coś dużo gorszego. Na sporo takich stworzeń, których nawet w twoim leksykonie nie znajdziesz, bo Dziwny Las sam je sobie wymyślił i uwierzył w nie dostatecznie mocno, by zaistniały...

– A ludzie? Mieszkają w Dziwnym Lesie? – dopytywała zainteresowana.

– Nie, jeśli mają wybór. Normalnie wolę się tu nie zapuszczać, ale to najbliższy most w okolicy, a musimy przejechać nad rzeką. Kolejny jest dwa dni drogi dalej, a to już za długa przejażdżka na naszych zapasach paliwa.

Nie powiedział Fince o tym, że mieli go prawie na styk i w Białych Wodach będą tankować jak bardzo spragnione

wielbłądy. Tak to jest, jak trzeba zmienić trasę. I tak to jest, gdy sklep z zaopatrzeniem i stacja benzynowa, które jak byk wciąż były na mapie, w rzeczywistości pokryły się już dawno pajęczynami i wypadły z interesu pewnie kilka lat temu.

Drzewa ciasno otaczające drogę wyciągały w ich stronę gałęzie, które na tle zachmurzonego nieba wyglądały jak rozcapierzone palce – nieco złowrogo. Bączek nie dawał się ponieść wyobraźni, ale coś w tym lesie czochrało go pod włos bardziej, niż kiedy był tu ostatnio, jakieś dziesięć lat temu. Miał wrażenie, że coś stale zerka na nich z zarośli, a przez monotonny szum silnika kampera i aut jadących za nimi w kawalkadzie przebijał się nieco niepokojący dźwięk, który jako żywo przypominał ryczenie czy wycie. Magia Baltazara Bączka związana była ze zwierzętami. Jako bestiar potrafił się komunikować z większością ssaków. Ale to, co krążyło nieopodal drogi, nie należało do gromady ssaków. Baltazar nie miał pewności, czym dokładnie było, ale wyczuwał jego obecność i zaciekawienie. Nie przepadał za zaciekawieniem nieznanym mu bestii, zwłaszcza kiedy miał przy sobie wnuki. Przyspieszył więc trochę, by jeszcze szybciej dojechać do mostu. Po drugiej stronie rzeki las tracił swoją dziwność i kreatywność w kwestii potworów, co sprawiało, że Baltazar tamtą połowę lubił dużo bardziej.

Zarośla się przerzedzały, drzewa za to wydawały się coraz wyższe – znak niechybny, że zbliżali się do krawędzi. Już prawie widział żółty piasek brzegów rzeki i drewniany most spinający części lasu estetycznym łukiem.

Nagły wrzask zmroził mu krew w żyłach, a kiedy tuż przed szybą załopotały głośno błoniaste skrzydła, odruchowo wdepnął hamulec, zanim zderzył się ze smokiem.

Finka zerwała się z fotela i przycisnęła twarz do szyby.

– Sznuróweczko, co się dzieje? – zawołała.

A smok pisnął, zaćwierkał coś gwałtownie, po czym opadł na maskę kampera (a był już rozmiarów sporego cielęcia) i uderzał skrzydłami o boki auta.

– Nie możemy jechać dalej – oświadczyła Finka, bez problemu rozumiejąc smocze ćwierkanie.

– A to czemu? – zapytał zaskoczony Bączek.

– Sznurówka mówi, że tam jest przepaść – wyjaśniła.

– No jest, wąwóz, całkiem głęboki, a nim płynie żwawa rzeczka. Ale my przejedziemy nad nią mostem – tłumaczył Bączek, oczekując, że wnuczka wyperswaduje smokowi opór.

– No właśnie, jeśli chodzi o ten most... – powiedziała dziewczynka po wysłuchaniu kolejnej porcji ćwierkania.

– Co z mostem? – zapytał zaniepokojony nie na żarty Baltazar.

– Zniknął. Nie cały, ale spory kawałek. Sznurówka jest pewna, że nie przejedziemy.

Bączek przymknął oczy. Czuł, jak mu drga nerwowo żyłka na powiece. Rytmicznie zaciskał palce na kierownicy i mamrotał coś pod nosem. Dziewczynka przysunęła się bliżej, by usłyszeć słowa.

– Czemu nie możemy dojechać bez przygód? – szeptał dziadek. – Co jest złego w odrobinie nudy? – pytał retorycznie, ale Finka odpowiedziała:

– Pewnie nic, dziadku, ale coś mi się wydaje, że wcale nie jest nam pisana.

Baltazar z rezygnacją pokręcił głową i sięgnął po walkietalkie. Musiał powiadomić kawalkadę, by pozostali wiedzieli, czemu się zatrzymał. A potem... cóż, czekała ich rozmowa. Na samą myśl o tym, jak mogła przebiegać, Baltazarowi

Bączkowi powieka drgała jeszcze intensywniej, a głowa zaczynała pulsować.





### O JEDEN MOST ZA MAŁO

– No pięknie! Co jeszcze? Deszcz meteorytów? Trzęsienie ziemi? Jak wielkiego pecha można mieć? – burczał Sylwester Żuczek, wpatrując się w przepaść, do niedawna spiętą zgrabnym łukiem drewnianego mostu.

Dziś z mostu zostały dwa kikuty z ziejącą między nimi dziurą. W dole huczała wartka i spiętrzona na kamienistym podłożu rzeka. Nawet gdyby jakimś cudem zjechali stromym zboczem na samo dno wąwozu, nie było najmniejszej szansy, by przeprawili się przez wodę bez mostu.

– Sylwestrze, ja cię ostrzegam – burknął Baltazar Bączek.

– I co mi zrobisz? Hę? Mówię, co widzę! A widzę pecha! Jakiego w życiu nie miałem! A teraz mam! I tylko jedno się zmieniło. Właściwie dwie rzeczy. Trzy, jak liczyć połączenie mojego szanowanego i odnoszącego sukcesy cyrku z twoim wielce pechowym przedsiębiorstwem!

– Sukcesy?! Gdyby nie połączenie cyrku, Nero Mortus skopałby ci tyłek! A gdyby go nie było, sam bym to zrobił

w konkursie Letniego Dworu! – pieklił się Baltazar, a jego twarz zrobiła się równie czerwona jak mucha, którą tego dnia miał uwiązaną pod bujną brodą.

– Panowie, czy to nam w czymkolwiek pomaga? – zapytała przytomnie Branwen.

Z ramionami założonymi na piersi, z czarnymi warkoczami spływającymi do kolan i w krwiście czerwonym kimonie wyglądała bardziej na zmartwioną niż złą.

Podobnie Jewgienij, który usiadł na moście i patrzył w ziejącą przed nim dziurę, jakby się zastanawiał, czy da radę przerzucić każdy pojazd na drugą stronę. Był trollem spod mostu i prawdziwym siłaczem, ale musiał przyznać, że jego krzepa ma swoje ograniczenia i rzucanie kamperami i autobusami było stanowczo poza jego zasięgiem. Może gdyby udało mu się zdobyć kilka wielkich kłód drewna, dałby radę jakoś naprawić most, ale to zajęłoby mnóstwo czasu. Dużo więcej, niż go mieli. Gdy maestrowie się wykłócali (co robili niemal bez przerwy), zarówno on, jak i Branwen dostrzegli realne zagrożenie.

Niewiele już brakowało do zmierzchu, a Jewgienij wiele by dał, by nie sprawdzać, jak bardzo niebezpieczny stawał się Dziwny Las wraz z zapadnięciem zmroku.

Max i Simona krążyli wokół zaparkowanych tuż przy urwisku pojazdów i rzucali nieufne spojrzenia w stronę lasu, który wyrastał za ich plecami. Cokolwiek tam było, wyczuwali tego głód i ciekawość. Pokusa, by rzucić ludzką skórę i przemienić się w rudo-pasiaste bestie z zębami i pazurami, była spora i walka z nią kosztowała ich resztę cierpliwości. A nigdy nie mieli jej zbyt wiele.

– Panowie, basta! – ryknął w końcu Max. – Decydujemy, co robimy, i spadamy stąd w podskokach, zrozumiano? Zanim to,

co tam czeka i pomrukuje z głodu, przyjdzie i zaprosi nas na kolację, co wy na to?

Kłótnia na chwilę zamarła i nagle cała trupa odwróciła się w stronę lasu, który był dużo większym zagrożeniem niż urwisko, zawalony most czy rwąca rzeka.

– A jakie mamy opcje, tak w ogóle? Zostaje nam Dąbrówka – odparł Sylwester Żuczek, spluwając przy tym na kępkę traw pod nogami.

– Możemy zawrócić i spróbować dojechać do Zarzecza – zaproponował Baltazar.

– Nie starczy nam paliwa – zaproponował Jewgienij.

– Możemy wyjechać z Dziwnego Lasu, a potem zapas paliwa wlać w jeden bak. Posłaniec dojedzie do Zarzecza i tam napełni wszystkie kanistry – zaproponowała Ptaszarka Sarai, owijając się szczelnie peleryną, która wyglądała jak ptasie skrzydła.

Cokolwiek zerkało na nich z Dziwnego Lasu, sprawiało, że czuła się nieswojo. Jakby była przekąską. Ona i jej ptaki.

– Taaa, świetny pomysł! – burknął Sylwester. – Kolejny tydzień wypadnie nam z terminarzy! Tydzień bez występów, bez zarobków, bez kupna zapasów! Nie wszyscy tak kochają owsiankę, jak ty, Sarai! Musimy występować! Musimy zarabiać! Musimy jeść! – Wymachiwał rękami nad głową.

Finka powiodła spojrzeniem po pozostałych członkach trupy. Branwen zaciskała usta w wąską linię, wyraźnie zmartwiona. Ważka przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę i zerkała ciągle w stronę lasu. Pajęczycy było wszystko jedno. Siedziała na masce swojej przyczepy i wyjadała z torebki coś, co wyglądało jak bardzo duże rodzyнки, choć dziewczynka była właściwie pewna, że nimi nie były. Ula i dziaduszka nie zabrali głosu ani razu, ale oboje stali bliżej Baltazara Bączka niż

Sylwestra Żuczka i ta deklaracja lojalności była dla wszystkich czytelna.

Za to murem za Sylwestrem stali członkowie dawnego cyrku Solaris – Marietta była jego córką, a nastoletni Cyryl bratankiem. Olga i Katerina Kamenow, jako treserki koni i dzikich kotów, nie przepadały za Baltazarem i jego uporem w kwestii zakazu udziału tresowanych zwierząt w przedstawieniach cyrkowych. Po tym, jak musiały oddać zwierzęta do Sanktuarium, były sfrustrowane i czuły, że zabrakło dla nich miejsca w nowym programie cyrkowym. Winiły o to Bączka.

Klaun Karol i jego oswojony Prosiaczek starali się być neutralni jak Szwajcaria, bo choć Sylwestra znali o wiele dłużej, ostatnie wypadki związały ich z Baltazarem w sposób trudny do wyjaśnienia, ale też trudny do zapomnienia. Tyle że nie dało się ukryć, że ich zapasy jabłuszek dawno się wyczerpały i mała wietnamska świnka widywała je, czerwone, słodziutkie i pachnące, tylko w snach, z których budziła się z burczącym brzuszkiem i smutno zwisającym ogonkiem.

Finka umiała liczyć. Gdyby chodziło tylko o liczbę ludzi, cyrk Baltazara przodował. Ale nie była pewna, czy jeśli dojdzie do głosowania, taka przewaga wystarczy. Bo Sylwester miał rację w jednym. Musieli jeść. Musieli zarabiać. A w tym celu musieli występować. Słyszała wystarczająco dużo rozmów, często szeptanych i ukradkowych, by wiedzieć, że brak występów i dochodów wszystkim bardzo doskwierał.

Zwykle w lipcu mieli kalendarz wypełniony po brzegi! Występowali w każdy weekend, a często też w dwa, trzy nawet dni w tygodniu. Mieli doskonale rozplanowaną trasę i przejazdy z miasteczka do miasteczka zajmowały góra kilka godzin.



W tym roku też tak miało być. Zwłaszcza że po wygranej w konkursie cyrkowym otrzymali mnóstwo zaproszeń od miast i miasteczek, które chciały ich gościć. I opracowali doskonałą trasę. Tyle że wszystko się pokomplikowało i mocno zboczyli z drogi. Nagle znaleźli się na takim kawałku mapy, gdzie odległości między miasteczkami okazywały się znacznie większe, a starannie omijane zwykle atrakcje, takie jak Dziwny Las, były bardziej po drodze, niżby chcieli.

Sporo czasu i występów stracili przez Gaję i jej klątwę. Jazda do Sanktuarium i Czerwonej Wieży okazała się czasochłonna i przepadło im kilka umówionych zawczasu występów. Trupa cyrkowa zarabiała tylko wtedy, kiedy dawała przedstawienia, a o to było ostatnio trudniej niż o przygody, które z misją cyrku nieprzyjemnie kolidowały.

Sakiewki większości członków trupy były puste. A trudno o morale, gdy je się w kółko owsiankę. Trudno też zatankować baki pojazdów do pełna, gdy w szkatule pustki. Paliwo nie było tanie po żadnej stronie Bramy. Może wszyscy byliby nieco mniej zdesperowani, gdyby ostatnia stacja benzynowa nie wypadła z interesu wiele lat temu. A najgorsze, że zrobili niemałe kółeczko, by do niej dojechać, bo bali się, że nie wystarczy im paliwa do Białych Wód. Teraz nie wystarczy go z pewnością. Nie wystarczyłoby też na powrót do ostatniego mijanego miasteczka, bo to prawie dwa dni jazdy.

Finka musiała przyznać, że pomysł Sylwestra nie był tak zły, jak większość jego pomysłów. Lojalność rodzinna kazała jej zwykle stawać po stronie dziadka, ale to nie znaczyło, że miała klapki na oczach i nie potrafiła analizować faktów. Sylwester się nie mylił – w kilka godzin mogli dojechać do Dąbrówki. Podążając spory kawałek wzdłuż rzeki, nie musieli przecinać Dziwnego Lasu. Na miejscu mogli zaklepać kilka

przedstawień, zarobić trochę, kupić jedzenie i paliwo, zrobić spore kółko, ale z dwoma miasteczkami po drodze, by dotrzeć do drugiego mostu, a potem już nic nie stało im na przeszkodzie, by występować zgodnie z planem w Białych Wodach.

Nie rozumiała, czemu dziadek tak krzywił się na samą nazwę Dąbrówki. Czy miał związane z nią jakieś bardzo nieprzyjemne wspomnienia? Wiedział o czymś, czego nie wiedzieli pozostali?

– Kto z was był wcześniej w Dąbrówce? – zapytała głośno dziewczynka.

Tylko Baltazar, Sylwester i Pajęczycyca unieśli ręce.

– Minęło trochę czasu, ale to zawsze było ładne miasteczko – powiedział Sylwester łagodniejszym tonem, jakby miał nadzieję, że jednak przekona Baltazara.

Pajęczycyca wzruszyła każdym z czterech ramion.

– W poprzednim stuleciu mieli tam naprawdę pysznych małych, soczystych, przyjemnie wystraszonych, łąjących samopas... Same miłe wspomnienia mam z Dąbrówki – powiedziała i wyszczerzyła się w uśmiechu, odsłaniając dwa zęby jadowe.

Jej całkiem czarne oczy połyskiwały jak węgielki, kiedy popatrzyła na Franka – ostatnie z dzieci, które próbowała zjeść. Nigdy nie pogodziła się z zakazem pożywiania się milusińskimi, który nałożył na nią Baltazar, ale też podróżowanie z cyrkiem wciąż miało dla niej więcej zalet niż wad. Jeśli jednak trafią do Dąbrówki i jakieś dzieciątko zapłacze się w pajęczynę, czyż można walczyć z przeznaczeniem?

Franek wzdrygnął się i przez chwilę znów było mu potwornie zimno, jak wtedy, kiedy trzymała go owiniętego

pajęczą nicią, wiszącego nad ziemią wysoko jak bożonarodzeniowa szynka. Gdyby nie Finka, skończyłoby się to niewesoło. Jak to jest, pomyślał, że odeszła z cyrku rodzina akrobatów (Anastazja i Antoni odłączyli się od cyrku po tym, jak nastraszył ich sabotaż Nero Mortusa – wypadek, w którym mogli stracić córkę, Arabelle), ale Pajęczycza ani myślała o odejściu?

Finka podeszła bliżej Bączka i zapytała cicho:

– Dziadku, czemu wolałbyś nie jechać do Dąbrówki?

Pokręcił tylko głową, a po jego minie widziała, że zrozumiał, co tak naprawdę chciała mu przekazać. I przyswoił już, że miała rację – wszyscy pozostali chcieli tam jechać. I jeśli dojdzie do głosowania, przegra z kretelem. A wtedy jego pozycja jako maestra może solidnie ucierpieć. Więc Baltazar skinął wnuczce głową, a potem powiedział głośno:

– Skoro wszyscy chcą jechać do Dąbrówki, nie ma co tego odwlekać. Wkrótce się ściemni.

Nie umknęło mu westchnienie ulgi, które wyrwało się z piersi tygrysów, Branwen czy Jewgienija. Decyzja zapadła, nie musiała mu się podobać, ale była bezapelacyjnie popularniejsza od planu Ptaszarki – a wady tego sam był w stanie zauważyć bez trudu.

Sęk w tym, że nie umiał nawet do końca wytłumaczyć, czemu Dąbrówka wydawała mu się tak złym pomysłem. Był tam raz czy dwa, ostatnio wiele lat temu, kiedy jego córka była niewiele starsza od bliźniaków. Nie podobało mu się coś w tym miasteczku, coś z jego magią było pokręcone i zepsute.

– Dziadku? – Finka ujęła go pod ramię i patrzyła na niego wielkimi, wypełnionymi troską oczami.

Zmusił się do uśmiechu.

– Będzie dobrze, Fineczko, może nawet mają tam księgarnię? – rzucił, siląc się na lekki ton.

– Wystarczy, żeby mieli stację benzynową i sklep spożywczy – burknął Sylwester i pomaszerował do swojego kampera.

Wszyscy się rozeszli do pojazdów. I tylko Jewgienij stał jeszcze chwilę przy moście, wpatrując się w grube drzazgi sterczące w niebo. Był trollem spod mostu i znał się na mostach. Wszystkich mostach, nie tylko kamiennych. I wiedział coś, czego nie powiedział głośno, a nikt inny zdawał się tego nie zauważyć... To nie woda czy burza uszkodziła ten most, ale człowiek. Ktoś, kto władał magią albo miał ładunki wybuchowe i przyłożył się do tego, by most był nieprzejezdny. A to sprawiało, że Jewgienij zaczynał się zastanawiać – komu na tym zależało? I dlaczego?



## RZECZY DO PRZYSWOJENIA I PIERWSZE WRAŻENIA

Kamperem znów bujało na boki, ale Finka była zbyt przejęta, by zwracać na to uwagę. Poruszali się wolno, by nie uszkodzić podwozi aut na nierównościach, co wprawdzie wydłużało samą podróż, ale też pozwalało zobaczyć znacznie więcej z tego, co mijali. Finka siedziała przy stoliku, nos przykleiła do okna. Zapadł zmierzch i z tej ciągle niepełnej ciemności wyłaniały się rzeczy, które nie powinny istnieć.

Teraz już rozumiała, czemu jechali wzdłuż rzeki, choć wertepy i dołki były męczące. Alternatywą była podróż przez Dziwny Las, a już to, co pokazywało się na jego krawędzi, stawiało włoski na karku dęba. Widziała już dziwne stworzenia, których nie znalazłaby w swoim leksykonie. I przejrzyste, neonowo świecące zjawy, które prześlizgiwały się między pniami drzew i podążały za kawalkadą pojazdów z niepokojącym zaciekawieniem. Widziała rośliny, które wybuchwały mieniącymi się jak brokat pyłkami, wabiąc

ogromne, białe ćmy – nawet z odległości dostrzegła, że są kudłate, pokryte połyskującym, jedwabistym futerkiem.

– Wszystko przegapisz! – zawołała do Franka, który znów wcisnął się w kłębowisko koca na swojej pryczy.

– Przeżyję – mruknął w odpowiedzi.

Finka westchnęła ciężko. Jej brat od kilku dni był mocno nie w sosie. Znów trzymał się trochę na dystans, milczek i maruda. Aż się prosił, żeby na nim usiadła i wymusiła groźbami i łaskotkami odpowiedź na pytanie, co mu znowu leżało na wątrobie i czym się zamartwiał. Im był starszy, tym trudniej przychodziło jej wyduszenie z niego takich zwierzeń. A Franek w jednym miał niewątpliwy tytuł mistrza – w zamartwianiu się i znajdowaniu powodu, by spuścić nos na kwintę.

– Możesz mi też powiedzieć, co cię znowu ugryzło – odcięła się.

– Nic mi nie jest – odburknął spod koca.

– Jasne. Zupełnie nic. Dlatego co noc się budzisz z krzykiem i masz koszmary. Dlatego jesteś tak zmęczony, że przysypiasz w ciągu dnia. I dlatego twoje fioletowe farfocle spływają po ścianie jak świecące gluty – odpowiedziała, ociekając sarkazmem.

Franek przez chwilę milczał, a potem wychylił głowę spod koca, wyraźnie zaskoczony.

– Ty je widzisz? – zapytał w końcu.

– Normalnie ich nie widzę. Ale wiem, co zrobić, by je zobaczyć. Znalazłam zakłęcie – odpowiedziała.

– Co ono robi?

– Pokazuje to, co normalnie nie jest całkiem widzialne. Musiałam sprawdzić, czy coś cię nie podgryza. No dosłownie,



rozumiesz, jak Pajęczycyca. Czy nie siedzi ci na piersi jakiś dusiołek czy jakaś magiczna pijawka.

– Dusiołek? Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

– Sprawdziłam w książce, co może spowodować koszmary.

Franek westchnął ciężko. Takie było życie z Finką. Mógł się zamykać w sobie, mógł upychać swoje strachy i zwidy w ciasnym schowku w tyle głowy, ale to działało tylko na chwilę. Potem zaczynała szukać przyczyny. Cud, że zaczęła od książek. Dawniej by po prostu na nim usiadła, docisnęła nos do jego nosa i powiedziała coś w stylu: „Opór jest daremny, gadaj, młotku, pókim dobra!”. I właściwie nawet nie był zły o to, że go szturchała. Wiedział, że czasem się zapędzał i odcinał bardziej, niż to dla niego zdrowe. I niekiedy widziała coś, czego on nie dostrzegał, a co sprawiało, że problem, którym się zamartwiał, okazywał się wcale nie taki wielki. Finka była załatwiaczką. Była Sherlockiem w ich duecie. A on, choć zwykle naturalnie przychodziło mu zatrzaśnięcie się jak małż ze swoimi ciemnymi myślami, musiał przyznać, że rozmowa z siostrą czasami mu pomagała. Dlatego zsunął się z górnej pryczy i opadł na siedzisko z kufra po drugiej stronie stoliczka.

Finka wiedziała, kiedy nacisnąć, a kiedy pozwolić bratu złapać oddech przed otwarciem swojego sejfu z sekretami. Ale nie zamierzała odpuścić. Ostatnim razem, kiedy ukrywał przed nią wielki sekret, okazało się, że ma martwą magię, widzi fioletową aurę wokół tego, co jest martwe, i tego, co umiera. I nie powiedział jej ani słowa. Nawet o tym, że widzi taki gęsty fiolet wokół ich mamy. Nawet wtedy, gdy podsłuchali rozmowę rodziców i odkryli, że mama jest chora na raka piersi, będzie miała operację i radioterapię. (Finka sprawdziła – radioterapia była radioaktywna, ale zupełnie

inaczej radioaktywna niż pająk, który ugryzł Petera Parkera, więc mama nie zmieni się w Spider-Mankę. Raczej). Oczywiście nawet się nie zająknął! Dusił w sobie wiedzę o fiolecie i wnioski, które z niej wyciągnął (że mama umiera), pozwalając, by te wizje mu się rozgościły w snach i zmieniły je w koszmary.

– Śnią mi się dziwne rzeczy – wyszeptał.

– Jak dziwne? – zapytała.

Franek westchnął ciężko i zaczął mówić. Cicho, przepychając słowa przez boleśnie zaciśnięte gardło.

– Miejsce. Zimne. Przesycone martwą magią. Straszne. Jestem tam i nie mogę się wydostać. A im dłużej tam jestem, tym bardziej zapominam, że jestem żywy. Szukam wyjścia, ale go nie ma. Jest tylko zimno i pustka. I słyszę głos, który mówi, że to jest moje miejsce, że jestem tam bardziej u siebie niż tu, więc nigdy już nie wrócę. Za każdym razem, gdy zasypiam, trafiam w tamto miejsce. I nigdy nie udaje mi się stamtąd uciec. I nigdy już nie będzie mi ciepło.

Łzy spłynęły mu po policzkach. Wytarł je rękawem bluzy, ale się ich nie wstydził. Jeśli ktoś mógł go zrozumieć, to jego siostra. Ona też dostała magię. Ale miała więcej szczęścia niż on. Jej magia była dla niej źródłem radości. Przyciągała do niej smoki, piekielne ogary i żar-ptaki, żadnych fioletowych glutów, które wypływały z koszmarów i pokrywały całą ścianę przy jego łóżku.

– Franek, zapominasz o jednym. Gdziekolwiek i ktokolwiek by cię zabrał czy uwięził, będę cię szukać. I cię znajdę. Sam wiesz, że zawsze cię znajdę, choćbyś nie wiem jak dobrze się schował. I nigdy nie pozwolę ci zamarznąć – powiedziała i złapała go za rękę.

Jej rozpalona jak w gorączce skóra prawie oparzyła zmarznięte palce Franka. Finka poklepała go po dłoni, a potem uniosła swoją wnętrzem do góry, a na jej powierzchni zatańczyły iskierki i przez ułamek chwili widział mały płomyczek!

– Wow! Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? – zapytał zaskoczony.

– Kiedy byłabym w stanie utrzymać ogień dłużej, tak chociaż minutę. Albo gdyby udało mi się wywołać większy płomyk. Wiesz, żeby zrobić większe wrażenie! – roześmiała się rozbawiona jego miną.

– No nie wiem, już teraz robi całkiem spore wrażenie – burknął Franek.

– Myślę, że sny są częścią magii. Też je mam – powiedziała po chwili.

– Ale nie budzisz się z krzykiem.

– Bo dla mnie to nie są koszmary. Słyszę w nich Sznurówkę, a ostatnio coraz częściej też Sorchę. Myślę, że ona niedługo się wykluje... W tych snach to już nie jest malutki płomyczek. – Uniosła dłoń, a ogień znów zatańczył na jej skórze. – Podpalam świat, płomienie buchają wyższe niż najwyższe drzewa, a mnie się to naprawdę podoba. Śmieję się. A nad moją głową tańczą w chmurach smoki. Więc wiesz, to w sumie niepokojące, że mi się to podoba.

– No raczej. To jest pokręcone, nie?

Finka przytaknęła. Nikomu innemu nie powiedziałaaby o tych snach, ale miała pewność, że Franek zrozumie. I nie będzie oceniał.

– Myślisz, że gdybyśmy byli w domu, gdybyśmy nie przekroczyli Bramy, nie spotkali dziadka, nie spędzali tego

lata w cyrku, to toby się zdarzyło? Nasza magia by się obudziła? – zapytał po chwili.

– Nie wiem. Może nie od razu. Może by to trwało dłużej. Ale już tam, nie wiedząc o magii, widziałeś fiolet. A ja rozmawiałam ze Sznurówką, kiedy jeszcze z nami mieszkała. Nie wydaje mi się, żeby magia była dla nas czymś całkiem nowym. Po prostu z czasem jest jej więcej.

– Wciąż wolałbym, by moja magia była ciepła i pomagała mi zaprzyjaźnić smoki – wyszeptał cicho.

– Wtedy nie dałbyś rady rozbroić martwych glutów, a wielu z trupy cyrkowej zginęłoby jeszcze przed konkursem. A potem Nero Mortus sklepałby nam tyłki. A gdybyś nie potrafił gadać z duchami, nie znalazłbyś wyjścia z lochów w Czerwonej Wieży. Myślę, że tak po prostu jest, Franek. I przykro mi, że twoja magia nie jest dla ciebie frajdą. Ale ani na moment nie zapominaj, że gdyby nie ona, wszyscy mielibyśmy przekichane.

I znów logika Finki precyzyjnie przecisnęła się przez maleńkie szparki w murze, który wokół siebie zbudował. I musiał przyznać, że miała rację. I przez chwilę czuł się całkiem dobrze.

Nagle kamper się zatrzymał, silnik zgasł. Przez ułamek sekundy dzieciaki zmartwiły się, że zabrakło im paliwa, ale wtedy rozległ się podekscytowany krzyk dziadka:

– Franio! Finka! Widzieliście kiedyś coś takiego? No niesamowite!

A chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwi w kabinie kierowcy. Bliźniaki wyskoczyły z kampera za dziadkiem.

Stali na wzgórzu, za ich plecami kończył się Dziwny Las, a w dolinie przed nimi rozciągało się miasteczko. I już z tej odległości widzieli, że jest inne niż wszystkie. Wyglądało jak zbudowane z kolorowych klocków, małe domki, wąskie, kręte

uliczki, okrążyły placyk dokładnie pośrodku zabudowy i drzewa zdawały się prawie normalne, ale było jeszcze światło – tyle światła! Kolorowe lampki rozciągnięte nad ulicami, świece i latarnie tworzyły nad miasteczkiem ciepłą łunę niczym złocistą kopułę, dzięki której widzieli szczegóły dekoracji. Bliźniakom przypomniały się wieczorne spacerunki z mamą na cmentarzu podczas Wszystkich Świętych, gdy wszystko spowijał ciepły blask świeczek i zniczy. Tu całe miasteczko otulone było taką poświatą!

W końcu Finka otrząsnęła się z szoku i zapytała:

– Oni tu wiedzą, że jest koniec lipca, a nie październik?

– Myślę, że mogło im to umknąć – odpowiedział Franek.

Pozostałe kampery, przyczepy i autobus mieszkalny zatrzymywały się obok auta dziadka i reszta cyrkowców dołączyła do Baltazara, Franka i Finki.

– Czy zawsze tu tak było? – zapytała oszołomiona Branwen.

Dziadek i Sylwester zgodnie pokręcili głowami.

– Zawsze było trochę dziwne, ale to jest... – Dziadek zawahał się, jakiego słowa użyć, więc Sylwester dokończył:

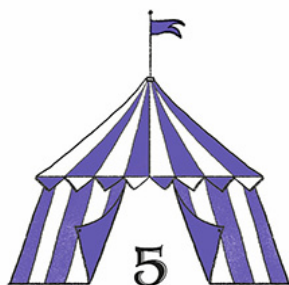
– Naprawdę bardzo dziwne?

– Szalone? – dodał Baltazar.

– Szalone nie jest złe – powiedział Sylwester, choć nie brzmiał na przekonanego.

– Nie żebyśmy mieli wybór – uciał Max i wrócił do auta.

Pozostali poszli jego śladem i po chwili zjeżdżali w dolinę, do miasteczka innego niż wszystkie.



## MIASTECZKO INNE NIŻ WSZYSTKIE

Miasteczko z wysokości wzgórza wyglądało niesamowicie, ale z bliska... och, to było coś naprawdę jedyne w swoim rodzaju! Karawana cyrkowców poruszała się powoli brukowanymi uliczkami Dąbrówki. Wyglądali przez szyby pojazdów, chłonąc niesamowitą atmosferę i dekoracje, które wyróżniały miasteczko na tle każdego innego.

Wszystkie domy były ozdobione! I to nie tak „byle jak”, pojedynczym wieńcem na drzwiach, ale jakby wszyscy prześcigali się w tym, jak najlepiej i najbardziej pomysłowo, uroczo i niesamowicie udekorować przestrzeń wokół domu. Setki dyń upiększały wszystkie schody, ganki, podjazdy i werandy. Niektóre wydrążone, z wyciętymi minkami, inne nietknięte, jeszcze inne pomalowane na najróżniejsze kolory. W wielu paliły się świece.

Na przydomowych trawnikach rozpanoszyły się dekoracje halloweenowe. Franek i Finka nigdy w życiu nie widzieli ich aż tyle! Przed jednym domem unosiło się nad trawnikiem stadko



podświetlonych duchów z prześcieradeł, z innego ogródka wyłaniały się zombie, wyciągające ręce w stronę kampera, jakby wyczuły w mieście świeżutkie mózgi. Przed kolejnym domem ustawiono mały, nawiedzony cmentarz, a dalej stały wysokie na dwa piętra kościotrupy! Na balustradach schodków, na parapetach i z rynien zwisały mieniące się brokatem pajęczyny, fioletowe i czarne nietoperze, pomarańczowe dynie, wiedźmie kapelusze i miotły. Nawet na przydrożnych drzewach między lampkami widać było małe duchy, które – poruszane wiatrem – wydawały się tańczyć między gałęziami!

– Jeśli to jest konkurs na najlepszą dekorację halloweenową, to wszyscy wygrali! – zawołała Finka z twarzą przyklepioną do szyby.

Zawsze lubiła Halloween. Co roku wycinali z Frankiem dynie, a trzydziestego pierwszego października spacerowali po osiedlu, zbierając cukierki, wieczorem natomiast oglądali z mamą straszne filmy. Może nie takie naprawdę straszne, bo mama była na takie zbyt strachliwa i chowała głowę pod koc, gdy na ekranie działo się coś szczególnie okropnego, ale mieli swoje ulubione filmy i kreskówki, do których lubili wracać właśnie w okolicach Halloween. Ale Dąbrówka, och, Dąbrówka nie poprzestawała na małym! To naprawdę najbardziej halloweenowe miasteczko na świecie i nawet fakt, że był dopiero koniec lipca, najwyraźniej nie zniechęcał mieszkańców do okazywania swojej miłości do strachów!

Franek uśmiechał się szeroko, widząc całe stado duchów. Wyglądały zupełnie realistycznie! Gdyby nie wiedział, że to dekoracje, uwierzyłby, że są prawdziwe! Ale prawdziwe duchy nigdy nie były tak sztywne, jakby zastygły w pół ruchu, ani tak ciche. Po prostu musiały być dekoracjami, bo i skąd by się

w miasteczku wzięło kilkadziesiąt duchów? Franek widywał duchy regularnie, ale nigdy aż tyle naraz!

Dziadek gładził brodę z rozwagą, prowadząc kamper po rzęście oświetlonych ulicach, i zastanawiał się, jakim cudem małe miasteczko stać na takie rachunki za prąd. I czy to miejsce było naprawdę aż takie śliczne, kiedy był tu ostatnio? Bo coś mu się wydawało, że wcale nie... Nie chodziło zresztą tylko o dekoracje czy światełka, ale o domy – wszystkie ładniutkie, zgrabne, wycięte jak z obrazka czy amerykańskiego filmu, w którym żadna rynna nigdy nie wymagała naprawy, żaden płótek się nie przekrzywił ani nie łuszczyła się farba na fasadzie. Było idealnie.

Może troszkę zbyt idealnie? Czy w ogóle miasteczko może być zbyt idealne? – pomyślał.

Szybko zresztą mars na czoło wygładził mu się, bo uroda oświetlonych jak w czasie Bożego Narodzenia uliczek po prostu robiła zbyt duże wrażenie, żeby się smucić. Widział wiele olśniewających rzeczy, odwiedził nawet Letni Dwór Elfów, cuda i dziwy nie były mu obce, ale musiał przyznać, że zapamięta Dąbrówkę jako jedno z najbardziej niezwykłych miejsc, jakie zdarzyło mu się oglądać. I gdyby nie te wszystkie pechowe wypadki pierwszych tygodni wakacji, nie trafiliby tu i byłoby szkoda, bo dzieciaki wydawały się zachwycone tym, co widziały z okien kampera.

Choć dochodziła dwudziesta pierwsza, przez to całe oświetlenie miało się wrażenie, że jada za dnia. Na każdej werandzie wisały girlandy lampek, stały lampiony z wydrążonych dyń, witrażowe latarnie, a rzutniki wyświetlały na ścianach domów latające na miotłach wiedźmy, nietoperze i pająki. Nawet na drzewach wzdłuż ulicy wiły się łańcuchy lampek, a przydrożne latarnie, stylizowane na stare lampy gazowe, świeciły ciepłym, prawie złotym blaskiem.

– Jakby najbardziej bali się ciemności – wyszeptał z niepokojem, ale ten wkrótce się rozpięchł i Baltazar Bączek złapał się na myśli, że zjadłby jabłecznika i popił go cydrem. Albo zupy by zjadł, jesienią zawsze miał ochotę na zupę... – Jaką jesienią? Baltazarze, jest środek lata – mruknął pod nosem, ale choć rozum wiedział, że miał rację, serce podpowiadało mu, że przydałby się kocyk, bo noce robią się zimne, a żołądek nie widział powodu, by z przyczyn tak błahych jak kalendarz rezygnować z pysznej zupy. Fasolowej na przykład. Albo dyniowej. Och, i pomidorowej z małymi, makaronowymi muszelkami. Albo kolankami; kolanka w pomidorówce też były pyszne.

Głośno zaburczało mu w brzuchu.

\* \* \*

Nie tylko mieszkańcy przegapili, że jest środek lata – pomyślała Finka, wyglądając przez szybę. Liście na drzewach były złote, żółte, czerwone, jakby naprawdę nastał koniec października! Przy jednym z domów rosła stara, rozłożysta jabłoń obsypana czerwonymi jabłkami, gotowymi do zbiorów! Nawet te dynie... Czy w lipcu są już takie wielkie i pękate, by je wydrążyć i przerobić na ogromną latarnię halloweenową? Finka nie była pewna, ale wydawało jej się, że nie. Doskonale pamiętała radość mamy, kiedy pod koniec września czy na początku października znajdowały w sklepie pierwsze dynie. Mama kupowała zawsze piżmowe, które wyglądały jak wydłużone gruszki, i robiła z nich cudownie pyszną zupę, gęstą, kremową, z prażonymi pestkami i grzankami unoszącymi się na powierzchni... Finka nigdy nie widziała w sklepie dyń pod koniec lipca. Czy po tej stronie Bramy czas płynął aż tak inaczej? I dlaczego nagle miała tak ogromną ochotę na zupę?

– Dziadku, właściwie czemu u nich jest jesień? – zapytała, pocierając ramiona, na których nagle miała gęsią skórkę. Bluza byłaby wcale dobrym pomysłem, choć przez większość dzisiejszej jazdy było gorąco i tylko Franek owijał się kocem, bo mu magia wymrażała kości.

Baltazar Bączek pokręcił głową, bo dopiero kiedy Finka o tym powiedziała, zauważył mieniające się złotem i czerwienią liście.

– Pojęcia nie mam, Fineczko. Nie mają żadnej kieszonki z innym czasem, jeśli o to pytasz. Powinno być ciepło i sucho, jak wszędzie dookoła. Tak jak było jeszcze w Dziwnym Lesie.

Uroda dekoracji i światełek odrobinę zbladła w oczach Finki, bo czuła, że działo się tu coś dziwnego, i była nieco niespokojna.

– Dziadku, a czemu nie chciałeś jechać do Dąbrówki? – zapytała, bo wciąż doskonale pamiętała minę dziadka, kiedy padła ta sugestia przy zawalonym moście.

Baltazar Bączek podrapał się po bulwiastym nosie, zastanawiając się, ile właściwie powiedzieć wnuczce. A potem sapnął i uznał, że równie dobrze może wyznać prawdę, bo jeśli Finka zapyta mamę w kolejnym liście, a ta jej opíše ich przygodę sprzed lat, wcale nie wyjdzie na wymówce dobrze.

– Ach, no więc wypędzili nas stąd kiedyś. Już ładnych parę lat temu, wasza mama była jeszcze młodziutką gąską i jeździła z cyrkiem, a was nawet w planach nie było. Przyjechaliśmy tu trochę z rozpędu i chcieliśmy dać występ. Słyszałem o tym miasteczku, nic dobrego, trochę dziwnych rzeczy, ale miało dobrze ponad tysiąc mieszkańców, nawet gdybyśmy sprzedali trzysta biletów, to byłby całkiem dobry urobek... Tyle że wcale nas tu nie chcieli. Pozwolili nam zostać jedną noc, zgodnie z prawem Rubieży, ale nie więcej. I szczerze... to wtedy bym nawet nie chciał zostawać dłużej. Ta noc była dziwna. Tutejsza

magia była inna, natrętna i czepliwa jak rzep. Nie zmrużyliśmy oka, a kolejne kilka dni włosy i ubrania pachniały nam siarką. I wtedy zrozumiałem, że w plotkach, które słyszałem, o czarowniku, który zabawiał się tu magią i demonami, było więcej niż ziarnko prawdy. Miasteczko wyglądało wtedy zupełnie inaczej, więc może w pogłoskach o śmierci czarownika sprzed kilku lat było sporo prawdy?

Finka czytała to i owo o demonach, skoro kilka z nich było powiązanych z jej żywiołem, ale na pewno nie zamierzała testować tego odłamka magii. Wszystkie podręczniki zgadzały się, że to nic dobrego i cena zwykle jest zbyt wysoka dla małych dziewczynek. Tylko czy magia demoniczna mogłaby zatrzymać czas w miasteczku i zamrozić pory roku na jesieni? Pojęcia nie miała, może?

– Czy wtedy też było tu tak jesiennie? I panował klimat wiecznego Halloween? – zapytała.

Baltazar pokręcił głową.

– Teraz jest zupełnie inaczej. Miasto jest inne. Magia jest inna... Czujecie ją, kochani? – zapytał wnuczęta, bo rozwijanie wrażliwości na moc było jedną z pożytecznych umiejętności po tej stronie Bramy. Im szybciej nauczą się wyczuwać tę, od której lepiej trzymać się z daleka, tym szybciej będą bezpieczniejsi.

Finka zmarszczyła brwi.

– To jest taki dziwny spokój... Jakby coś nas otulało kocykiem? Ale nie jest całkiem naturalne, bo czasami spływa ze mnie jak z kaczki, czyli to musi być część jakiegoś zaklęcia – zastanawiała się głośno.

Była tłustą kaczką, czyli wiele zaklęć nie przyczepiało się do niej naprawdę dobrze albo rozpływały się one na niej znacznie szybciej niż na pozostałych. Uważała to za bardzo pożyteczną cechę i przydało jej się to już kilka razy, gdy Pajęczycyca ich



uwięziła i zahipnotyzowała czy kiedy Nero Mortus rzucił na nią urok unieruchomienia, ale nigdy wcześniej nie spotkała się z urokiem, który rzucałoby całe miasteczko!

– A ty, Franiu? – zapytał Baltazar wnuczka, który wpatrywał się z dziwną miną w parę szkieletów ubranych w hawajskie koszule, tańczących na trawniku przed pomalowanym na fioletowo domem.

– Jakbym tę magię znał, jakbym już tu kiedyś był? – powiedział z wahaniem.

Jakbym tu pasował, pomyślał, ale nie wypowiedział tego głośno. Może z martwą magią właśnie w miasteczku wiecznego Halloween byłby u siebie? Może pasował do tych szkieletów, duchów i zombie?

– Poza tym dziwnie tu pachnie – dorzuciła Finka.

– A jak? – zapytał Baltazar, wykorzystując okazję do nauki.

Finka jeszcze niżej zsunęła szybę w oknie i wychyliła głowę, jakby była labradorem na wycieczce za miasto. Zmarszczyła nos i musiała go potrzeć palcami, zanim zaczęłaby kichać.

– Nie wiem. Jedną rzeczą, ale schowaną pod innymi rzeczami. Jak nasza sąsiadka, pani Kazia, która zlewała się perfumami, by nie było czuć, że jej płaszcz pachnie naftaliną.

Baltazar pokiwał głową.

– Właśnie też ją tak czuję. I zaraz się zastanawiam, czemu ktoś miałby jedną magią maskować inną – myślał głośno.

Franek wychylił dłoń przez okno, a potem potarł lodowate palce o nogawki spodenek. Może mu się wydawało? Może to tylko echo martwych glutów ze snów? Przecież całe miasteczko nie mogło emanować martwą magią? Dąbrówka jednocześnie przyciągała go i trochę przerażała. Przypominały mu się lochy pod Czerwoną Wieżą, poświata wokół sadzawki, do której wpadł...



– Ale nie pakujemy się na podwórko kolejnego czarownika? Jak ta paskuda z Czerwonej Wieży? – upewnił się.

Baltazar uspokajająco poklepał wnuka po nodze.

– Ten czarownik z Dąbrówki już dawno nie żyje. Pół Rubieży gadało, że pokarało go za zabawy z demonami. Może został po nim taki ślad magiczny, że mieszkańcy czują, że muszą go zamaskować, by nie odstraszać przyjezdnych? – zgadywał.

– Czyli co robimy? Mamy nadzieję, że razem z czarownikiem zniknęła miejscowym niechęć do cyrku? – zapytała Finka.

– Teraz bardzo grzecznie zapytamy o pozwolenie na zatrzymanie się w miasteczku. Na pewno zgodzą się na jedną noc, solidarność Rubieży tego wymaga. Ale nie wymaga wiele więcej. Rano albo uzupełnimy zapasy i pojedziemy swoją drogą, albo jeśli się zgodzą, rozbijemy obóz i przygotujemy się do przedstawienia. Trzeciej możliwości w sumie nie ma.

Baltazar nie powiedział głośno tego, że spodziewał się raczej tej pierwszej opcji. Pamiętał wciąż burmistrza Bohdana Wycioraka, który nie chciał mieć nic wspólnego z wędrownym cyrkiem i nie wyraził zgody na przedstawienie na terenie miasta. Nie miał za to nic przeciwko temu, by mieszkał tu na stałe jego ojciec, Ludwik, którego czarnoksiężskie zabawy skaziły całe miasteczko siarkowym swądkiem. Baltazar i jego ludzie zwinęli się wtedy szybko i nikt nie oglądał się za siebie...

Minęło jednak tyle lat... może coś się zmieniło? Przecież jakie jest prawdopodobieństwo, że na stołku burmistrza wciąż siedzi ten sam człowiek? Bączek miał nadzieję, że ciut mniejsze niż to, że on wciąż jest maestrem swojego cyrku.

\* \* \*

Nie było tak źle. Właściwie zupełnie nie było źle, było bardzo dobrze!

Zatrzymali się zaraz przy brukowanym rynku, na którego środku wyrastała duża, osłonięta daszkiem studnia, złapali przechodzącego nieopodal mieszkańca i zapytali go o burmistrza.

– O tej porze to już go w ratuszu nie znajdziecie – poinformował, a kiedy mówił o ratuszu, zerknął odruchowo w stronę budynku zaraz przy rynku. We wszystkich oknach na parapetach stały pękate dynie z pełgającymi w nich świeczkami, a drzwi wejściowe były udekorowane girlandami z czerwonych liści, światełek i małych dyń. – Ale złapiecie go w domu, na Klonowej 63, zaraz wam wytłumaczę, jak tam dotrzeć – powiedział i zaczął objaśniać Baltazarowi trasę tak dokładnie, jakby burmistrz mieszkał w sąsiednim mieście, a nie raptem pięć minut pieszo od rynku. – Na pewno się ucieszy na wasz widok – zapewnił starszy mężczyzna, uśmiechając się do nich promiennie. – Uwielbia turystów!

– Od dawna jest burmistrzem? – zapytał jeszcze Baltazar, zastanawiając się, czy to ciągle ten sam urzędnik, który wyrzucił ich z miasta przy poprzedniej wizycie.

– A będzie już z siedem lat? Może osiem? Druga kadencja mu leci i dobrze sobie radzi, to nawet konkurencji w ostatnich wyborach nie miał!

Poklepał maskę kampera i odszedł, pogwizdując pod nosem.

\* \* \*

Nie każdy zareagowałby dobrze na gości późnym wieczorem, więc Baltazar Bączek, mimo zapewnień mieszkańca Dąbrówki, że burmistrz ucieszy się na ich widok, wygładził kamizelkę na piersi nieco nerwowym gestem, zanim zastukał kołatką o mszyście zielone drzwi. Reszta domu była w kolorze

dyniowym, kontrastującym z zielenią drzwi, okien i dachu. Budynek został też obficie udekorowany i oświetlony w tak jesiennym klimacie, że Baltazar zatęsknił za kubkiem kakao z piankami i kawałkiem gorącego jabłecznika z lodami.

Franek i Finka uparli się, że idą z nim. Branwen i Max również, ale ich zdołał przekonać, by zachowali bezpieczny dystans, na wypadek gdyby sytuacja miała być więcej niż wybuchowa. Z wnukami nie próbował już nawet dyskutować, bo były tak uparte, że sam już nie wiedział, po kim mogły odziedziczyć tyle uporów.

Nagle drzwi otworzyły się przed nim z rozmachem i ledwie uskoczył, inaczej by nimi oberwał.

Burmistrz przedstawił się Baltazarowi jako Stanisław Wyciorek i energicznie uścisnął dłoń maestra. Bączek zamrugał zaskoczony, bo nazwisko wydało mu się dziwnie znajome. Głowę by dał, że dokładnie tak samo nazywał się urzędnik, który wyrzucił jego cyrk wiele lat wcześniej. Zapytał o to burmistrza, a ten zaśmiał się głośno, jakby w samym pytaniu tkwił żart, którego Baltazar nie rozumiał.

– Tak, mój ojciec, Bohdan Wyciorek, był burmistrzem przez wiele, wiele lat. Nie ma go już z nami, ale miasto nie byłoby takie samo, gdyby nie on. Osobiście uważam, że poszedłem w ślady taty, ale z odrobiną bardziej, że tak powiem, otwartą głową. – Znów się zaśmiał.

Był na oko czterdziestoletnim, wysokim i postawnym obywatelem z blond lokiem nad czołem i zdrowo zarumienionymi policzkami. Ubrany we flanelową piżamę w fioletowo-czarne paski i bambosze, uśmiechał się często, mówił głośno i najwyraźniej nie podzielał niechęci poprzednika do cyrku. Kiedy Baltazar bardzo uprzejmie poprosił o zgodę na występy, burmistrz aż zaklaskał z entuzjazmu.

– Cyrk? Cudowny pomysł! Oczywiście, że możecie dać przedstawienie! Tylko, jeśli to nie problem, dopiero w piątek, dobrze? Żeby nowina się zdążyła rozejść! A do tego czasu oczywiście zatrzymacie się w naszym miasteczku! – huczał radośnie, wymachując rękoma i poklepując Baltazara Bączka po plecach raz po raz. – My tu kochamy gości! Uwielbiamy wręcz, prawda, duszko? – zwrócił się do żony, która natychmiast przytaknęła:

– Pasjami kochamy gości!

Uśmiechnęła się tak promiennie i szeroko, że mogła rywalizować z dyniowymi lampionami, które obfitymi grupkami zajmowały większość werandy, schodków i ławki pod oknem. Burmistrzowa była niewysoka, drobna, a jej ciemne włosy otaczały głowę miękkimi loczkami. Też już miała na sobie piżamę, ale zdążyła narzucić na nią pikowany pluszowy szlafrok.

– Cudownie, że do nas zajechaliście! Od wieków nie gościliśmy tu cyrku! – dodała, pochylając się w stronę Franka i Finki, którzy stali zaraz za dziadkiem. – Musicie koniecznie przyłączyć się do zabawy! Dziś już troszkę za późno, ale jutro musicie się wybrać z dziećmi z miasteczka na „cukierek albo psikus”. Nazywamy to cukierkowym safari, a trochę słodczy jeszcze nikomu nie zaszkodziło, prawda?

Zaśmiała się perliście, jakby to, co powiedziała, było najlepszym żartem w historii. Finka nie była pewna, czy zabawna miała być sama sugestia, że słodczy mogą zaszkodzić, czy może „cukierek albo psikus” w środku wakacji. A może coś całkiem innego, bo burmistrz zawołał:

– No przecież! Doskonały pomysł, duszko! Nasz Boguś koniecznie musi was jutro zabrać na cukierkowanie! I nie tylko was, ale wszystkie dzieci z cyrku, bo pewnie jest was więcej? – Rzucił pytające spojrzenie Baltazarowi.

– Dwójka poza tą dwójką – przyznał. – Czyżby „cukierek albo psikus” był tu częstą rozrywką? Tak nietypowo, w lipcu? – zadał głośno pytanie, które bliźniakom cisnęło się na usta.

– Och, tak, oczywiście! Nie byłoby miasteczka wiecznego Halloween bez „cukierka albo psikusa”! To nasza tradycja! – zapewniła pani Wyciorek.

– Aż dziw, że nie słyszałem dotąd o tej stronie Dąbrówki, na pewno nie czekałbym tak długo z wizytą – zagaił Baltazar, który wciąż się zastanawiał, co się właściwie działo w tym miasteczku.

– Och, to długa opowieść... – przyznała burmistrzowa, rzuciła porozumiewawcze spojrzenie mężowi, a on dyskretnie kiwnął głową.

– Jutro wpadnijcie na herbatę, a wszystko wam opowiemy – wtrącił się. – I tylko... dziś musicie pamiętać o dyniach.

Pochylił się i zgarnął dwie wydrażone dynie z pełgającymi w środku płomyczkami świec i wcisnął je maestrowi Bączkowi w objęcia.

– Dynie są absolutnie konieczne. I przebrania. Ubrania na lewą stronę też mogą pomagać. Świece w oknie lub światełka też działają niezłe... Wszystko, co je tradycyjnie powstrzymuje, jest mile widziane – wyjaśniał burmistrz, wymachując rękami w stronę sznurów lampek i lampionów.

– A co właściwie próbujemy powstrzymać? – zapytał uprzejmie dziadek.

– Demony, oczywiście, jak to w Halloween. Mamy z nimi pewien problem od jakiegoś czasu. Jeden mieszka na stałe tu, w nawiedzonym domu nieopodal. Strasznie agresywna bestia, rozumiecie. Więc musieliśmy powziąć pewne środki, że tak powiem, ostrożności. A skoro już je powzięliśmy, pomyślałem... a czemu by nie iść na całość? – Zaśmiał się głośno, a jego żona mu zawtórowała.

– Skoro już mieliśmy te wszystkie cytryny, grzechem byłoby nie zrobić lemoniady – dodała.

– No więc zrobiliśmy! Cały dzbanek! – Znów się zaśmiewali z żartu, którego nie rozumieli ani maestro Bączek, ani Franek i Finka, ani Branwen czy Max, którzy stali kawałek dalej, przy furtce, i nadstawiali ucha.

– Z tym demonem to tak na serio? – zapytał Baltazar, a krew mu odpłynęła z rumianych jeszcze chwilę temu policzków.

– No przecież z demonami żartów nie ma. Ale spokojnie, wszystko, co działa w Halloween, działa też cały rok. Tylko trzeba się odrobinę przyłożyć! I nie ma się czym martwić, naprawdę! – zapewniła pani Wyciorek.

– Tylko do nawiedzonego domu lepiej się nie zapędzać. Tam nikt nie czeka z cukierkami. – Burmistrz mrugnął do maestra.

– Do zobaczenia jutro, wpadnijcie koniecznie na herbatkę, zaraz po śniadaniu będzie w sam raz – powiedziała burmistrzowa, kończąc ich wizytę.

Baltazar Bączek powoli zszedł po schodkach z werandy, przemierzył trawnik udekorowany makietą nawiedzonego zamczyska i zatrzymał się przy furtce, jakby przypomniał sobie, że były z nim wnuki i trzeba dopilnować, by się nigdzie nie zabłąkały.

– To było... dziwne – powiedziała Finka.

– Czy oni rzucali uroki? – zapytał ją Franek, wciąż nieco przewrażliwiony po tym, jak załatwiła go Gaja.

– Nie czułam nic śliskiego – oświadczyła dziewczynka. – Może po prostu są trochę... dziwni.

– Można tak powiedzieć – przyznał dziadek.

Finka poprawiła uchwyt na wielkiej dyni. Była ciepła w dotyku od świeczki w jej wnętrzu.

– Czyli będziemy się przebierać? – zapytała.



Branwen wzruszyła ramionami.

– Dziś zapalimy świece. Na wszelki wypadek, póki nie dowiemy się, co się tu właściwie dzieje.

– Ja już jestem przebrany – oświadczył Baltazar.

– Za kogo? – zapytała wiedźma.

– Za maestra najlepszego cyrku po tej stronie Bramy – odpowiedział i puścił im oczko.

– Dziwno i dziwniej – mamrotał pod nosem Max, zamykając pochód, gdy wracali do tymczasowego obozu. Reszta cyrkowców stała przy pojazdach zaparkowanych zaraz przy rynku, czekając na wyniki rozmów z burmistrzem.

– I co? – zapytał Żuczek.

– Możemy zostać. Przedstawienie w piątek – odpowiedział Bączek.

– No i fantastycznie! Co za miejsce! Od razu widać, że miasteczko lubi się bawić! – zawołał triumfalnie Żuczek.

– A o co chodzi z tymi dekoracjami? – zapytała Sarai.

– Mają tu demony – powiedziała Finka, jakby demony były czymś równie błahym jak ospa wietrzna czy alergia na pyłki.

– A, demony. To ma sens – oświadczyła Sarai i po prostu wróciła do swojej przyczepy, na której dachu siedziały dziesiątki ćwierkających nerwowo ptaków.

– Ma sens? – zapytała Finka wiedźmę.

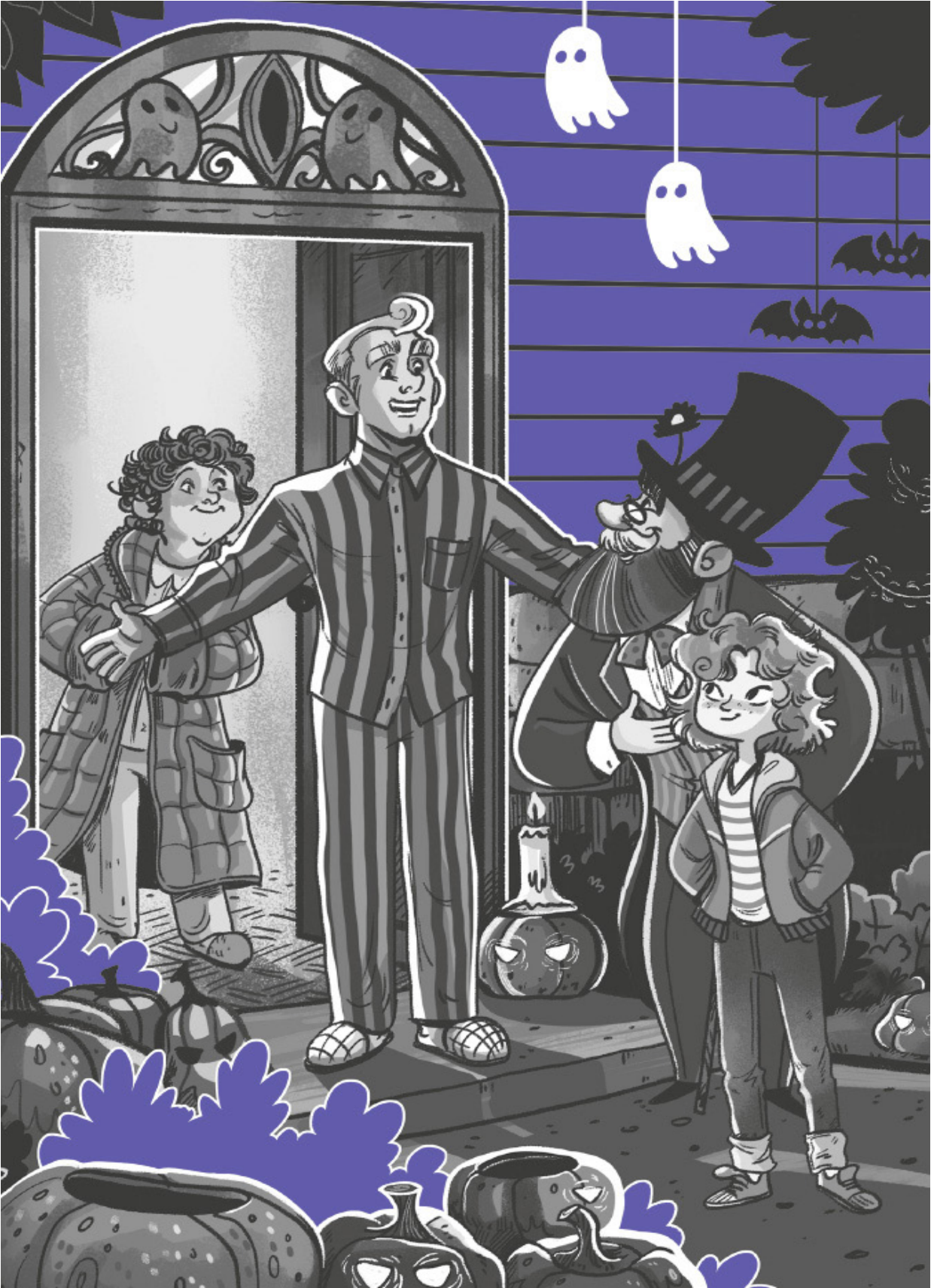
Branwen tylko skinęła głową.

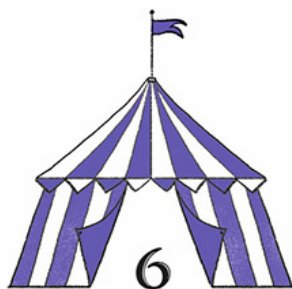
– Na swój sposób, jak najbardziej – przytaknęła.

– Dobra, do łóżek, kompanio, jutro będzie intensywny dzień!

O ile przetrwamy noc, pomyślała Finka. Czy tylko ją niepokoiła ta luźna wzmianka o demonach?

Na wszelki wypadek piżamę włożyła na lewą stronę. I zmusiła Franka, by zrobił to samo.





## FIOLET WIDZĘ, FIOLET!

Finka przez moment nie była pewna, co ją obudziło, ale po chwili znów to usłyszała... Szept, jakby ktoś był tuż obok niej i nucił cichutko kołysankę w języku, którego dziewczynka nie znała, ale czuła, jak zalewają jej serduszko emocje, którymi wypełniona była piosenka. Niecierpliwa nadzieja i radość, że to już niedługo. I już wiedziała.

Wcześniej w snach zdarzało jej się słyszeć szept, ale kilka dni temu zmienił się on w niesamowity, wypełniony magią śpiew. Zdarzało się, że nie znikał całkiem, gdy się obudziła. Zapytała Franka, czy też go słyszał, ale spojrzał na nią tylko, jakby sądził, że pomerdały jej się klepki. Ale ona wiedziała, że choć docierał tylko do jej uszu, naprawdę tam był. I w końcu rozpoznała głos.

Gdy ostatni raz rozmawiała z Finką, była słabiutka i niewiele później zakończyła swoje życie. Jedno z jej życ, skoro była żar-ptakiem. Sorcha, jedna ze starego ludu, starszego niż elfy i ludzie. Kiedy Finka ją poznała, Sorcha od wielu lat była

w niewoli u Nero Mortusa, który wykorzystywał ją i jej magię, by kraść energię życiową od widzów w trakcie przedstawień cyrkowych. Finka wiedziała, że nie może jej tak zostawić. Wymyślili z Frankiem i cyrkiem, jak ją odbić tak, by Nero Mortus nie wiedział, że żyje. A przynajmniej żyła... Była tak słaba i zagłodzona, że kiedy raz jeszcze musiała się zmierzyć ze swoim oprawcą, wyczerpana do cna po prostu stanęła w płomieniach i zmieniła się w kupkę popiołu. I jajko, z którego miała się odrodzić. A ponieważ Finka była impulsywna, wzięła je do ręki, nie wiedząc, że tym samym zgłasza się na zastępczą mamę dla małego żar-ptaka.

Przez kolejne tygodnie jajko wygrzewało się w wyściełanym mięciutko pudełeczku, które dziewczynka umieściła pod swoją poduszką. Było na tyle twarde i odporne, że nie bała się, że je stłucze. Czekwała, aż Sorcha się odrodzi, i tylko martwiła się, kiedy to nastąpi. Czy zdąży do końca wakacji? W żadnej książce nie znalazła wskazówki na temat tego, ile trwał okres inkubacji u żar-ptaków. Wiedziała tylko, że na pewno nie może zabrać ze sobą jajka na drugą stronę Bramy, bo tam brak magii byłby dla Sorchy zabójczy. Więc czekała.

A kiedy jednej nocy poza zwykłym, telepatycznym szeptem usłyszała śpiew, cała się zatrzęsała z ekscytacji. Czy to już? I co właściwie powinna zrobić? Czy jako zastępcza mama żar-ptaka miała jakieś obowiązki?

Spanikowała, oczywiście, i poprosiła Branwen, by za pomocą magicznego zwierciadła połączyła się z Amavisem.

Finka siedziała tamtego dnia przed falującym lustrem, czekając, aż rycerz Letniego Dworu Elfów odbierze magiczne połączenie. Miała nadzieję, że nie uzna jej prób kontaktu za złamanie zasad dworskiej etykiety, ale musiała go o coś zapytać. Bo jednego Karolina Ferramo, autorka jej



podręcznika, była pewna. Żar-ptaki rodzą się w ogniu, wręcz wybuchają z mocą wielkiej bomby, bo cała ich ogromna magia rozsadzała jajko od środka. A co, jeśli wydarzy się to w nocy, kiedy będą spać w przyczepie? Nagle Finka wcale nie była taka pewna, czy metaforyczne wysiadywanie jajek żar-ptaka to taki świetny pomysł...

Prawie zaczęła obgryzać paznokcie z nerwów, kiedy powierzchnia lustra nagle pociemniała, a potem rozbłysła, jakby zapaliło się w nim osobne słońeczko. I naraz dziewczynka siedziała przed smukłym mężczyzną o szaroniebieskiej skórze i mszyście zielonych włosach.

– No, no, kogóż to moje oczy widzą? Czyżbyś znów wplątała się w jakąś aferę? – zapytał rozbawiony.

Zawsze lepiej, niż gdyby miał być wściekły, bo na przykład przeszkodziła mu w śniadaniu. Niby zadeklarował, że ma u Finki dług i dziewczynka może liczyć na jego wsparcie, ale dziadek zawsze powtarzał, że liczyć na dobry humor elfów to jak liczyć latem na ładną pogodę nad Bałtykiem. Niby można, ale lepiej zabrać kurtkę.

– Nic tak straszego. Myślę, że Sorcha śpiewa i być może wkrótce się wykluje – powiedziała spokojnie.

– Bardzo możliwe, to zwykle trwa kilka tygodni. Czasem miesiące, jeśli jajko nie ma kontaktu z magią albo jest pozbawione ciepła, ale u ciebie jej to nie grozi – przytaknął i uniósł lekko brwi, jakby zastanawiał się, w czym problem.

– Martwię się, że wybuchnie. W przyczepie. Z nami śpiącymi obok – przyznała, a jej policzki zalał rumieniec, gdy Amavis zaczął się śmiać. A przynajmniej założyła, że ten odgłos, brzmiący jak skrzyżowanie szumu strumyka i toczących się kamieni, był śmiechem.

Zrobiło jej się trochę głupio, ale przecież to nie jej wina, że w podręczniku i bestiariuszu było całkiem sporo informacji o tym, jak żar-ptaki wyglądają i jaką mają magię, za to same ich narodziny i odradzanie się były owiane tajemnicą.

– Wystarczyło: „nie musisz się martwić, Finko, jajka żar-ptaków wcale nie wybuchają” – burknęła.

– Ależ nie, bestiarko, zdarza im się wybuchać całkiem regularnie. Ale to nie tak, że w środku nocy staną w płomieniach. To ty musisz dostarczyć mu płomieni, by coś z niego mogło się wykluć, i wtedy bardziej prawdopodobne niż nie, że i owszem, wybuchnie, więc lepiej nie rób tego w waszym domku na kółkach.

– Hmm, to znaczy co właściwie? Mam rozpalić ognisko i wsadzić jajko w płomienie? – zapytała Finka, która bardzo lubiła mieć jasny plan.

– Ognisko nie wystarczy. Chyba że rozpalisz je własną magią. Jeśli Sorcha śpiewa i jest bliska wyklucia, pewnie i twoje moce się budzą? – zapytał, jakby to było oczywiste.

– Być może – powiedziała, przypominając sobie ogniki, które potrafiła wyczarować na palcach. – Czemu nikt mi nie powiedział o tym wcześniej? Czy to nie jest, choć troszeczkę, wasza odpowiedzialność? A jeśli zrobię coś źle i Sorcha się nie odrodzi?

Amavis uśmiechnął się prawie łagodnie. Oczy mu pojaśniały jak młodziutka koniczyna.

– Sorcha nie wybrałaby cię, gdyby ci nie ufała. Słuchaj jej, a powie ci, czego jej trzeba. Ach, i jeśli już śpiewa, musisz ją nosić cały czas ze sobą. Brak kontaktu z ludzkim ciepłem jest dla niej przykry.

– Mam nosić to jajko stale przy sobie? Przecież nie włożę go do kieszeni! A jeśli je stłukę? – panikowała Finka.



– Na tym etapie, gdy magia Sorchy jest dość mocna, by śpiewała, mogłabyś w nie uderzać młotkiem i nie zdołałabyś go rozbić. W pudełku, które ci dałem, pod wyściółką, znajdziesz coś specjalnie na tę chwilę.

– A kiedy się wykluje? Co mam wtedy robić? – zapytała wciąż nieco zestresowana dziewczynka. – Nie mam żadnego doświadczenia w opiece nad pisklętami...

– Dasz sobie radę, słowo daję. Sorcha nie będzie takim pisklakiem, jak myślisz. Nie za drugim razem. Nie zamartwiaj się, bestiarko, to fantastyczny i bardzo radosny czas. Nie ma już wielu żar-ptaków na świecie, a oto narodzi się kolejny!

Jeśli tak na to patrzeć, miał rację, przyznała Finka.

Gdy wróciła do przyczepy, śpiew Sorchy, dobiegający spod jej poduszki, był niemal lamentem, stęsknionymi gorzkimi żalami jajka, które nie chciało zostawać samo. A ja nawet specjalnie się temu nie dziwię, pomyślała Finka i nie zamieniłaby tej dziwności na czas, kiedy nie wiedziała o istnieniu magii, żar-ptaków i mocy wykrzesania z siebie ognia. Na jej palcach igrały płomienie, kiedy wyciągała spod poduszki pudełko z jajkiem. Wystraszyła się, że może za chwilę pościel zajmie się ogniem, ale ogień polizał tylko białą powłoczkę, a potem otulił jajko leciutką poświatą. Lament umilkł natychmiast, zastąpiony radosnym gulgotaniem.

Faktycznie, pod miękką wyściółką wewnątrz pudełka Finka znalazła prezent od Amavisa – małą sakiewkę z zamszowej skórki z troczkami i splecionym z jedwabnych nitek sznurkiem dość długim, by mogła przełożyć ją przez ramię czy nosić zamiast paska przy spodenkach. Wsadziła jajko do środka, po czym przełożyła sznurek przez głowę i ukryła pod koszulką. Czuła na brzuchu ciepło bijące od sakiewki.

I od tego dnia nosiła je ze sobą wszędzie. Nawet jeśli nikt poza nią nie słyszał śpiewu i lamentu Sorchy, nie mogłaby jej zostawić w łóżku, wiedząc, że samotność ją smuci. Może przypomina jej czas w niewoli, gdy spędziła całe lata w kompletnej izolacji w osłoniętej od słońca klatce?

Czasami w ciągu dnia sakiewka robiła się gorętsza albo wydawała się drzeć delikatnie, a potem rozlegał się delikatny śpiew. Na razie nie były bliżej wielkiej chwili, ale Fince wystarczyła świadomość, że przyczepa nie zmieni się w kulę ognia, by czekać cierpliwie na moment, kiedy Sorchy będzie gotowa się wykluć. Była oczywiście nieziemsko ciekawa, jak wygląda taki nowo narodzony żar-ptak, zwłaszcza że miała świadomość, iż niewielu widziało taki cud na własne oczy. Może będzie mogła napisać o tym kiedyś we własnej książce o magicznych stworzeniach? – rozmarzała się Finka. Franek mógłby ją zilustrować!

Czasami mogła właściwie zapomnieć o tym, że nosi sakiewkę, tak była leciutka i w niczym nie przeszkadzała. A skoro nie musiała się martwić, że zgniecie jajko, nie zdejmowała jej nawet do snu. Teraz sakiewka leżała na poduszce, wtulona między szyję a brodę dziewczynki, a jajko śpiewało jej prosto do ucha.

Kto by się spodziewał, że będę miała tak magiczne poranki? – pomyślała Finka, a potem się zaśmiała, bo chrapanie dziadka wydawało się synchronizować ze śpiewem Sorchy albo to ona wkomponowywała te odgłosy, które przypominały odpalenie starego traktorka i pomrukiwania dzika, w swoją pieśń. Sznurówka, jak się okazało, była jedynym stworzeniem, które tak jak Finka słyszało żar-ptaka. I ogary piekielne, Pabla i Diega, ale one krążyły sobie po świecie, to pojawiały się, to znikwały nieoczekiwanie.

Na początku, po tym, jak Finka ukradła je Nero Mortusowi, trzymały się bliżej, jakby spodziewały się od dziewczynki rozkazów, ale kiedy dotarło do nich, że naprawdę są wolne i mogą robić, co chcą, zaczęły biegać z całą energią wypuszczonych na zieloną trawkę szczeniaków z piekła rodem.

Przez chwilę Finka leżała, wsłuchana w symfonię na żarptaka, pochrapywanie dziadka i Franka, który na pryczy nad nią, owinięty kocykiem jak kudłata gąsienica, mamrotał coś przez sen. Jak można spać, kiedy tyle się dzieje? – zastanawiała się dziewczynka. Tyle że przed szóstą cały cyrk spał jak zabity i mogła liczyć tylko na towarzystwo Sorchy i małego smoka. Ledwie słońce wstało, Sznurówka zaczęła szurać pazurkami o szybę, próbując wywołać swoją dziewczynkę na zewnątrz.

Finka naciągnęła na piżamę (ciągle na lewą stronę!) bluzę z kapturem, włożyła ciepłe skarpetki i trampki, upewniła się, że sakiewka z jajkiem dotyka jej gołej skóry, po czym po cichutku wyślizgnęła się z kampera. Nadmierna ostrożność, bo dziadek chrapał tak donośnie, że mogłaby tupać i gwizdać marsza, a i tak by nie usłyszała.

Nie zamierzała pakować się w żadne kłopoty, ale chciała się nieco rozejrzeć. Przeprowadzić mały rekonesans, zanim pójdą na śniadanie do burmistrza. Może uda jej się wyniuchać, co to za sprawa z tym całym demonem? I czym tak naprawdę pachnie magia tego miasteczka pod tymi wszystkimi warstwami maskującymi?

Smoczątko podskakiwało, wymachiwało skrzydłami i poklepywało się po brzuszku, ćwierkając i mlaszcząc z ekscytacji. Najwyraźniej Sznurówce ogromnie się podobały dekoracje w tym miasteczku. I koty, dużo kotów, całe stada – i wszystkie czarne! I tylko zmartwiło ją nieco to całe

jesieniowanie, bo czyż Finka nie mówiła, że będą z cyrkiem do końca wakacji, a czy jesień nie jest już zupełnie po wakacjach? I czy to znaczy, że Finka już za chwilę wróci do domu?

Wy tłumaczenie Sznurówce koncepcji kalendarza i tego, ile dni ma miesiąc i ile ich jeszcze zostało do końca wakacji, szło bardzo opornie, więc w końcu Finka przekonała ją, że czasu mają jeszcze mnóstwo i ta jesień w Dąbrówce też jest częścią przebrania – miasteczko tylko udaje, że jest już październik, ale robi to naprawdę bardzo wiarygodnie, więc można się nabrać.

Akurat miała dopytać, o co chodzi z tymi stadami czarnych kotów, ale właśnie wtedy je zobaczyła! Siedziały – co najmniej kilkanaście i każdy jeden czarny jak smoła – na wieku studni, na daszku, na ławeczce obok i wpatrywały się w improwizowany obóz cyrkowy z intensywnością, która nieco Finke niepokoiła. Może to przez lisy Gai była nieco nieufna wobec takiego zainteresowania ze strony zwierząt, co do których nie miała wcale pewności, czy są zwykłymi zwierzętami, a nie czymś całkiem innym.

– Czy to są zwykłe koty? – zapytała Sznurówkę, która je sobie już dokładnie obejrzała.

Mała smoczyca zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią, a potem zaświstała, że „teraz już tak”, cokolwiek to właściwie znaczyło. A przed „teraz” czym były? Niezwykłymi kotami? Czy czymś innym niż koty? Sznurówka nie знаła odpowiedzi na te dodatkowe pytania. Wzruszyła tylko skrzydełkami i pomachała wachlarzykami wokół uszu, a potem zaświstała: czy to w ogóle wiadomo z takimi kotami?

Finka chętnie by je przepytowała, ale chyba to wyczuły: najpierw wstał jeden, trochę większy i – o ile to możliwe –

bardziej czarny od pozostałych czarnych kotów i niespiesznie, kocio nadąsanym krokiem oddalił się, przecinając rynek. Reszta ruszyła za nimi. Koci pułk przespacerował przez środek rynku, a potem zniknął między domami.

Dziewczynka i Sznurówka nie zamierzały ich gonić. Wiadomo powszechnie, że koty robią, co chcą, i nie da się ich zmusić do niczego. Można się tylko spocić, próbując.

Przechadzały się więc dookoła rynku, zaglądając przez okna i podziwiając wystawy sklepików, które rozciągały się wzdłuż dwóch boków placu. Trzeci przylegał do zielonego skwerku (to tam stały ich przyczepy i kampery), a czwarty zajmował okazały budynek pomalowany na jaskrawopomarańczowy kolor. Wielki szyld nad wejściem informował, że tu oto znajdował się ratusz Dąbrówki. Według drewnianej tabliczki wiszącej na drzwiach godziny urzędowania ratusza były bardziej niż skromne – między 8.00 a 9.30 w poniedziałki i między 12.00 a 13.30 w środy, co nawet Fince wydało się nieco dziwne. Czy urzędy nie są zwykle otwarte codziennie, i to znacznie dłużej?

Dużo ciekawsze od ratusza były jednak sklepiki! Miasteczko traktowało dekoracje i przebrania naprawdę poważnie! Tuż przy rynku naliczyły aż sześć sklepów z dekoracjami. Jeden wyspecjalizował się konkretnie w świecących, lampkach, girlandach, lampionach, kurtynach świetlnych, reflektorkach i rzutnikach. Dwa miały szeroką ofertę dmuchanych dekoracji – na wystawie prezentowały się wspaniale dmuchany nawiedzony zamek i przezroczyste balony, w których grzechotały czarne nietoperze! W pozostałych można było kupić chyba każdy szkielec, jaki kiedykolwiek wyprodukowano, a część zombie, które Finka

widziała na wystawie, wyglądała nieco zbyt realistycznie jak na jej gust. Przynajmniej tak sądziła, nigdy nie widziała prawdziwego zombie. Ale gdyby wyglądały jak te figurki z wystawy i szły w jej stronę z wyciągniętymi rękami, jęcząc: „Mózg! Mózg!”, byłaby solidnie przerażona. Po sąsiedzku mieściły się dwa sklepy z przebraniami, w tym jeden z setką kapeluszy wyeksponowanych na wystawie.

Sznurówka natychmiast zapragnęła wiedźmiego kapelusza, bo smoki też się powinny przebrać! Jeśli wszyscy, to wszyscy! Finka obiecała jej, że wrócą do sklepiku już po otwarciu.

Przy rynku znajdował się też warzywniak wyspecjalizowany w dyniach – w oknie wisiał plakat informujący, że oferują kurs robienia lampionów, służą również pomocą przy wycinaniu.

No i oczywiście: czy mogło się obyć bez sklepu oferującego cukierki? Nie w mieście, w którym dzieciaki regularnie wymuszają na sąsiadach słodkości, grożąc psikusami! Finka i Sznurówka przywarły do ociekającej cukrem wystawy i z trudem powstrzymały pragnienie polizania przez szybę tych wszystkich lizaków, cukierków, batoników, czekoladek, landrynek, gum w kulkach i ciasteczek... Och, dziewczynka miała nadzieję, że mieszkańcy do „cukierek albo psikus” podchodzili tak poważnie, jak do dekoracji!

Musiała przyznać, że się nieco rozproszyła. Miała tu rozglądać się za demonami, a zaśliniła się na widok wystawy.

– Czy wyczuwasz tu może jakiegoś demona? – zapytała Sznurówkę, a smoczyca przekrzywiła łebek i zastanowiła się głęboko nad odpowiedzią.

– Tylko duchy – zaświergotała i takiej odpowiedzi się Finka nie spodziewała.

– Duch? Jest tu jakiś duch? – zapytała zaskoczona, rozglądając się nieco niepewnie.



– Dużo, dużo, dużo! – Sznurówka aż się zapowietrzyła i zaczęła puszczać kłębuszki dymu z emocji.

– Więcej niż kotów? – dopytywała Finka, bo jak z kalendarzem, tak z liczeniem Sznurówka nie radziła sobie najlepiej.

– Teraz? – zaświergotało smoczątko.

– Nie no, teraz to na pewno jest więcej duchów, skoro koty zniknęły – zaproponowała Finka.

Na co jej smoczątko zadarło główkę i zaświstało rozbawione. Finka też zadarła głowę. Ha, koty sobie wcale nigdzie nie poszły. Po prostu wycofały się na z góry upatrzone pozycje. Obsiadły dachy, rynny, konary drzew, parapety, a jeden siedział nawet całkiem wygodnie rozwalony na latarni! Musiało ich być więcej niż dwadzieścia! Co do sztuki czarnej, z intensywnie zielonymi oczami, które patrzyły teraz na Finkę z wyraźnym rozbawieniem.

– Czy duchów jest więcej niż kotów teraz? – powtórzyła pytanie.

Troszeczkę zaschło jej w gardle, gdy Sznurówka, po chwili zastanowienia czy być może liczenia tych duchów, których Finka zupełnie nie widziała, przytaknęła z zapalem. O tak, duchów było więcej niż kotów!

Finka zrobiła to, co każda rozsądna dziewczynka na jej miejscu. Pobieгла do przyczepy obudzić brata. On przynajmniej zobaczy te wszystkie duchy!

\* \* \*

Franek nie wiedział, że śni. Był całkowicie zanurzony we wrażeniach i przerażony do szpiku kości. Otaczał go przenikliwy chłód, a jednocześnie słyszał głos, który mówił:

– Przecież wcale nie jest ci zimno. Im jest zimno, ty nie jesteś dość żywy, by ci było zimno. Martwy chłopiec z martwą magią. Cały ty!

Nie znał tego głosu, nie w realnym świecie, ale w snach słyszał go naprawdę często.

Nic nie widział. Ciemność, która go otaczała, była całkowita i nieco dziwna... miękka jak aksamit albo futerko czarnego kota. Pocierał oczy, ale to nic nie zmieniało. Może stracił wzrok? Ta myśl go przerażała jeszcze bardziej niż ta druga, która nastąpiła zaraz po tej o ślepotę: może jesteś w grobie? Może był. Martwy chłopiec z martwą magią, gdzie indziej mógłby być?

Nasłuchiwał, czekając na jakiś szelest, odgłos, trzaśnięcie gałązki, cokolwiek, co pomoże mu się zorientować, dokąd iść. Albo czy jest tu sam. Bo głos wcale nie znaczył, że jest tu ktoś poza nim. A przynajmniej nie oznaczał, że to ktoś żywy. Trzaśnięcie gałązki czy odgłos kroków były dużo pewniejszą oznaką życia.

Stał, nasłuchiwał, próbował przebić się spojrzeniem przez aksamitną czerń, a wtedy coś go dotknęło. I znów. I znów. Jak zimne macki czy palce. Szturch. Stuk. Jakby się droczyło. Jakby bawiło je to, że Franek nic nie widzi i nie wie, kto tu jest. Jak małe ukłucia lodu na skórze, ślady czyjejś obecności.

– Kim jesteś? – zawołał.

– Boisz się, martwy chłopcze? – Znów ten głos. Nawet nie był pewien, czy był kobiecy, czy męski... Wydawało mu się tylko, że jest starszy, jeśli to w ogóle miało jakiś sens.

Nie bał się. Wiedział, że powinien, że to wszystko było obiektywnie straszne i gdyby taka scena znalazła się w horrorze, mama schowałaby głowę pod koc i pisnęła jak mała dziewczynka.

„Franiu, daj mi znać, kiedy już nie będzie straszno!”. A on powiedziałby: „Już nie jest straszno!” – choć właśnie byliby w środku najstraszniejszej sceny w filmie. Mama wyjrzałaby spod koca, zerknęła tylko w stronę ekranu, pisnęła i znów schowała głowę. Tak, był pewien, że byłaby wystraszona tym wszystkim, ciemnością, głosem, zimnem. Ale ona była żywa, prawda? Jeszcze była żywa...

Miał już odpowiedzieć głosowi, że w sumie to się nie boi. I że wcale nie uważa, że to taka dobra zabawa. I czy mogą już przestać i zapalić światło? Ale właśnie wtedy usłyszał nowy głos:

– Franek, wstawaj, szybko! Musisz zerknąć na stado duchów. I w sumie na koty też powinieneś spojrzeć. Słyszysz mnie?

Próbował ignorować ten głos, znał go. Chciał powiedzieć tamtemu głosowi z ciemności do słuchu, skończyć tę okrutną grę, pragnął rozgarnąć tamtą ciemność, miękką jak kocia sierść, i zobaczyć, co tam było, co go dotykało. Ale powinien wiedzieć lepiej. Finka łatwo się nie poddawała.

Nagle przejmujące go do szpiku kości zimno ustąpiło przed gorącem. W snach była gorąca jak ognisko.

– Młotku, słyszysz mnie? Jesteś potrzebny, ty i twoja magia! – powtarzała, potrząsając nim intensywnie.

Poddał się i otworzył oczy. I zobaczył wiszącą parę centymetrów nad jego twarzą siostrę. Jej twarz otaczały kasztanowe loki, które z tej perspektywy upodabniały ją do stukniętej Meduzy z węzami zamiast włosów.

– Jędza – sapnął i zerknął na zegarek. Nie było nawet ósmej! – Jakie znowu duchy? – warknął.

– Rozejrzałam się – powiedziała.

– Nie wątpię – mruknął, pocierając twarz dłońmi.

– I Sznurówka mówi, że tu są duchy.

– Twój smok widzi duchy? – zapytał zaskoczony.

– Najwyraźniej. Tak twierdzi, ale w sumie ja nie widzę, więc nie wiem, czy to prawda.

– I ja mam to sprawdzić? – zapytał z rezygnacją.

– Franiu, po co spać, kiedy jesteśmy w nowym, ekscytującym miejscu? Wiesz, jakie tu są świetne sklepy? Ze wszystkim halloweenowym. Z cukierkami też. Szkoda tracić czas na leżenie w łóżku – zapewniła.

Franek nie miał nic przeciwko temu, by zmarnować trochę czasu. Tu było ciepłutko, miał kocyk i poduszkę i nie mogła go dosięgnąć żadna zimna macka. Ale znał swoją siostrę. Była nakręcona. Równie dobrze mógł wstać i skrócić własne cierpienia.

– Dobra, pokaż mi te duchy – stwierdził, zsuwając się z pryczy na podłogę.

Finka wepchnęła mu w ręce bluzę, skarpetki i buty.

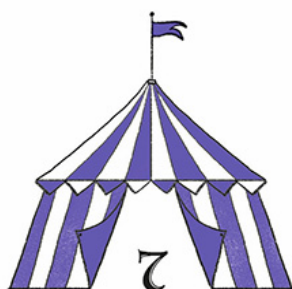
– Piżamę zostaw na lewej stronie. Jeśli tu naprawdę są duchy, to może z tym demonem też jest coś na rzeczy? – powiedziała.

Franek włożył dodatkowe ciuchy i wyskoczył za Finką z kampera. I ledwie się rozejrzył, cofnął się zaskoczony.

– I co? Są duchy? – zapytała Finka niecierpliwie.

Duchy? Żeby tylko duchy! Owszem, duchów było mnóstwo, całe stada! Najgęściej tłoczyły się wokół studni. Gorzej, że studnia dosłownie świeciła fioletową poświatą martwej magii! I właściwie wszystko świeciło martwą magią. Niektóre rzeczy leciutko, ledwie fiołkową poświatą dostrzegalną, gdy zmrużył oczy, inne były intensywnie fioletowe, bardziej nawet niż kościane makabreski Nero Mortusa, choć tamte maskary powstały dzięki nekromancji! To Franek mógł zrozumieć. Ale

czemu wszystkie czarne koty w okolicy, a było ich nieskończenie wiele, jarzyły się fioletem tak intensywnym jak gumijagody?



## STRASZNIE MILE WIDZIANI GOŚCIE

Kiedy dziadek wreszcie się obudził, wcale nie był w nastroju do słuchania historii o duchach, kotach emanujących martwą magią czy dziwnej studni. Był marudny, bo przespał budzik, a nawet drugi budzik i trzy drzemki, więc teraz biegał jak kogut bez głowy w te i we w te, próbując znaleźć swoje „eleganckie” ubranie. Różniło się ono od jego codziennego ubrania tylko tym, że było czyste, a łaty na portkach i łokciach zdawały się nieco mniej widoczne.

– Zrobimy fatalne wrażenie, dzieciarnio, fatalne! Czy wy choć już ubrani? – zapytał, chodząc na klęczkach i zaglądając pod skrzynie w poszukiwaniu skarpetki do pary. – Jest! – zakrzyknął triumfalnie, unosząc ją nad głowę jak puchar mistrzostw świata.

Zaczął naciągać je na swoje wielkie i bujnie owłosione stopy, nie bacząc zupełnie na to, że pomarańczowe skarpetki gryzły się niemiłosiernie z chabrowymi spodniami. Może zresztą niewiele mu wadziło, bo włożył też fioletową koszulę,



kanarkową kamizelkę i czarny frak. Nasadził na czubek głowy aksamitny cylinder i był gotów. Finka musiała nieco zmrużyć oczy od jaskrawości całego zestawu, ale dostrzegła jedną z niego korzyść – teraz dziadek naprawdę mógł to uznać za przebranie. Wyglądał jak dorodna papuga.

– To jak, gotowi na śniadanie w gościach? – zapytał dzieciaki, które wcisnęły się na górną pryczę Franka, by nie przeszkadzać dziadkowi w szaleńczych podskokach i poszukiwaniach.

– Przynajmniej prawie na pewno nie podadzą nam na śniadanie owsianki – stwierdziła Finka, zsuwając się z pryczy.

– O, nie lubisz owsianki? – zatroskał się dziadek, bo od kilku tygodni jedli ją regularnie.

– Lubię. Na mleku, z rodzynkami i miodkiem – powiedziała Finka i ani nie wspomniała, że od ponad tygodnia owsianka była na wodzie, a o rodzynkach i miodku dawno zapomnieli.

Owsianka na wodzie miała jedną jedyną zaletę – choćby nie wiem co, nie robił się na niej kożuch – ale wciąż wad miała znacznie więcej. Na przykład nie była na mleku i nie miała za grosz smaku. Finka była w nastroju wspaniałomyślnym, więc nawet się nie zająknęła, że ze wszystkich owsianek gotowanych na zmianę przez członków trupy cyrkowej to właśnie dziadkowa najbardziej przypominała zupę z kartonu i kleju introligatorskiego, a do tego prawie zawsze pachniała płatkami przypalonymi na dnie gara. Prawdziwe osiągnięcie kulinarne w kategorii „gorzej być nie może”. Więc cokolwiek zaserwują na śniadanie burmistrz i jego żona, przewidywała wyraźną poprawę na tle średniej ostatnich dni.

– Nie mów hop – zauważył Franek, jakby czytał jej w myślach. – A jeśli preferują jajecznicę z glutami? Albo ugotowane przedwczoraj jajka na twardo w sosie

musztardowym? Albo w ogóle nie jadają śniadania i dostaniemy tylko kawę zbożową bez cukru i pół grejpfruta?

– Oj, chłopcze, ja tu widzę poważny syndrom szklanki do połowy pustej! – zawołał Baltazar Bączek, załamując ręce.

– Lepiej być przygotowanym na rozczarowanie i mile się zaskoczyć – powiedział Franek, wzruszając ramionami.

– To coś ci powiem, Franiu. Jeśli twoje przewidywania się sprawdzą, wcale nie będziesz musiał jeść tych glutów. Wypijesz swoją kawkę zbożową, a potem pójdziemy na porządne śniadanie, co ty na to?

– Jest to całkiem miła alternatywa dla posiniałych jajek. Dawali nam takie w przedszkolu na obiad i nawet Finka, choć wtedy wciągała wszystko jak odkurzacz, nie była w stanie ich tknąć.

– To przez ten zapach. Gdy trafiły się w dzień, kiedy miałam katar, mogłam je nawet przełknąć – wyjaśniła dziewczynka.

Dziadek, śmiejąc się pod nosem, wyprowadził wnuki z kampera. Branwen już na nich czekała, w kolejnym olśniewająco pięknym kimonie – tym razem intensywnie różowym, z haftowanymi na rękawach i na plecach delikatnie zarumienionymi peoniami. Dziadek już wczoraj uznał, że o ile prowadzenie na prośzone śniadanie zmiennokształtnego tygrysa może być nietaktem, bo maniery przy stole Max miewał nieco nieokrzesane, to pójdzie tam bez cyrkowej wiedzy byłoby głupotą. Ciągłe nie wszystko wiedzieli, nie wszystko było całkiem normalne i Baltazar wietrzył w tym jakąś magię, której nie umiał nazwać ani przypisać do czegoś, z czym się zetknął w przeszłości. Branwen miała doskonałe maniery przy stole, ale też była ich tajną bronią. Uznali z resztą trupy, że na rekonesans pójda tylko w czwórkę, za to

pozostali się dyskretnie rozejrzą po okolicy, zatankują wszystkie pojazdy, korzystając z zaskórniaków wręczonych Maxowi przez maestra, i zrobią zapasy spożywcze. Bączek należał do optymistów, ale wolał też, by byli gotowi na szybką ewakuację, gdyby taka była konieczna.

Wędrując do domu burmistrza dziarskim krokiem (mimo obaw nie groziło im spóźnienie, a też Dąbrówka była na tyle niewielkim miasteczkiem, że wszędzie było całkiem blisko), nie mógł się Baltazar nadziwić, jak inaczej, niż pamiętał, wyglądało to miasto. I jak inną miało energię. Wydawało się takie... żywe. Miasteczko, które odwiedził wiele lat temu, podupadało. Starzało się, brakowało młodych, którzy wyjechali, szukając nowych okazji i możliwości w większych miastach. Pamiętał, jak przygnębiające wrażenie robiły domki z obłazącą farbą czy zasłoniętymi dyktą oknami, bo nikt już w nich nie mieszkał. Taka zmiana! Kto by pomyślał! To coś, o co chętnie wypyta burmistrza, bo często w czasie wędrówek spotykał takie podupadające i smutne miasteczka i nie miałby nic przeciwko, gdyby wszystkie przeszły taką metamorfozę jak Dąbrówka.

Branwen szła obok niego, rozglądając się na boki nieco zdziwiona tym, jak ciche było miasteczko rano. I jak ładne! Lampki, girlandy i świetlne kurtyny zdążyły już zgasnąć, ale nawet opromienione słońcem dekoracje wyglądały wspaniale. Tylko raz po raz przechodził ją dreszcz, jakby ktoś przebiegł po jej grobie. A magia tego miejsca wydawała jej się całkiem obca i Branwen zupełnie nie umiała uchwycić jej między palce i wchłonąć w swoją aurę – choć zwykle nie miała z tym problemów. Była wiedźmą, czerpanie z zasobów magicznych miejsc stanowiło część jej daru. Nie potrafiła magazynować magii na dłużej. Tyle, ile normalnie mieściło się w kryształowej

biżuterii, nie starczyłoby na długo, pielęgnowała więc sztukę czerpania z tego, co było dla niej dostępne. Tu nie znalazła tego zbyt wiele. Dziwne, bo jednocześnie całe miasteczko wydawało się emanować magią!

Finka szła, zadzierając głowę i niepokojąc się nieco o Sznurówkę. Zanim dziadek się obudził, niecierpliwa smoczyca postanowiła pokręcić się nad miastem i zrobić mały rekonesans, ale minęło już prawie czterdzieści minut i Finka zaczynała się zamartwiać, że Sznurówka szukała kłopotów i znalazła demona, o którym słyszeli poprzedniego dnia. Nie miała pojęcia, czy demony i smoki są naturalnymi wrogami, czy przeciwnie, zdołają się dogadać. W teorii oba gatunki były powiązane z żywiołem ognia, ale to nigdy nie było takie proste. Salamandry też były ogniste, a z tego, co dziewczynka wyczytała, konflikty między smokami a nimi były gorące i odwieczne...

Franek szurał stopami w szeleszczących liściach. Kto to słyszał, by liście szeleściły w samym środku wakacji? I tak mu przyszło do głowy... czy możliwe, że opadły przez całą tę martwą magię, której było tu aż tyle? Franek czuł się prawie jak w swoich koszmarach – zimne macki prześlizgiwały się po jego plecach, szukając zaczepki. Nie zamierzał na nie reagować. W snach czy na jawie, to się nigdy nie kończyło dobrze. Szedł więc w milczeniu, wbijając spojrzenie w czubki swoich trampek, by nie zachęcać tych wszystkich duchów, które całymi stadami przemierzczały się po uliczkach miasteczka. Grupki pięciu, siedmiu, kilkunastu. Niektóre po prostu stały pod latarnią czy przysiadły na ławkach. Inne krążyły po ulicach, jakby czegoś szukały, czegoś zapomniały, coś nie dawało im spokoju. Te były najgorsze. Właśnie przez

nie Franek unikał podnoszenia wzroku. Gdy tylko zorientowały się, że je widzi, zrobiły się nieco natarczywe.

– Uwolnij nas, słyszysz? Co się tu dzieje? Jak ja się tu znalazłem? Powinienem być zupełnie gdzie indziej! Widziałeś może moją żonę? Szukam jej od wczoraj, ma czarne, kręcone włosy i urwało jej rękę w wypadku samochodowym. Jesteś martwy jak my? To dlatego jesteś taki fioletowy? Daj trochę ciepła, ciągle je masz...

Gadały jeden przez drugiego, popychając się na Franka, zachodząc mu drogę, aż musiał zrobić krok w bok, bo za skarby świata nie chciał ich dotykać. Gdyby to zrobił, pewnie Finka też by je zobaczyła. I pozostali. I pewnie chcieliby od razu wyjechać. I dziadek i Żuczek znów by się kłócili. I nie byłoby przedstawień, a kasa świeciła już dnem. O nie, Franek mógł kontrolować grymasy i nie wzdrygać się nawet wtedy, kiedy lodowate palce wczepiały się w jego kark czy próbowały szarpać go za włosy. Wcisnął ręce do kieszeni, bo jak długo nie dotykał żadnego z duchów, nie mogły zrobić nikomu krzywdy. Nawet jemu. Nie były na to wystarczająco cielesne. I już Franka w tym głowa, by tak zostało.

\* \* \*

Gdy wcisnęli guzik dzwonka w domu burmistrza, rozległa się mroczna melodyjka *Toccaty d-moll*. On naprawdę podchodzi do Halloween poważnie – pomyślała rozbawiona Finka. Znała tę melodię, bo tatuś miał ją w komórce przypisaną do swojego szefa i za każdym razem, gdy ten dzwonił, żartowali sobie, że zaczyna się horror.

Drzwi się otworzyły i na progu stanęła pani burmistrzowa. Zupełnie nie pasowała do horrorowych skojarzeń. Wesolutka

jak szczygiełek, w sukience w fioletowo-białą kratę i przepasana białym fartuszkim, zaprosiła ich do środka.

– Mam nadzieję, że wszyscy lubią gofry? Mamy też inne rzeczy, oczywiście, trochę zdrowsze i bardziej tradycyjne też, ale obudziłam się z myślą, że to stanowczo jest dzień na gofry! – świergotała, prowadząc ich w głąb domu do jadalni.

Stół zastawiony był już talerzami, półmiskami i w całym pokoju pachniało cudownie! Dzieciaki wymieniły się porozumiewawczymi spojrzeniami. Co do tego zgadzały się bez wahania – gofry to zawsze był świetny pomysł. A już po tygodniu owsianki na wodzie gofry brzmiały jak ambrozja i pokarm bogów.

Zajęli przy stole miejsca, które wskazała im burmistrzowa, a ona oświadczyła:

– Moi chłopcy zaraz zejną, coś dzisiaj dłużej zamarudzili. Przyniosę dzbanek z herbatą... Państwo pewnie woleliby kawę? – zwróciła się do Baltazara i Branwen.

– Herbata wystarczy – powiedziała wiedźma uprzejmie.

– Czarna z cukrem, dziękuję – odezwał się w tym samym czasie Baltazar.

Pani burmistrzowa zaśmiała się, jakby to był najlepszy żart, jaki słyszała od dawna.

Zakręciła się na pięcie i potruchtała do kuchni. To też rzuciło się w oczy Fince – kobieta nie chodziła, ona truchtała, uwijała się, dreptała... A wszystko robiła z szerokim uśmiechem. Niepokojące. Nie na tyle, by nie jeść jej gofrów, ale dość, by nie brać z jej rąk żadnych jabłek czy wrzeciona.

Kilka minut później w jadalni pojawili się pan domu i chłopiec, może trzynastoletni.

– Poznajcie Bogusia, już mu o was mówiłem i z przyjemnością zabierze was dziś wieczorem na „cukierek



albo psikus”! Zna okolicę od podszewki i zawsze wie, w których domach rozdają batoniki – powiedział burmistrz, siadając przy stole. – A skoro już o wieczorze, panie Baltazarze, po prostu musicie się wszyscy zjawić na naszym przyjęciu. Zaczyna się o siedemnastej, żeby dzieciaki też mogły wziąć udział, zanim pójdą terroryzować mieszkańców. Ale wszyscy! Nie tylko reprezentacja ekipy!

Baltazar Bączek uśmiechnął się grzecznie i powiedział:

– Jest nas w sumie prawie dwadzieścioro, więc nie odważyłbym się składać gospodyni na barki aż takiego wyzwania.

– Bzdura! Amelia uwielbia urządzać przyjęcia, im więcej ludzi, tym weselej! Poza tym jesteście naszymi gośćmi, a wie pan, co trzeba zrobić z gośćmi? – zapytał Wyciorek i poruszył wymownie brwiami. – U-GOŚ-CIĆ!

Zaśmiewał się ze swojego dowcipu i nawet nie zauważył, że Branwen i Baltazar zareagowali tylko powściągliwymi uśmiechami.

– Chyba że chcecie mi sprawić przykrość, to wtedy oczywiście nie musicie przychodzić – dorzuciła burmistrzowa, wnosząca akurat tacę z filiżankami i dzbankiem z kawą. Mąż zerwał się z miejsca, by pomóc jej nieść ciężki ładunek.

– Nikt nie chciałby ci sprawić przykrości, duszko – zapewnił i cmoknął ją w czubek głowy.

I tak stało się jasne, że mają już plany na wieczór. Gdzieś między trzecim a czwartym gofrem Baltazar zebrał się wreszcie na odwagę, by przerwać ciąg burmistrzowych bon motów i dowcipów pytaniem:

– Więc jak doszło do tego całego przeobrażenia w miasteczko wiecznego Halloween? To nie jest mój pierwszy

raz w Dąbrówce, ale muszę przyznać, oniemiałem, widząc zmiany!

Burmistrz siorbnął kawę z filiżanki, a potem wyjaśnił:

– Ach, to już trwa ładnych parę lat! Zaczęło się od festiwalu jesieni. Okazał się fantastycznym sukcesem. Mieliśmy zaskakująco wielu turystów i wszyscy się znakomicie bawili. Więc poszliśmy krok dalej. A potem kolejny. I tak, zanim się spostrzeżliśmy, weszliśmy w tryb całorocznego świętowania Halloween. A to ma znakomity wpływ na turystykę w miasteczku, znakomity! Wszyscy słyszeli o miasteczkach i wioskach bożonarodzeniowych, ale nigdzie i nigdy nie było miasteczka takiego jak nasze.

– Czyli to wszystko z myślą o turystach? – zapytała Branwen.

– Nasze miasteczko ogromnie wiele zawdzięcza turystyce – przyznał burmistrz.

– Można powiedzieć, że Dąbrówka nie byłaby taka sama, gdyby nie turyści – dorzuciła pani Amelia i wymienili się z mężem ciepłymi uśmiechami.

– Czyli na swój sposób ten wystrój i opowieści o nawiedzonych domach i demonach to sztuczka? – podpytywał dziadek.

– Czyż wszystko nie jest w jakimś stopniu sztuczką? – zapytał filozoficznie burmistrz.

– Ale też są warstwy, wszystko ma warstwy – dodała pani Amelia.

– Tak, mamy zabawę dla mieszkańców i wabik turystyczny, ale mamy też ochronę przed demonem, który jest jak najbardziej prawdziwy. I faktycznie zamieszkuje nawiedzony dom. Więc mieliśmy do wyboru próbować z nim walczyć... a żadne z nas nie zna się zupełnie na walce z demonami...

albo sięgnąć po sztuczki, które go odstraszą, i będziemy bezpieczni.

– Z demonami w sumie nie trzeba walczyć, wystarczy je odesłać do domu, do piekła – zauważyła przytomnie Branwen.

– No niby można. Ale ten, który go tu ściągnął, czyli czarnoksiężnik Adamus, zniknął jednego dnia, a nikt poza nim nie zna się na takich sprawach. – Burmistrz skrzywił się, jakby właśnie zjadł cytrynę i zagryzł ją czarnym pieprzem.

– Nie możesz się winić, kochanie – wtrąciła burmistrzowa i poklepała go po dłoni.

– Winić? Czyżby miał pan w tym jakiś udział? – zapytała Branwen, przechylając lekko głowę, wyraźnie zainteresowana tym kawałeczkiem historii, który gospodarze celowo omijali.

– Bardzo niewielki. Ale tak się składa, że czarnoksiężnik Adamus urodził się jako Adaś Wyciorek i był moim młodszym bratem. Przegapiliśmy z rodzicami ten moment, kiedy po prostu zszedł na złą drogę. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, ale był po prostu stracony dla świata. – Burmistrz pokręcił głową z żalem.

Nagle Finka poczuła, jak coś śliskiego ześlizguje się po jej karku. I wiedziała, że właśnie przyłapała mężczyznę na kłamstwie. Korzystał też z dosyć topornego uroku wpływu. Nie miała pewności, jak zaklęcie powinno zadziałać. Nie było tak oczywistym urokiem „musicie mnie polubić i cieszyć się, że mnie widzicie” jak to, którym rzucała w nią Gaja, ale na swój sposób wydawało się podobne. Zerknęła na dziadka i Branwen, przekonana, że też musieli to zauważyć, ale wyglądali na całkiem ugłaskanych i zadowolonych z odpowiedzi Stanisława Wycioraka.

– Pamiętajcie, by się trzymać z daleka od nawiedzonego domu! Jest zresztą otoczony jakimś strasznym zaklęciem

i nikt nie może podejść za blisko – powiedział burmistrz, zmieniając gładko temat.

– I oczywiście wybierzcie się do sklepików po kostiumy i dynie. Lepiej nie wychodzić bez nich.

– Albo? – zapytała ciekawska Finka.

– Nie rozumiem? – Burmistrz zamrugał zaskoczony i wbił wzrok w dziewczynkę.

– Mamy nosić kostiumy i postawić dynie... albo co? Bo musi być jakieś ale. Co nam grozi bez nich? – dopytywała.

– A bo to warto roztrząsać takie czarne scenariusze? Lepiej zadbać o ochronę niż potem żałować. W sklepiku dostaniecie rabat dla turystów, bo przecież wszystkim zależy, byście byli cali i zdrowi – zapewnił burmistrz.

– Wystarczy choćby bielizna na lewą stronę – dodała burmistrzowa. – Choć kostiumy po prostu uprzyjemniają całe doświadczenie! Kto nie chciałby choć na chwilę być piratem? Albo księżniczką? Albo duchem? A tu można przebierać się każdego dnia za kogoś innego. Wszyscy mamy szafy pełne kostiumów i korzystamy z nich z radością.

– Na pewno w sklepiku przy rynku znajdziecie coś na każdy rozmiar – dodał burmistrz.

– Tylko nie przebierajcie się za mumię czy robota, bo te kostiumy są już zajęte. – Boguś odezwał się pierwszy raz podczas śniadania. – Przyjdźcie na przyjęcie już w kostiumach, nie ma sensu tracić czasu na wracanie do waszego obozu i przebieranie się, jasne?

Zmiotł cztery gofry z bitą śmietaną i kręcił się na krześle, mając wielką ochotę ulotnić się z domu i biec na spotkanie z kolegami. Rozumiał, że wieczorem musi poniańczyć turystów, ale przecież nie miał obowiązku zabawiać ich we

własnym domu. Jak każdy trzynastoletni chłopiec miał plany, a te nie uwzględniały bawienia dzieciaków.

Franek i Finka kiwnęli głowami, choć uczucia mieli nieco mieszane. Bo owszem, „cukierek albo psikus” brzmiało jak niezła zabawa, ale Boguś nie wydawał się zbyt przyjazny nawet teraz, pod okiem rodziców. Jaki będzie, gdy znikną im z oczu?

Przynajmniej śniadanie jest naprawdę dobre, pomyślała Finka, nakładając sobie jeszcze dwa rogaliki z konfiturą śliwkową. Co do reszty... cóż, musiała sobie to wszystko przemyśleć.



## PRZEBRANIE TO PODSTAWA UDANEGO PRZYJĘCIA!

Gdy tylko wrócili do obozu, jak spod ziemi wyrósł urzędnik – chudy, wysoki jegomość, który na szary garnitur narzucił czarną pelerynę z czerwoną podszewką, powiewającą majestatycznie przy każdym jego ruchu.

– Witam państwa serdecznie – powiedział i uśmiechnął się oszczędnie.

Finka musiała zasłonić usta ręką, bo dostrzegła, że do kompletu z peleryną nosił plastikowe wampirze kły, które sprawiały, że lekko seplenił. Nigdy nie widziała urzędnika przebranego za wampira, ale była pewna, że mamie by się to ogromnie spodobało. Często mówiła, że w dzisiejszych czasach wampirów nie ma, bo zastąpiły ich ZUS i urząd skarbowy.

– Mam dobrą wiadomość – mówił dalej, a kły bieleły się za każdym razem, gdy otwierał usta. – Możecie się już państwo przenieść z przyczepami w nieco bardziej dogodne miejsce, z dostępem do prostych, acz niezbędnych zdobyczy cywilizacyjnych. To raptem kilka minut stąd, przy szkole



podstawowej, a że lekcji obecnie nie ma, będziecie mogli bez problemu korzystać z łazienek, bieżącej wody i gniazdek. Na szkolnym boisku zmieści się cyrkowy namiot. Tylko rozłożyć możecie go dopiero pojutrze, jutro wpadnie woźny i przygotuje przestrzeń, pochowa bramki i ławki. Wszystko jasne?

– Oczywiście – przytaknął skwapliwie Baltazar Bączek, z trudem tłumiąc wesołość. Jemu też urzędnicze przebranie przypadło do gustu.

– No i znakomicie. To ja państwa zaprowadzę.

Przez chwilę spoglądał w niebo, jakby czekał na znak, czy na tym zakończyć, czy poruszyć kolejny temat. Niebo milczało, więc uznał, że powinien wprowadzić gości w jeszcze jedno zagadnienie.

– Panie Baltazarze, chciałbym, by pan w pełni rozumiał sytuację. Lubimy udawać, że całe to miasteczko wiecznego Halloween to tylko zabawa i rozrywka dla turystów. Ale nigdy nie zapominamy, że wyrosło to z autentycznego zagrożenia, które wcale nie jest już zamierzchłą przeszłością – mówił cicho, jakby z wysiłkiem.

– Burmistrz wspominał nam o demonie, który sprawia wam problem – powiedział maestro Bączek i zachęcająco pokiwał głową.

– Tak, to dobrze. Mam nadzieję, że pan rozumie powagę sytuacji? – dopytywał urzędnik, unikając patrzenia Baltazarowi w oczy.

– Z demonami sytuacja zwykle jest poważna – przyznał Bączek.

– To prawda. Chodzi więc o to, że kostiumy nie są tylko zabawą. Są środkiem ostrożności. Nie ma sensu kusić licha. Rozumiem, że to dla was nowość, ale radziłbym zaopatrzyć się w przebrania przez zapadnięciem zmroku. Oczywiście jako

goście Dąbrówki macie zagwarantowany rabat w sklepikach z dekoracjami i kostiumami.

– Z przyjemnością skorzystamy z oferty miejscowych sklepów – zapewnił Baltazar, podejrzewając, że urzędnikowi zależy na tym, by zostawili trochę grosza w miejskiej szkatułce.

Ale szczupły mężczyzna w stroju wampira tylko pokręcił głową i powiedział:

– To nie muszą być nowe kostiumy, proszę mnie źle nie zrozumieć. Niektórzy mówią, że wystarczy włożyć ubrania na lewą stronę, choć osobiście bym temu nie zawierzył swojego życia.

– Czyli naprawdę każdego dnia nosi pan kostium? – wtrąciła się Finka.

– Każdego dnia, a zwłaszcza każdej nocy. Podobnie jak większość mieszkańców.

– Czyli na przyjęciu u burmistrza wszyscy będą przebrani? – upewniła się dziewczynka.

– Och, z pewnością!

– To tym bardziej, jeszcze przed obiadem zadbamy o stroje – zapewnił maestro Bączek.

Urzędnik westchnął z wyraźną ulgą.

– To dobrze. Licho nie śpi, proszę pana, licho nie śpi – szepnął, a jego spojrzenie uciekło w bok, jakby w stronę studni.

\* \* \*

Urzędnik powrócił truchtem do ratusza, a długa peleryna łopotała na wietrze jak flaga. Nie był to pierwszy raz, kiedy słyszeli od miejscowych opowieści o demonie, a jednak w jakiś dziwny sposób to dopiero nerwowy urzędnik popchnął Baltazara Bączka do działania.

– Dobrze, trupo, garść aktualności! – zawołał głośno, by wszyscy go usłyszeli. – Burmistrz zaprosił całą naszą ekipę na przyjęcie dziś wieczorem. Jak słyszeliście, przebrania nie są tu opcjonalne. I myślę, że musimy podejść do tych środków ostrożności na poważnie. Raz, bo faktycznie może być coś na rzeczy z tym demonem. Pasowałyby to do tego, co, jak słyszałem, działo się w Dąbrówce przed laty. Nie mniej ważne jest wrażenie. Jeśli mieszkańcy przywiążą do tego tyle uwagi, nie chcemy ich urazić i dostosujemy się do miejscowych zwyczajów. Więc kto ma pasujący kostium, świetnie. Kto potrzebuje kupić coś nowego, teraz jest dobry czas. Przy okazji, kto jeszcze nie zdążył zrobić zakupów spożywczych, z tym też trzeba się uwijać, bo część sklepów działa tylko kilka godzin każdego dnia, a po zmroku wszystko jest zamknięte.

Przez gromadę przeszedł szmer poruszenia. Niewykluczone, że wizja kolejnego poranka z owsianką przerażała ich nieco bardziej niż ten cały demon.

– Kiedy my będziemy bawić się na przyjęciu, Ula, Cyryl i moje wnuki mają zaproszenie na wieczorne wędrowanie na „cukierek albo psikus” z miejscowymi dziećmi. Sami widzicie, że dbają o nasze rozrywki.

– Albo chcą nas mieć na oku – dodała Branwen cicho.

Baltazar pokiwał głową.

– Bez wątpienia. Choć są dyskretni. Tu, przy rynku, mieli nas na widelcu, koło szkoły zyskamy nieco więcej prywatności.

– O dostępie do pryszniczicy nie wspominając – dodała Simona z uśmiechem.

– I czymś porządnym do przekąszenia – dorzucił Max. – Nie wiem, jak wy, ale ja przed tym przyjęciem zjem coś konkretnego. Nigdy nie wiadomo, jaka to impreza: z tych, co gości trzeba nakarmić, czy z tych najgorszych, „tu jest garść krakersów i odrobina sera, smacznego, tylko powolutku, by

starczyło dla wszystkich”. – Tygrys wzdrygnął się na samo wspomnienie tej okropności.

– Wszystkich was ucieszy, że na przyjęciu też powinny być same smakołyki, bo nasza gospodyni wie, jak nakarmić wędrowców – dodał Baltazar.

– Tak! Jedzenie, które nie jest owsianką! – zawołała Marietta Żuczek, wymachując rękami nad głową.

– Juhu! – Cyryla poniósł entuzjizm i odtańczył dziki taniec.

Max i Simona również ruszyli w energiczny płas. Wiadomo nie od dziś, że tygrysy potrzebują solidnych posiłków. A ich definicja solidnego posiłku obejmowała co najmniej dwa dania główne i drugie tyle deserów. Po tych wszystkich dniach postu nie mniej niż trzy desery, i przynajmniej jeden z nich musiał być z czekoladą!

Nastroje w trupie cyrkowej natychmiast się poprawiły. Bo i owszem, dziwność miasteczka odrobinę wytrąciła ich z równowagi, obawy, czy nie zostaną wyrzuceni, wisiały nad nimi jak czarna chmura, zwłaszcza że zawalony most odcinał najszybszą drogę ewakuacji, ale to puste spiżarki, lodówki i brzuchy miały najgorszy wpływ na morale. Wizja rysującego się na horyzoncie zarobku cieszyła, wizja porządnego jedzenia już za kilka godzin była nawet lepsza. I nagle cyrk już nie wydawał się cichy, ostrożny i powściągliwy. W kilka minut rozległy się śmiechy, a za nimi nadeszły tańce i harce.

I nikt poza Frankiem nie widział duchów, które tłoczyły się wokół studni na rynku.

Finka rozglądała się za Sznurówką, która ciągle nie wróciła z rekonesansu. Dziewczynka wiedziała, że jej smok sobie poradzi i nie jest już malutkim i bezbronnym wężykiem, który mógł się owinać wokół jej nadgarstka jak bransoletka. Sznurówka rosła jak na drożdżach i była dziś całkiem okazałym smokiem. Miała rozłożyste i silne skrzydła, potrafiła

ziać ogniem naprawdę daleko. Radziła też sobie po tej stronie Bramy całkiem sama od lat. Nie było powodu, by się niepokoić, prawda? Ale co Finka mogła poradzić na to, że się martwiła?

I tylko dlatego, że się rozglądała za Sznurówką, dziewczynka zauważyła, że wciąż są obserwowani. Koty siedziały na dachach i parapetach i wbijały w nich swoje niepokojąco zielone ślepie.

Czy wszystkie koty wyglądają tak, jakby miały w zanadrzu ogromną tajemnicę, czy tylko te? – pomyślała dziewczynka.

\* \* \*

Po szybkich, ale owocnych zakupach spożywczych i upchnięciu świeżych zapasów w lodówkach i na półkach trupa cyrkowa przystąpiła do wyzwania, jakim było zrobienie odpowiedniego wrażenia na burmistrzu i mieszkańcach Dąbrówki na wieczornym przyjęciu. Cyrkowcy lubili być w centrum uwagi, na scenie i w życiu, a skoro w tym miasteczku wszyscy nosili przebrania, musieli się naprawdę przyłożyć, by nawet w tym barwnym tłumie się wyróżnić!

Wkrótce cały sklep z przebraniami i akcesoriami wypełniła gwarna kompania cyrkowa. Dwie sprzedawczynie, obie w kostiumach elfów Świętego Mikołaja, kompletnych, z pasiastymi rajstopami i szpiczastymi uszami, pomagały każdemu znaleźć dokładnie to, czego szukał, w rozmiarze, którego potrzebował. Były też specjalistkami od wyciągania z klientów małych fantazji, które pozwalały szybko znaleźć idealny kostium.

– Kim pan chciał być jako dziecko? Gdyby miał pan uciec z cyrku i ruszyć w świat przygód, to dokąd by pan uciekł? – dopytywała Maxa młodsza, w kusej czerwonej sukieneczce.

I chwilę później Max przechadzał się po sklepie w kostiumie pirata, z opaską na oku i koszulą z obfitymi rękawami, za to z niedoborem guzików, przez co błyskał przy każdym ruchu opaloną klatką piersiową. Simona paradowała w czerwonym stroju muszkietierki, w kapeluszu z ogromnym strusim piórem i małą szpadą, którą wymachiwała ze zdumiewającą wprawą, jakby to wcale nie był pierwszy raz, kiedy miała ją w rękach!

Jewgienij preferował prostotę, właśnie dlatego postanowił przebrać się za... cyrkowego siłacza! Co znaczyło, że został w swoich portkach na szelkach i w pasiastej koszulce, ale dobrał sobie dmuchaną sztangę – dwie czarne piłki przymocowane do drążka. Uznał, że z prawdziwymi ciężarami na przyjęciu byłyby same kłopoty.

Ekspedientka próbowała go namówić na coś bardziej ekstrawaganckiego, pokazywała mu zbroję rycerza z mieczem lub halabardą do wyboru, ale Jewgienij tylko pokręcił głową.

– Nigdy nie marzyłem o tym, żeby być rycerzem. Za to marzyłem, żeby być cyrkowcem – powiedział łagodnie.

Nie protestował jednak, kiedy sprzedawczyni zaproponowała stylowe przygładzenie włosów brylantyną czy podkręcenie wąsa w małe ślimaczki.

Baltazar podszedł do wyzwania nawet oszczędniej od Jewgienija. W swoim najbardziej pstrokatym kostiumie maestra prezentował się tak ekstrawagancko, że gdy ekspedientka zapytała, kim zamierza być na przyjęciu, oświadczył:

– Piracką papugą. Gdy mi się znudzi chodzenie, usiądę na ramieniu Maxa.

Simona śmiała się z tego żartu tak bardzo, że dostała czkawki. Max tylko pokręcił z rozbawieniem głową i zawołał:

– Leniuch! Bez dzioba się nie liczy!



I wszyscy turlali się ze śmiechu, kiedy ekspedientka bez trudu znalazła w otchłaniach magazynku z akcesoriami dziób na gumce. Z nim przebranie było naprawdę udane!

Początkowo część cyrkowców wykazywała do przebrań entuzjazm umiarkowany. Do czasu, kiedy się okazało, że urzędnik nie żartował z tym rabatem dla gości i nie będą musieli wydać na nie zbyt wiele. Ceny większości kostiumów były przystępne, a gdyby nie chcieli ich kupować na stałe, ekspedientka zaoferowała im ich wypożyczenie!

I nagle w sklepie zaroilo się od księżniczek w balowych sukniach (obie siostry Kamenow) i rycerzy w pełnych zbrojach! Dziaduszka Niedźwiedź i klaun Karol wpadli na ten pomysł zupełnie niezależnie od siebie, ale zdaniem Finki Karol wygrywał, bo znalazł kostium dla Prosiaczka, który wyglądał jak nadworny błazen w czapeczce z dzwoneczkami! Prosiaczkowi kostium ogromnie się podobał i często potrząsał głową, za każdym razem ciesząc się z dźwięku, który wydawały dzwonki.

Pajęczyca w kostiumie ośmiornicy wyglądała nieco niepokojąco, ale tylko w nim mogła pomieścić cztery ręce. Ptaszarka była słodkim Pierrotem. Ula przebrała się za wróżkę i jej złote loki idealnie pasowały do różowej sukienki z licznych warstw tiulu i przejrzystych motyli skrzydełek.

Sylwester Żuczek długo przechadzał się po sklepie, nim znalazł coś, co mu wpadło w oko. W czarnej, haftowanej w srebrne gwiazdy szacie czarnoksiężnika prezentował się jak dyrektor ekstrawaganckiej szkoły dla czarodziejów, zwłaszcza gdy przyczepił sobie sięgającą do pasa siwą brodę. Jego bratanek Cyryl przebrał się za Robin Hooda, co było w sumie całkiem oczywiste, skoro był sokolim okiem i świetnie strzelał z łuku.

Finka nie miała żadnych kłopotów z podjęciem decyzji. Pewnym krokiem podeszła do wieszaka z akcesoriami, wypatrzonego jeszcze przez okno. Wybrała spiczasty kapelusz wiedźmy, fioletowy w srebrne pajęczyny, oraz drugi – czarno-złoty w małe metalizowane nietoperze dla Sznurówki. Dobrała jeszcze do kapelusza pasującą zamaszystą pelerynę oraz solidną miotłę z drewnianą rączką. Taką, że gdyby naprawdę miała służyć jako środek transportu, utrzymałaby ciężar jedenastolatki bez problemu. A właściwie może latanie na miotle wcale nie jest niemożliwe? Kiedyś nawet by o tym nie pomyślała, ale teraz wiedziała, że magia istnieje, a to zmieniało wszystko! Miała wielką ochotę zapytać Branwen, która przecież była wiedźmą, czy potrafi latać na miotle!

Franek miał z kostiumem dużo większy problem. Kompletnie nie wiedział, za kogo chciałby się przebrać. A już najbardziej nie chciał zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Coś z tym miasteczkiem było nie całkiem w porządku. I jednego zdołał się już nauczyć – lepiej, by duchy nie wiedziały, że je widzi. Jeśli uznają, że jest interesujący, nie opędzi się od nich. Z jednym czy dwoma może dałby sobie radę, ale z trzydziestoma? Wolałby nie sprawdzać! Starał się je trzymać na dystans. Bał się, do czego mogłoby dojść, gdyby odkryły, że gdy ich dotknie, staną się odrobinę bardziej materialne. Wydawały się nieco dziwne, jakby nie wiedziały, kim są, może nawet nie wiedziały, że nie są już żywe – zupełnie inaczej niż duch Lancelota, który był bardzo miłym chłopcem za życia i po śmierci. Z tymi tu Franek wolałby nie sprawdzać, czy były miłe. Widział już trochę duchów, sporo też o nich czytał w swojej fioletowej książeczce o martwej magii, jednak lokalne duchy go niepokoiły. COŚ było z nimi nie tak, jak powinno. Nawet teraz, gdy zerkał na nie przez okno, krążyły wokół studni niczym kuracjusze wokół grzybka w sanatorium! Jak

mógł w takich warunkach myśleć o wyborze przebrania? Tyle że najwyraźniej to nie było opcjonalne. I prawie wszyscy cyrkowcy już znaleźli swój kostium i opuścili sklepik, zostawiając Franka z tyłu! Co oznaczało, że będzie musiał przejść przez rynek sam. I wtedy może całkiem niechcący wpaść duchom w oczy.

Nagle go oświeciło. Podeszedł do sprzedawczyni i zagadnął:

– Czy ma pani prześcieradła?

– Jakies szczególne? – zapytała rozbawiona.

– Mogą być nawet w kwiatki. I potrzebuję nożyczek, żeby wyciąć dziury na oczy.

I tak przebrał się za ducha. Nie takiego prawdziwego, jak te, które widział za oknem; tamte wyglądały jak zwykli ludzie, tylko trochę bladzi, lekko przeźroczyści i niebieskawi. Był duchem z filmów i kreskówek, chłopcem ukrytym pod prześcieradłem. Które go zresztą frustrowało, bo zjeżdżało mu z czupryny!

Finka znalazła rozwiązanie. Podeszła i wcisnęła mu na głowę czarny melonik.

– Teraz jesteś bardzo eleganckim duchem – oświadczyła i podprowadziła go do lustra.

I musiał przyznać, że prezentował się znakomicie. Prześcieradło sięgało mu do połowy łydek, więc nie przeszkadzało w chodzeniu i nie było ryzyka, że się potknie. A najważniejsze, był całkiem zasłonięty i duchy nie będą widziały jego twarzy, więc nie zdradzi go mina czy grymas obrzydzenia.

– Nie przemyślałeś tego, młotku – powiedziała Finka. – Jak będziesz wcinał cukierki, kiedy masz zasłoniętą buzię?

– O mnie się nie martw, znajdę sposób. I nikt nie zobaczy, gdy się umażę czekoladą – odgryzł się żartobliwie.

Słyszając to, ekspedientka przyniosła im plastikowe wiaderka w kształcie dyni.

– Przydadzą się wam wieczorem – zapewniła.

Finka nie była tego aż taka pewna. Owszem, mieli iść na cukierkowe safari, ale czy w miasteczku wiecznego Halloween takie rzeczy jak rozdawanie dzieciakom cukierków dawno się mieszkańcom nie znudziło? Naprawdę codziennie rozdawali przebierańcom słodkości? Wydawało jej się to odrobinę zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Jednak nie traciła nadziei.







## CZY JAKIKOLWIEK KOT JEST CAŁKIEM NORMALNY?

Na jednym cyrkowcy znali się jak mało kto – na rozgaszczaniu się w nowym miejscu, jakby od zawsze brakowało w nim tylko cyrku do szczęścia. Chwila moment, a pusta przestrzeń koło szkoły podstawowej zmieniła się w obóz, tak wygodny, jakby wprowadzili się tu dwa lata temu, a nie raptem przed południem.

Przyczepy, domki na kółkach, kampery i mieszkalny autobus ustawione w kształt dużej podkowy otaczały prowizoryczne, ale w pełni zabezpieczone palenisko. Rozkładane ławki i stoły już były gotowe na wspólne posiłki. Starczyło nawet czasu na dekoracje, rozwinięcie pasiastych markiz i światełek między przyczepami. Finka nie mogła się nadziwić temu, jak szybko potrafili się zadomowić. Franka bardziej zdumiewało to, że kiedy było trzeba, równie szybko potrafili się zwinąć i ruszyć w drogę, nie oglądając się za siebie.



Gdyby nie życzenie burmistrza, by wstrzymali się z rozkładaniem namiotu o kolejny dzień, pewnie już by go postawili i szykowali się do prób. Od ponad tygodnia byli w drodze i tęskniło się im już za sceną, zwłaszcza że wciąż należało popracować nad nowym programem po tym, jak musiały zniknąć wszystkie numery z udziałem prawdziwych zwierząt, orkiestry i części artystów, którzy odłączyli się od cyrku. Niewykluczone, że sporo napięć między członkami trup Baltazara i Sylwestra wynikało z tego, że po usunięciu tych numerów procentowy udział artystów Żuczka na scenie był mniejszy i nie całkiem dowierzali zapewnieniu Baltazara, że wszelkie przychody będą podzielone równo między wszystkich cyrkowców, także tych, którzy pracują nad nowymi numerami i jeszcze nie są gotowi do występów.

Może zresztą wszystkim do szczęścia brakowało pokazów, emocji na arenie, blasku świateł i zachwyconych widzów? Jako artyści byli odrobinę uzależnieni od oklasków i entuzjazmu, który wywoływali u publiczności. Nie było naturalne dla cyrkowców nie dawać przedstawień, nie występować, nie wyczarowywać każdej nocy świata fantazji i magii w starym i pocerowanym namiocie cyrkowym.

Zamartwianie się dziwnością miasteczka i nakładającymi się na siebie zapachami magii nie mogło potrwać zbyt długo. Zamartwianie się w ogóle za bardzo nie leżało w naturze cyrkowców. Dlatego kiedy rozłożyli obóz i nie mieli nic do roboty przez kolejne godziny do wieczornego przyjęcia u burmistrza, cyrkowcy zaimprovizowali zabawę.

Wkrótce po obozie oraz sąsiadującej z nim z jednej strony szkole, a także parku – również po sąsiedzku – rozchodziły się dźwięki muzyki, śpiewów i głośnych śmiechów. Równie szybko, jak rozłożyć obóz, cyrkowcy potrafili też

zaimprovizować imprezę. Nagle na stole pojawiło się jedzenie, w kociołku nad ogniskiem pyrkotała zupa, a niemal każdy wyciągnął jakiś instrument. Wszyscy zapominali o sporach i napięciach. Grali skoczne przyśpiewki i rzewne ballady, a Max i Simona tańczyli tango wokół paleniska. Halloweenowe przebrania tylko dodały całej zabawie uroku i humoru, bo kiedy Karol w zbroi rycerza próbował strzelić piętami hołubca i wyłożył się jak długi, nawet Prosiaczek zataczał się ze śmiechu, podzwaniając błazeńskimi dzwoneczkami. Napięcie i spory traciły na znaczeniu, kiedy trwała zabawa, a brzuchy były pełne jedzenia!

\* \* \*

Finka wymknęła się z obozu, bo choć wszyscy znakomicie się bawili, ona nie mogła przestać myśleć o Sznurówce i o tym jej „małym rekonesansie”, który przeciągał się w „co tak długi ten rekonesans?” wraz z mijającymi godzinami. Zwykle nie zamartwiała się aż tak, przecież smoczyca była duża, silna i całkiem dzielna. Nie była też łatwym kąskiem, skoro w ułamku sekundy potrafiła się zmieniać w miotacz płomieni. Tyle że w Dąbrówce rezydował demon. A Finka wiedziała o nim za mało, by go zaklasyfikować do konkretnej demonicznej rodziny. A ten mały gapeusz na skrzydłach na pewno dał się już zauważyć nad nawiedzonym domem...

I właśnie dlatego Finka nie miała innego wyjścia jak wymknąć się z obozu i upewnić się, że jej smoczątko jest całe i zdrowe. Co chwilę zadzierała głowę, szukając między chmurami czerwono-złotej kropki. I aż ją w brzuszku ścisnęło, kiedy wreszcie zobaczyła tę upragnioną plamkę czerwieni na tle nieba, bo kropka zachowywała się dziwnie! Spadała ze zwiniętymi na plecach skrzydełkami jak kamień rzucony

w wodę! Finka słyszała pisk, świergot i łupnięcie, gdy smok zniknął jej z oczu za zielenią parkowych drzew.

Ruszyła biegiem w tamtą stronę. Musiała precyzyjnie się przemieszczać przez sporą dziurę w ogrodzeniu wokół boiska, bo po prostu nie miała czasu, by obchodzić je wzdłuż i szukać furtki do parku!

Ledwie zrobiła kilka kroków w bujną zieloność, a już zaplątała się w czepliwe pędy jeżyn. Och, oderwała je od nogawek spodni, nie bacząc zupełnie na skaleczenia, których się przy tym nabawiła.

– Sznurówko! – wołała z całych sił. – Sznuróweczko, odezwij się!

Odpowiadała jej tylko cisza. Biegła, przedzierając się przez chaszczki, niewiele widząc w tej zielonej gęstwinie, a serce biło jej w piersi tak mocno, że słyszała to głośne dudnienie!

Nagle przyhamowała, bo wypadła spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń placu, na którego środku królowała stojąca na podwyższeniu wielka fontanna zbudowana z trzech pnących się w górę białych kamiennych mis. Od fontanny rozchodziły się promieniście żwirowe alejki. I nigdzie na białym żwirku nie widziała śladu smoka, za to gdziekolwiek spojrzała, wylegiwały się koty! Dziesiątki czarnych kotów wygrzewały się w słońcu, a teraz leniwie unosiły głowy i zerkały na nią przejmująco zielonymi ślepiami, jakby chciały zapytać, co tu robi i czemu właściwie im przeszkadza w drzemaniu. Tylko jeden z czarnych kotów wcale nie był w nastroju na drzemki. Patrzył na nią z przeszywającą intensywnością, która wcale, ale to wcale nie kojarzyła jej się kocio. Aż ją przeszły ciarki!

– On wcale nie jest taki straszny – usłyszała głosik i dopiero teraz zobaczyła siedzącą tuż przy fontannie małą

dziewczynkę.

Ona i jej towarzysze zlewali się z cieniem rzucanym przez kamienne misy tak, że gdyby się nie odezwała, Finka chyba ich nawet nie zauważyła!

Dziewczynka mogła mieć pięć, może sześć lat. Podobnie jak Finka, przebrana była za wiedźmę, ale całkiem czarny i wyraźnie za duży kapelusz zjeżdżał jej na oczy i tylko gęste, ciemne loki trzymały go na miejscu. W czarnej sukience i pasiastych, biało-czarnych podkolanówkach, siedziała po turecku, a dwa okazałe koty, czarne jak cała lokalna kocia populacja, ocierały się o jej ramiona łebkami. Mała zerknęła na Finke z zainteresowaniem, ale i ostrożnością.

– Widziałaś może smoka? – zawołała Finka do małej wiedźmy.

Nieznajoma nieufnie pokręciła głową, jakby nie była pewna, czy starsza dziewczynka nie robi jej w karolka.

Finka już miała zawrócić w chaszczę i dalej szukać zagubionej pupilki, ale powietrze przeszyło głośne „Łeeeeeeee”! Zadarła głowę i zobaczyła smoka. Gwałtownie zbliżającego się smoka, który leciał na nią jak wystrzelony z procy kamień! Z łopoczącymi za plecami skrzydłami miał tyleż wdzięku i kontroli lotu, co ów kamień!

Finka odruchowo zasłoniła głowę i zamknęła oczy, jakby to mogło ją uchronić przed nieuniknionym. Ułamek chwili przed twardym lądowaniem Sznurówka zorientowała się, że być może nie był to najlepszy pomysł, ale na hamowanie czy machanie skrzydłami było już za późno. Wpadła na Finke z impetem, popychając ją do tyłu.

Dziewczynka klapnęła na pupę i plecy, a ciężar smoka wycisnął z niej przeciągły jęk. Przez chwilę leżała, wpatrując się w niebo i próbując poruszyć palcami u rąk i nóg. Chyba

nic nie miała złamanego, ale solidnie obijała sobie kilka kości i pupę. Sznurówka histeryzowała, zasypywała dziewczynkę świergotem, kłębuszkami dymu i biadoleniem.

– Wcale nie zrobiłaś ze mnie naleśnika – zaprotestowała Finka. – No, może racuszek, ale nie naleśnik – sprostowała, bo faktycznie czuła się nieco płasko, ale pewnie dlatego, że ciągle na niej siedział spory kawał smoka. – Przydałoby się troszkę przestrzeni do oddychania – wyszeptała, a Sznurówka zgramoliła się z niej ze świergoczącymi przeprosinami.

Finka usiadła ostrożnie i pomacała tył głowy. Chyba nabiła sobie guza. Sznurówka dmuchała jej dymem we włosy, co dla smoków było odpowiednikiem buziaczków.

– Już dobrze, naprawdę – zapewniła Finka.

– Czy to jest prawdziwy smok? – zapytała dziewczynka, wpatrując się w Sznurówkę z zachwytem.

– A są sztuczne smoki? – odpowiedziała pytaniem Finka.

– Nie wiem. Może?

– A to są normalne koty? – chciała wiedzieć Finka.

– A czy jakiegokolwiek koty są tak całkiem normalne? – Dziewczynka uśmiechnęła się łagodnie. – Jesteś z cyrku?

Finka pokiwała głową i wstawszy z alejki, otrzepała pupę ze żwiru.

– Mam na imię Finka, a ty?

– Zuzia – powiedziała dziewczynka cicho.

Finka uznała, że to znakomita okazja, by podpytać miejscowych o parę rzeczy. Zuzia wydała jej się dużo bardziej wiarygodnym źródłem informacji niż burmistrz czy jego żona. Dlatego wypaliła:

– Słuchaj, czy ty widziałaś tego całego demona? Sporo o nim słyszałam, ale czy w ogóle jest prawdziwy, czy to tylko taka ściema dla turystów?

Zuzia pokręciła głową.

– Nie widziałam go, tylko że mieszkam tu od niedawna... Ale jest prawdziwy. I znika ludzi. – Zuzia zasłoniła usta ręką, jakby powiedziała coś, czego nie powinna. Finka nie chciała, by mała całkiem umilkła, więc gładko zmieniła temat.

– Przeprowadziliście się tutaj? – zapytała.

Dziewczynka wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Żałuję, że tu przyjechaliśmy. Chciałabym cofnąć czas i nigdy nie trafić do Dąbrówki – wyszeptała.

– Możesz powiedzieć rodzicom, że wcale ci się tu nie podoba. Może posłuchają i się wyprowadzicie? – próbowała ją pocieszyć Finka.

Wielkie łzy spływały po policzkach dziewczynki, a dwa czarne koty przytulały się do niej jeszcze mocniej. Jeden zaczął ją lizać po twarzy, a drugi syknął na Finkę, jakby to była jej wina, że Zuzia płacze.

Finka uniosła ręce.

– Hej, to nie moja sprawka. Nie mam z tym nic wspólnego! – powiedziała, bo inne koty zaczęły na nią syczeć i wydawać z siebie wściekły koci warkot.

Zuzia wtuliła twarz w czarne futerko i cicho szlochała.

– Przepraszam! – zawołała niepewna Finka.

Czy powiedziała coś niewłaściwego? Coś, co zabolalo dziewczynkę? Nie zdenerwowała się, gdy Finka ją zapytała o demona, ale płacze, gdy wspomniała o jej rodzicach? Czy powinna przytulić małą, czy przeciwnie, zostawić ją w spokoju i odejść? Kompletnie nie wiedziała, co robić!

Sznurówka była równie dezorientowana. Drepcząc w miejscu i wachlując się skrzydłami, bulgotała nerwowo.



– Zuzia nie płacze, bo się ciebie wystraszyła, i na pewno wie, że nie zrobisz z niej naleśnika – zapewniła ją Finka.

„FINKAAA!” – głośny wrzask dziadka przeszył powietrze.

– Już idę! – odkrzyknęła, ale wahała się, czy naprawdę powinna zostawić tu szlochającą dziewczynkę całkiem samą. Nie miała też jednak pomysłu, jak miałyby jej pomóc. Za to koty wydawały się już całkiem znużone jej obecnością i tym, że doprowadziła dziecko do płaczu, więc zmieniły się w syczący, gniewny chór.

Sznurówka aż podskoczyła i zaraz zaczęła popychać swoją dziewczynkę w stronę obozu. Przewaga liczebna kotów była za duża, by ryzykować konfrontację. Finka się poddała i ruszyła przez chaszczę do cyrkowców.

Dziadek stał koło ich przyczepy, podpierając się rękami pod boki.

– Wolałbym, żebyście nie wypuszczali się tu całkiem sami na spacerki. Ta cała historia z demonem brzmi jak kłopoty – powiedział tylko.

– Nie byłam sama, tylko ze Sznurówką.

Smok za nią wyprężył brzuszek, jakby Baltazar potrzebował przypomnienia, że nie da skrzywdzić Finki, i już. Maestro tylko pokiwał głową z uśmiechem i powiedział:

– Świetnie, obie mi się bardzo przydadcie. Potrzebni są wszyscy cyrkowcy, więc i Sznurówki nie może zabraknąć. Budujemy krąg ochronny wokół obozu. Mocniejszy niż zwykle. Tak na wszelki wypadek – dodał, jakby nie chciał wnuczki niepokoić.

– Z powodu demona czy z powodu mieszkańców? – zapytała domyślnie dziewczynka.

– W sumie po co wybierać, skoro porządny krąg wytrzyma wszystkich wymienionych? – odpowiedział dziadek i puścił jej

oko.

Cyrkowcy byli już gotowi do działania. Na chwilę odłożyli instrumenty, muzyka ucichła. Każdy, bliźniaki i Sznurówka też, obchodził wyznaczony małymi palikami krąg wokół obozu. Magia cyrku oplątywała ich jak gęsta sieć, czepiała się kręgu, osnuwała się wokół całej trupy niczym pies tropiący, który zapamiętywał ich zapach. Zaraz po tym, jak oba cyrki się połączyły, wspólny krąg przychodził im z trudem, ale dziś wszystko szło idealnie, a prawie dwudziestu cyrkowców zbudowało solidną ochronę z łatwością niedostępną im, gdy byli podzieleni. Finka domyśliła się, że to dlatego wcześniej grali i śpiewali – muzyka zawsze ich łączyła. I teraz magia przepływała nimi jak mała iskra, płynnie i energicznie. Po kilku minutach słyszeli, jak niewidzialny pierścień magii brzęczy wokół nich niczym delikatnie trącona struna.

Gdy krąg był naładowany magią, Baltazar Bączek i Sylwester Żuczek odetchnęli. Mogli się kłócić, mogli się sprzeczać o pierdoły, ale o bezpieczeństwo trupy dbali równie mocno.

I choć żaden nie powiedział tego głośno, obaj czuli w kościach, że coś się święci, a solidny krąg – taki, jaki zbudowaliby zaskoczeni przez burzę na Rubieżach – może się przydać.







## CUKIEREK ALBO PSIKUS!

Przyjęcie u burmistrza odbywało się za domem, na dużym trawniku ogrodzonym drewnianym płotem, otoczonym drzewkami owocowymi i krzewami róż. Nad głowami gości rozciągnięta była pajęczyna światełek i bibułkowych dekoracji, a wzdłuż ściany domu, pod osłoną ogrodowych parasoli, ulokowano kilka stołów zastawionych jedzeniem. Było tam wszystko, czego cyrkowcy mogliby pragnąć przez ten tydzień z owsianką na wodzie. Od malutkich kanapeczek i salatek z sałatkami i piklami, przez paszteciki, wytrawne tarty i drożdżowe bułeczki, po piętrowe patery pełne ciastek, ciast, babeczek, eklerek i rurek z kremem, ułożonych w śliczne kompozycje i dekorowanych kolorowym lukrem i tęczową posypką. Wielkie słoje z kranikami kusiły żółciutką lemoniadą i różowym kompotem z rabarbaru. Pani burmistrzowa stanowczo umiała wydawać przyjęcia!

Kiedy cyrkowcy zjawili się na miejscu punktualnie o siedemnastej, zgodnie z zaproszeniem, z głośników sączyła

się muzyka, a kilka par z miasteczka już kiwało się do jej rytmu na środku trawnika. Wyglądało na to, że reszta gości przyszła wcześniej i teraz przyglądali się trupie niespecjalnie dyskretnie. Finka zerknęła na Franka. Od rana wydawał się nie w sosie i musiało mieć to jakiś związek z duchami, o których wspominała też Sznurówka. Jej brat rozejrzał się, a potem lekko się rozluźnił, więc najwyraźniej na imprezie byli sami żywi. Niestety bawić się mogli tylko ludzie, a przynajmniej ci, którzy na ludzi wyglądali, więc Pajęczycza była mile widziana, za to Sznurówka i Prosiaczek z zarządzenia dziadka mieli zostać w obozie.

– Nie wszyscy witają na swoich przyjęciach wszelkie stworzenia z równym entuzjazmem – wyjaśnił Fince.

Jawna dyskryminacja, gdyby ktoś ją pytał. Obiecała smokowi i śwince, że przyniesie im małe co nieco, ale i tak żałowała, że nie mogli przyjść.

Burmistrz oraz jego żona wyszli im na powitanie z szerokimi uśmiechami, a po chwili wciągnęli wszystkich dorosłych w cały ten skomplikowany rytuał przedstawiania sobie gości, zagadywania i rozmów o niczym ważnym.

Finka nie przepadała za przyjęciami z tego właśnie powodu. Miała poważny defekt twarzy, jak wyjaśniła mamie kilka lat wcześniej. Otóż: nie potrafiła się uśmiechać, gdy trzeci raz w ciągu paru minut ją pytano, który przedmiot w szkole lubi najbardziej albo czy fajnie mieć brata bliźniaka, albo czy jest dobra z matematyki. A z jakiegoś tajemniczego powodu właśnie o takie rzeczy dorośli zwykle pytają dzieci.

Franek podzielał jej niechęć. Zwłaszcza że jako chłopiec dostawał pytania o ulubiony sport, jakby bycie chłopcem i uprawianie sportu było czymś nierozłącznym. A gdy szczerze odpowiadał, że od sportu woli sztukę, dorośli wydawali się zdezorientowani. Co było dziwne, bo przecież tata Franka był



całkiem dorosły i też sportem zupełnie się nie interesował. A jednak dorosłym, zwłaszcza takim, którzy nie znali ich za dobrze, nie mieściło się to w głowie i już kilkanaście minut później pytali chłopca o jakiś mecz, drużynę czy inne mistrzostwa.

Na szczęście rodzice nie urządzali takich przyjęć zbyt często. I na szczęście na imprezie burmistrza nikt się dziećmi przesadnie nie interesował, więc bliźniaki, Cyryl i Ula szybko namierzyli stolik z najlepszymi kąskami i zabrali się do podwieczorku, który w sposób absolutnie wspaniały nie był owsianką.

– Tylko zostawcie sobie miejsce na kielbaski! – zawołała do nich pani Wyciorek i pokazała palcem ogromny grill przykryty metalową kopułą, spod której unosiły się smużki dymu.

– Wszystko się zmieści – odpowiedział Cyryl, klepiąc się po płaskim brzuchu.

Miał prawie trzynaście lat i rósł jak na drożdżach. Budził się głodny, jadł śniadanie i prawie natychmiast zapominał, że je pochłonał, bo już burczało mu w brzuchu! Nie był pewien, czy da się najeść na zapas, ale dziś na przyjęciu na pewno zamierzał spróbować.

Pani Wyciorek uśmiechnęła się promiennie do Cyryla, jakby nic nie cieszyło jej tak bardzo, jak dobry apetyt chłopca, a potem wróciła do swoich obowiązków gospodyni. Czyli upewniała się, że absolutnie wszyscy są najedzeni, dobrze się bawią, a rozmowy toczą się gładko i nie wymagają jej subtelnych interwencji. Jeśli gdzieś się zacięły trybiki konwersacji, zgrabnie rzucała jakąś okrągłą frazę, która smarowała zębatki maszyny. Na przykład: „A wiedziałeś, że Stanisław remontuje starą syrenkę? Mówię ci, jaki to będzie krążownik szos!”. I natychmiast rozmowa się ożywiła, padały pytania o samochód, a Stanisław, cały rozpromieniony,

zaczynał opowieść o aucie. Albo rzucała kilka faktów ładnie obwiązanych kokardką komplementów, jak: „Doskonały wyszedł mi ten sernik, ale nie umywa się do tego, który w zeszłym roku na kiermasz upiekła Maryla. Czy wiecie, że kilka lat temu wygrała błękitną wstążkę w okręgowym konkursie domowych wypieków? O jej cytrynowej babce piaskowej krążą legendy i wielu zabiłoby za ten przepis. A Alinka robi konfitury z jeżyn tak cudowne, że anioły płaczą. Mogę sobie tylko wyobrazić, co zrobiłybyście razem”. I już mogła przejść do kolejnych gości, bo Maryla i Alina zaczynały ożywioną dyskusję na temat produkcji konfitur czy sekretnych przepisów na poncz do nasączania ciasta, taki, który robi prawdziwą różnicę.

Najdziwniejsze, zaobserwowała Finka, że to działało, nawet jeśli burmistrzowa nie znała gości za dobrze! Gdy podeszła do grupki, w której między kilkoma niezbyt rozmownymi urzędnikami stali Sylwester i Branwen, bardzo gładko podsunęła mieszkańcom Dąbrówki kilka tematów, na które goście mieli do powiedzenia wcale sporo. Atmosfera natychmiast się poprawiała! I ona chyba naprawdę wiedziała wszystko o wszystkich! Pamiętała, co kto lubi, czym się zajmuje, co wprawia go w dobry humor, i subtelnie dbała o to, by każdy czuł się dobrze. Zdaniem Finki to był prawdziwy talent, kto wie, czy nie rodzaj magii?

Burmistrz był mniej dyskretny. Głośny i roześmiany, poklepywał ludzi po plecach, obracał kiełbaski na grillu i wydawał się duszą tego towarzystwa, ale Finka nie miała wątpliwości, że gdyby pani Amelia zniknęła, impreza szybko by się posypała, bo nie miał tego daru do smarowania zębatek maszyny.

Stolik ze słodkościami wabił dzieciaki jak miodek misie. Wkrótce poza bliźniakami, Cyrylem i Ulą zgromadziło się

kilkoro dzieciaków. Oprócz Zuzi, która była też jedyną dziewczynką w miejscowej gromadzie, wszyscy byli ciut starsi od Franka i Finki. Raczej w wieku Cyryla czy syna burmistrza, Bogusia, który na przyjęcie wybrał kostium templariusza. Wszyscy chłopcy się przebrali – jeden był owinięty bandażem jak mumia, drugi z kartonów zrobił strój robota, trzeci włożył kudłaty kombinezon i wyglądał jak yeti, czwarty był przebrany za kosmonautę, z hełmem zrobionym z wielkiej, szklanej kuli, przypominającej akwarium dla złotej rybki, i było mu w nim tak gorąco, że kiedy zdjął go z głowy, spoczone włosy przyklejały mu się do czoła i uszu.

A do Finki dotarło, że gdyby to było po drugiej stronie Bramy, w świecie, który dobrze znała, chłopcy byliby przebrani za postacie z filmów i komiksów – za Dartha Vadera, Spider-Mana, Supermana czy Batmana. Tu nie widziała nikogo w takim kostiumie. I na pewno nie chodziło tylko o to, co znajdowało się w ofercie sklepików, bo większość strojów wyglądała na domowej roboty.

– Macie tu kino czy telewizję? – zapytała zaciekawiona jednego z chłopców, tego przebranego za yeti.

– Tylko lokalne kanały, jesteśmy za daleko od Bramy, by łapała satelita – powiedział yeti.

– A często odwiedzacie świat po drugiej stronie Bramy?

– E, nie, po co? Za daleko. Kiedyś jeździliśmy częściej do Białych Wód, ale już wieki tam nie byłem.

– Przez most? Od dawna jest zniszczony? – zapytała Finka. Skrzywił się lekko.

– No już trochę będzie – powiedział wymijająco.

Nagle u jego boku wyrósł Boguś i poklepał go po plecach, mówiąc:

– Po co wyjeżdżać? Wszystko, czego potrzebujemy, mamy tutaj, a czego by nam brakowało, dostarczą turyści, nie? –

Zaśmiał się z dowcipu, którego Finka zupełnie nie zrozumiała.

Chciała porozmawiać jeszcze z Zuzią, ale mała gdzieś zniknęła. Zapytała o nią jednego z chłopców, który odpowiedział:

– Ach, Zosia, no tak, dzikuska. Ona nie lubi tłumów. Pewnie się pojawi, jak będziemy szli polować na słodkości.

– Zuzia – poprawiła go odruchowo Finka.

– Zuzia, Zosia, kogo to obchodzi.

Finkę obchodziło, ale nic już nie powiedziała. Nagle zrobiło się małe zamieszanie, gdy pani Wyciorek wyniosła z domu ogromną tacę, na której w przerażająco chwiejnej piramidce stały szklane czarki pełne fioletowego płynu. Szkło pobrzękiwało przy każdym jej kroku, a piramida chwiała się lekko to w tył, to w przód, ale żadna czarka nie spadła! Pani Wyciorek doniosła tacę do okrągłego stoliczka samotnie stojącego na środku trawnika i odstawiła ją ostrożnie.

– Uff! – zawołała i zaśmiała się głośno, a wszyscy zaczęli jej bić brawo. – Zapraszam naszych gości z cyrku! To dla was, mały dowód naszej wdzięczności za waszą wizytę! Nie mogliście nam sprawić większej radości! Proszę, poczęstujcie się i wznieśmy toast na waszą część, za powodzenie cyrku!

– A reszta gości? – zapytał Baltazar.

– Wzniosą toast ponczem! Ale chciałam wam wyrazić moją radość nieco bardziej osobiście! To przepis mojej mamy na wyjątkowy poncz. – Uśmiechała się zachęcająco i podawała czarki kolejnym cyrkowcom. Ale gdy Cyryl podszedł razem z ciotką i wyciągnął rękę po napój, zaśmiała się tylko i powiedziała: – Och, to wyłącznie dla dorosłych, kochanie!

Cyryl zaczerwienił się po czubki uszu, jak tylko dorastający chłopak, którego ustawiono w jednej linii z maluchami, potrafi, i cofnął się, by zejść wszystkim z oczu.

Czarki były zresztą odliczone i gdy każdy z cyrkowców miał już swoją, pani Amelia, wspomagana przez burmistrza, ułożyła długi, skomplikowany i całkiem wzruszający toast. A gdy skończyła, uniosła swoją czarę i wypła wszystko duszkiem. Członkowie trupy poszli w jej ślady i po chwili na tacy stała cała piramidka pustych naczyń.

– No, ferajno, kiełbaski gotowe! – zawołał burmistrz chwilę później.

Franek, Finka, Ula i Cyryl ledwie kończyli pierwsze kiełbaski, wepchnięte między puszyste połówki bułeczki jak hot dogi, kiedy Boguś podszedł do nich i oświadczył:

– Chyba starczy już tej nudy, nie? Oni zaraz zaczną tańczyć i śpiewać. Zbieramy się.

I tak zaczęło się cukierkowe safari naszych bohaterów.

\* \* \*

Wiaderka Franka i Finki były pełne cukierków. Pełniutki! I to nie były jakich landrynek czy miętusów, ale czekoladowych, krówek, trufl i galaretek w cukrze! Fince się to po prostu w głowie nie mieściło, że w każdym domu, do którego drzwi zapukali, mieszkali ludzie, którzy ochoczo wrzucali im do wiaderka łakocie!

W jednym domu nawet dostali domowej roboty kruche ciasteczka z marmoladą, wycinane w kształty dyń i jesiennych liści, polukrowane na żółto i pomarańczowo! Sam dom – udekorowany dziesiątkami prawdziwych mioteł, które wisiały wokół krawędzi dachu, oraz niekończącymi się sznurami białych wrózkowych światełek – też wyglądał jak ciasteczko! Mieszkająca w nim starsza pani uśmiechała się do nich słodko i wszystko było bardzo miło do momentu, aż nagle pogłaskała złote loki Uli i powiedziała:



– Och, czyż nie jesteś śliczna jak laleczka? Możesz u mnie zamieszkać po wszystkim. Przydałaby mi się taka dziewczynka! – To mówiąc, uszczypnęła Ulę w policzek.

Cyrkówka aż odskoczyła, a Finka zupełnie jej się nie dziwiła! Franek pociągnął je obie do tyłu. Zeskoczyli ze schodków i wybiegli na ulicę. Cyryl nie został daleko w tyle. Miejscowe dzieciaki wydawały się nawet nie zauważyć nic dziwnego w tym, co powiedziała kobieta.

– Jak w ogóle można takie głupoty wygadywać? – obruszyła się Ula. – Miałabym porzucić cyrk i zostać tu z jakąś obcą babą?

– Czasami nie ma się wyboru – szepnęła cichutko Zuzia, ale nikt jej nie usłyszał.

– No, była dziwna – przyznała Finka i wyciągnęła z wiaderka ciasteczko. Wcale nie miała na nie ochoty. Nagle przypomniała jej się historia Jasia i Małgosi, a całe to wręczanie im cukierków wydało się nieco mniej przyjazne.

– Jak go nie chcesz, to daj. Pani Kamińska robi pyszne ciastka – powiedział Michał, jeden z miejscowych dzieciaków.

Finka bez słowa wrzuciła mu małą lukrowaną dynię do wiaderka. Franek i Ula zrobili to samo. Cyryl nawet nie zdążył wziąć ciastka, zanim zaczęła podszczypywać Ulę, więc nie musiał oddawać żadnych słodkości. I dobrze, bo wcale nie był pewien, czy dziwaczność darującej je kobiety była wystarczającym powodem, by ich nie zjeść.

– Słuchaj. – Finka skupiła całą uwagę na Bogusiu. – Tu jest tak zawsze? Co wieczór dostajecie tyle cukierków? Nikomu się nie nudzi to, że przychodzicie? I ciągle kupują nowe?

Zdarzało się jej i Frankowi chodzić w Halloween po domach sąsiadów, ale nigdy nie wracali z takimi łupami! A mieli naprawdę miłych sąsiadów! Dostawali po kilka lizaków, parę cukierków, czasem jakąś czekoladkę. A chodzili tylko raz



w roku! Nie chciało jej się wierzyć w to, że istniało miejsce, gdzie codziennie ludzie byliby tak hojni.

– Nie no, co ty, nie codziennie – zaśmiał się Boguś, jakby i jemu pomysł wydawał się absurdalny. – Raz w tygodniu, co piątek.

– Chyba że zjeżdżają turyści, to wtedy nikt nie czeka do piątku – dodał Michał.

To miało dużo więcej sensu, przyznała podejrzliwa dziewczynka, choć wciąż wydawało jej się nieco ekstremalne.

– I nie nudzi się wam to chodzenie co tydzień? I te wszystkie cukierki? – zapytał Franek.

Boguś wepchnął do ust ciasteczko i plując okruchami, powiedział:

– Nigdy!

– Poza tym to nie same cukierki, są też ciasteczka i czekoladki – dodał Michał, rozpakowując kilka czekoladowych truflif, i całą garść wrzucił na raz do buzi.

Cyryl się tylko śmiał i podjadał ze swojego wiaderka.

– Myślę, że też by mi się nie znudziło – powiedział.

Franek przeżuwał toffika, który sklejał mu trzonowce, więc mamrocząc nieco niewyraźnie, powiedział:

– Szkoda, że dla urozmaicenia w niektórych domach nie dają pierożków.

– Albo chlebka z masełkiem – dodała Ula.

– Albo piezzonego kurczaka – dorzucił Cyryl, natchniony tym pomysłem.

– Ale wy jesteście dziwni – powiedział Boguś, kręcąc głową.

Odwiedzili jeszcze dwa domy i dotarli do końca ulicy, która biegła dalej kawałek pod górę, wspinając się na zadrzewione wzgórze, na którym stał oświetlony i widoczny wyraźnie z dołu dom. Tam Boguś i jego towarzysze już nie chcieli iść.

– No co wy! Jeśli tu dają takie smakołyki, to co dopiero w takim wielkim i bogatym domu?! – zawołał Cyryl, który na bieżąco pracował nad zmniejszeniem zapasów słodkości, aż go szczęka zaczynała trochę boleć od tego żucia i ciamkania.

– Tam nie można – powiedziała Zuzia cicho.

– To nawiedzony dom na wzgórzu – wyjaśnił Michał.

– Jak to nawiedzony? – zainteresował się Franek.

Nawet nie tym, że potencjalnie były tam duchy, bo tych miał po kokardkę w tym miasteczku, ale raczej tym, że Michał mógłby też je widzieć.

– Przez demona – powiedział chudzielec, który chyba miał na imię Jarek. Albo Janek, Franek wcześniej nie dosłyszał, a głupio mu było prosić o powtórzenie.

– To już jego dom. I lepiej się tam nie zbliżać – dodał Boguś. – Tata wziął raz kilku sąsiadów i poszli tam, żeby go przepędzić z miasteczka, ale coś im zrobił. Nawet nie dali rady zbliżyć się do domu! Ocknęli się na drugim końcu miasta i nic nie pamiętali, tylko głowy im pękały straszliwie.

– Jest wredny – przyznał chudzielec.

– I naprawdę myślicie, że chronią nas kostiumy? To przez nasze przebrania nie zejdzie teraz z tego wzgórza i nie porwie nas czy co tam robią demony? – Finka nie ukrywała pewnego sceptycyzmu.

– To nie tak – zaprotestował Boguś. – Tu nie chodzi tylko o kostiumy, tylko dekoracje czy tylko światełka, ale o wszystko razem. Babcia opowiadała nam, że dawniej demony często chodziły po ziemi. Zwłaszcza w wigilię Wszystkich Świętych, bo wtedy granica między światami jest najcieńsza. Wchodziły ludziom w szkodę, robiły krzywdę i na złość. Ale nauczyliśmy się przed nimi chronić. I w ten dzień w roku, kiedy było ich najwięcej i poczynały sobie najśmielej, ludzie świętowali Halloween. Wydrażone dynie i światła odstraszały demony,

a gdy ktoś był przebrany, demon nie mógł go rozpoznać. To pomagało je trzymać na dystans – wyjaśnił.

– A gdy ten się tu wprowadził, zrobiliśmy, co trzeba, by się do nas nie dobrał – dodał Michał.

– Tam, skąd jesteśmy, nie ma demonów – powiedział Franek, chcąc nieco uspokoić wyraźnie zdenerwowanego Bogusia.

– A może są, tylko wcale o nich nie wiecie? – zapytał syn burmistrza.

– Chybabyśmy zauważyli? – Finka uniosła brew, ale zaniepokoiła ją ta myśl, bo przecież o tym, że magia istnieje, też nie pamiętali. Czy można być pewnym czegokolwiek?

– One zmieniają kształt, mogą wyglądać, jak tylko chcą – powiedział chudzielec.

– Może po prostu, gdy u was ktoś znika i nigdy więcej już się nie znajduje, nie wiecie, że to sprawka demonów – dodał Boguś.

Ta myśl się Fince nie podobała nawet bardziej. Bo przypomniała sobie, że i owszem, widziała ogłoszenia o tym, że ktoś zaginął i widziano go ostatnio kilka dni temu, i jeśli ktokolwiek go spotkał lub coś istotnego słyszał, powinien zadzwonić na policję. I przypomniała sobie, że w sumie nigdy nie widziała ogłoszenia, że nieważne, ten ktoś już się znalazł, cały i zdrowy wrócił do domu.

– A po co właściwie demony porywają ludzi? – zapytała, marszcząc brwi.

Miejscowe dzieciaki zgodnie wzruszyły ramionami, jakby nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiały.

– Może na niewolników? Służących? – zgadywał Michał.

– Albo może żeby ich zjeść? – dodał chudzielec.

– No co ty, wtedy ginęłoby dużo więcej ludzi – zaprotestowała Finka.

Jeśli demony jadły tyle co Sznurówka, straty w ludziach byłyby znaczące!

– Może ludzina nie jest dla nich chlebkiem powszednim? Ale takim smakołykiem, na który się czeka cały rok? Jak dla nas pierniczki? Albo tort urodzinowy? – zaproponował milczący dotąd Andrzejek, młodszy brat Michała.

– Ale ty jesteś głupi – burknął Boguś. – Ludzie na pewno nie są tacy smaczni jak tort! – To mówiąc, polizał sobie rękę z głośnym plaśnięciem. – Widzisz? Nie są nawet tak smaczni jak brokuły!

Finka nie czuła, że to jest dyskusja, którą chciałaby kontynuować, więc ucieszyła się, gdy zawrócili i zaczęli kierować się w stronę domu burmistrza, a dalej – podstawówki i obozu cyrkowców. Dawno zapadł już zmrok, a ona była zmęczona. Być może odrobinę ją bolał brzuch od słodkości, których zjadła troszkę za dużo.

\* \* \*

Wyglądało na to, że przyjęcie już się skończyło, bo przy domu burmistrza było zupełnie cicho, a światełka nad trawnikiem zgasły. Boguś i jego kumple weszli do domu, więc Franek, Finka, Ula i Cyryl dalej poszli sami. Było już późno, po dwudziestej drugiej, ale przez te wszystkie światełka wcale nie czuli, że już noc.

Ula narzekała trochę na nowe buty, które ciągle jeszcze rozbijała i czasami, gdy pochodziła dłużej, obcierały jej piętę. Były o niebo wygodniejsze od starych i za małych, ale wciąż jeszcze sprawiały jej trochę problemów. Reszta szła w milczeniu, bo żadne nie chciało się przyznać głośno, że ich troszkę mdli. I choć dźwigali prawie pełne wiaderka słodkości,

nie będą mogli spojrzeć na nie bez wzdrygnięcia przynajmniej przez tydzień.

Nie spodziewali się, że wszyscy w obozie będą już spać. W kamperach i przyczepach pogaszone były światła. Nawet świece w wydrążonych dyniach zdążyły już zgasnąć. Cisza jak makiem zasiała. No, prawie – raz po raz, w niemal idealnej harmonii, rozlegało się chrapanie: a to z przyczepy tygrysów, a to z autobusu Jewgienija, z kampera Baltazara Bączka (szczególnie głośne i turkoczące, jakby w środku spał mały ciągnik), z przyczepy Sylwestra Żuczka (bardziej świszcząco-gwiżdżące) czy klauna Karola (burczące chrapanie klauna przeplatało się z warkotliwym pochrapywaniem Prosiaczka).

Nawet Sznurówka na dachu spała jak kamień, a jej duże skrzydła wisiały po obu stronach kampera!

– To był długi dzień, nie? – zaśmiał się Franek nieco niepewnie.

– Albo w ponczu było więcej wódki niż soku – odpowiedziała Ula z westchnieniem.

Z przyczepy, którą dzieliła z dziadkiem, dobiegało solidne pochrapywanie, które brzmiało, jakby ten przez sen kłócił się z wkurzoną wiewiórką – najpierw wysokie, szczekliwe „ter, ter, ter”, a potem basowe „war, war, war”.

– Jeśli tak, jutro ich wszystkich będą bardzo bolały głowy. I to będzie doskonały dzień, by poćwiczyć grę na trąbce – zaśmiał się Cyryl.

Bliźniaki nawet nie musiały się skradać. Choćby tupwały, stepowały czy tańczyły irlandzką gigę na drewnianej podłodze kampera, dziadek nic by nie usłyszał przez swoje chrapanie. Przebrali się więc w piżamy, odruchowo zakładając je na lewą stronę, odpuścili też zupełnie mycie, a nawet szorowanie zębów, zbyt zmęczeni.

Franek wdrapał się na swoją pryczę i zasnął prawie natychmiast. Finka ułożyła się wygodnie i sięgnęła myślami do gorącego jajeczka żar-ptaka, które ułożyła na poduszce, w miękkim kokonie własnych loków. Znów słyszała śpiew Sorchy, a ciepło bijące od jajeczka ogrzewało jej poduszkę jak termofor. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się wykluje, była tak ogromnie ciekawa tego, jak ten proces wygląda!

Jeszcze przed zaśnięciem poćwiczyła chwilę umiejętność, o której czytała w broszurce o ognistych bestiarach i smokach. Bardzo pragnęła komunikować się ze Sznurówką na odległość. Nie chciała się do tego przyznać, ale to miało związek z tym, że przewidywała, że gdy wakacje się skończą, Sznurówka znów zostanie po tej stronie Bramy, a ona będzie musiała wrócić do domu. Nie da się przemycić smoka do realnego miasta, pomyślała ze smutkiem. Nikt by nie uwierzył, że to taka nietypowa rasa psa czy inne egzotyczne zwierzątko, bo Sznurówka wyglądała dokładnie na to, czym była – na smoka.

Dlatego Finka skupiła się teraz i odnalazła myślami gorący umysł śpiącego na dachu stworzenia.

Wyczytała w broszurce, że najlepsi ogniści bestiarzy potrafili się komunikować ze swoimi smokami, nawet gdy te były na drugim końcu świata! A jeśli o to chodziło, Finka zamierzała być najlepszą smoczą bestiarką w historii.

Już prawie zasypiała, kiedy jej brat zaczął się wiercić przez sen, jakby uciekał przed czymś strasznym. Szczekał zębami, jakby zamarzał! Finka odruchowo sięgnęła swoim umysłem do umysłu brata. Nie był jak smok czy żar-ptak.

Aż zadrzała, czując przenikające zimno snu Franka. Ale jej ciepła starczy dla nich obojga. Sięgnęła jeszcze raz, wyobrażając sobie, że łapie brata za rękę, gdziekolwiek zawędrował w krainie snów, i oddaje mu ciepło. Odetchnęła, słysząc, że Franek się uspokoja i już nie dzwonią mu zęby.



– Zawsze, gdziekolwiek zawędrujesz, znajdę cię – szepnęła.

W końcu obiecała mamie, że ten młotek wróci do domu w jednym kawałku. A Finka była dziewczynką, która zawsze dotrzymuje słowa.

Zasnęła. Nawet chrapanie dziadka nie mogło jej przeszkodzić. Po ponad trzydziestu nocach przechrapanych w kamperze Finka właściwie przestała zwracać na nie uwagę.

Nie obudziła się też nad ranem, kiedy dźwięku chrapania nagle zabrakło. Nie słyszała skrzypienia podłogi ani odgłosu otwieranych i zamykanych drzwi kampera.

Śniła. Jej sny wypełniał ogień, a im większy się stawał, tym większa była radość wypełniająca jej płuca odrobinę tylko szalonym śmiechem.





## DZIEŃ, W KTÓRYM WSZYSCY ZNIKNĘLI!

Franek nie był pewien, co go obudziło. Może dziwna cisza, jakby świat się na chwilę zatrzymał? Może przeczucie, że coś jest nie w porządku?

Otworzył oczy i przez chwilę wpatrywał się w sufit kampera, na którym przyczepił taśmą portret mamy i kilka szkiców, które zrobił w cyrku. Zamrugął, bo przez moment wydawało mu się, że wszystko jest nieostre, i dopiero wtedy zrozumiał, że płacze. Czemu? Nie wiedział! Pamiętał strzępki snu. To był jeden z tych złych i bolesnych, z których nie mógł się wyrwać. Ale tym razem nagle pojawiła się w marach jego siostra, która najwyraźniej umiała się teraz włamywać do snów. Normalnie by się na nią wkurzył, ale dzięki temu, że wtargnęła tam jak płonąca pochodnia, nie widział, jak wszyscy umierają, zasychają i rozwiewają się niczym kurz na wietrze. Już to wystarczyło, by uznać to za mały sukces. A jednak leżał teraz, wpatrując się w portret mamy, a łzy spływały mu po policzkach. Co, u diaska?

Ze swojej wysokiej pryczy zerknął w stronę jamki nad kabiną kierowcy. Tam, za zasłonkami, znajdowało się poślanie dziadka. Zwykle dobiegało zza nich pochrapywanie, ale teraz w pojeździe panowała całkowita cisza. Dziwne.

Zerknął na zegarek wiszący nad oknem. Musiał się nieco wychylić z łóżka, żeby zobaczyć tarczę. Dochodziła siódma. Za wcześnie dla dziadka, dużo za wcześnie. Z perspektywy cyrku wszystko, co przed dziesiątą, było środkiem nocy. Zwykle kończyli przedstawienie późno, a potem byli zbyt nabuzowani, żeby zasnąć, więc gadali, tańczyli, śpiewali i jedli kolację późno w nocy. Owszem, wczoraj dziadek położył się wcześnie jak na niego, ale Frankowi wciąż nie mieściło się w głowie, że o siódmej miałby on być na nogach, kwitnący i radosny. Pochylił się, by sprawdzić, czy Finka ciągle jest w łóżku, i zobaczył tylko wystającą spod kołdry szopę włosów i zwisającą prawie do podłogi gołą łydkę.

Znów nawiedziło go to przeczucie... Nie umiał tego nazwać. Nie miał słów, które pomieściłyby to obezwładniające odczucie straty i pustki! Zaczął schodzić po drabince, cicho, by nie obudzić Finki. Śmiałyby się z niego, gdyby narobił rabanu, a wszystko byłoby w porządku.

Najciszej, jak mógł, stąpał po drewnianej podłodze, omijając kilka klepek, które skrzypiały. A następnie wdrapał się po drabince prowadzącej do jamy dziadka. Zajrzał za zasłonki. Materac był na swoim miejscu, skołtuniona pościel wciśnięta w róg też, ale po dziadku nie został choćby ślad. Franek dotknął nawet prześcieradeł, ale okazały się zimne, jakby od dawna nikt w nich nie spał.

Nie podobało mu się to. Nie umiał nawet powiedzieć czemu, ale jego wyobraźnia natychmiast skoczyła do najczarniejszych wizji. Finka mówiła, że odkąd wie, że ma martwą magię, zrobił się strasznym pesymistą. Nie postrzegał tego w ten sposób.

Chciał, by rzeczy potoczyły się dobrze, ale też doskonale zdawał sobie sprawę, co się stanie, jeśli tak nie będzie. A teraz... naprawdę czuł, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Na bosaka wyszedł z kampera. Może się mylił. Może dziadek obudził się wcześniej i poszedł zaparzyć kawy przy ognisku. Nawet mama bliźniaków nie kochała kawy tak bardzo jak dziadek, a nie było dnia, by nie wyznawała miłości wypełnionemu po brzegi kubkowi „napoju bogów”, jak ją nazywała. Ale palenisko było zasypane piaskiem, nikt jeszcze nie ułożył świeżych drew, a czajnik okazał się całkiem zimny.

Nie wiedział, co właściwie powinien zrobić. Wołać dziadka? I obudzić wszystkich? Na pewno byliby zachwyceni.

I nagle go tknęło...

Od ponad miesiąca mieszkał w cyrku. Tu nigdy nie było tak cicho! Trupa cyrkowa liczyła teraz prawie dwadzieścia osób, w tym kilka ze zwierzęcymi formami lub dziwną magią. Poza dziadkiem było jeszcze paru chrapaczy, tygrysy czy niedźwiedź mieli naturalną ciągotę do hałasu.

W obozie panowała niczym niezmacona cisza. Było tak cicho, że słyszał, jak rośnie trawa!

– Niedobrze – wymamrotał.

Zajrzał do najbliższej stojącej przyczepy. Mały „orzeszek”, czyli retro przyczepa zamontowana na równie starym volkswagenie, wyglądał trochę jak okrągłutka zabaweczka. Należał do Marietty Żuczek. Urządzony był skromnie, bo na niewielkiej przestrzeni ledwie zmieściło się łóżko, rozkładany stolik z krzeselkiem i mała szafeczka z jednopalnikową kuchenką, miniaturową lodówką i dziesięciolitrowym baniakiem na wodę pitną. Sufit był jeszcze niżej niż zwykle w tak malutkiej przyczepie, bo Marietta zamontowała pod nim kilka pawlaczy. Wnętrze sprawiało wrażenie jednocześnie zatłoczonego i całkiem pustego. Brakowało Marietty.



Zajrzał jeszcze do dwóch pojazdów: do mieszkalnego autobusu Jewgienija oraz do przyczepy Branwen. W obu doświadczył tego samego poczucia braku. Wrażenie dojmującej pustki, jakby go ssało w brzuchu z głodu i nerwów, Franek uznał za ślad magii. Jakby coś wyrwało dziadka i Mariettę z przestrzeni, a ta jeszcze nie doszła do siebie! Czy to znaczyło, że miało to miejsce całkiem niedawno? Nie wiedział.

Zaglądał do kolejnych przyczep z nadzieją, że jednak nie wszyscy zniknęli, że został ktoś, kto lepiej od niego będzie wiedział, co robić. I prawie pisnął, przestraszony, kiedy nagle – gdy uchylił drzwi do przyczepy Sylwestra Żuczka – usłyszał ciche, ale stanowcze:

– Co tu robisz?

Cyryl wychylał się ze swojego piętrusa. Pod nim, na szerszej przycy, powinien spać Sylwester, ale jego pościel też była skopana w róg, a na materacu został tylko ślad wygnieciony przez lata spania w jednej pozycji.

Franek czuł, że musi to z siebie wyrzucić albo się rozplącać.

– Cyryl, wszyscy zniknęli, rozumiesz? Obóz jest całkiem pusty. Coś ich zabrało – powiedział, a głos mu się lekko łamał, gdy gardło zaciskało się ze strachu.

– Na głowę upadłeś? – burknął chłopak, ale przyglądał się Frankowi z niepokojem.

– Sam zobacz – odpowiedział młodszy z chłopców i wyszedł z przyczepy.

Szedł jak otępiały między domkami na kółkach, szukając śladów życia. Pukał do kolejnych drzwi, mając nadzieję, że usłyszy przekleństwa lub burczenie od cyrkowców, którzy nie znosili wstawać wcześniej. Odpowiadała mu cisza, dziwna i nienaturalna. Kojarzyła mu się ze szpitalem albo pogrzebem.

Nie chciał oglądać kolejnych pustych łóżek, widział już dość. Klapnął na tyłek przy zimnym palenisku i mamrotał:



– Jak to się mogło stać?

Nagle usłyszał przeciągły świst, a z nieba, niczym wystrzelona w niego kula armatnia rozmiarów małego cielaka, zleciała Sznurówka. Franek skulił się, jakby bycie niepozorną, twardą piłką z wystającymi łokciami mogło go uchronić przed rozplaszczaniem na naleśnik.

– Sznuróweczko! Jesteś już bardzo dużym smokiem! – krzyknęła Finka, wychylając głowę przez drzwi kampera. Smok w ostatniej chwili odbił w bok z głośnym jękiem.

Wszędzie by rozpoznała ten świst: „Lecę na ciebie, lecę!”. A zaraz po nich nastąpią pełne skruchy przeprosiny i dymne całuski. Gdy człowiek jest rozwałkowany jak placek, przeprosiny nie znaczą zbyt wiele. A Franek miał, cóż, swój moment. Z daleka niemal widziała ciemną chmurę gromadzącą się wokół niego. Nie była pewna, czy znów mu się coś śniło, ale nie mogła go tak zostawić.

Finka włożyła buty i narzuciła bluzę na plecy, a potem wyskoczyła z przyczepy, prawie wpadając na Sznurówkę. Ta ostatnia zdołała zmienić tor lotu na tyle, by nie wylądować na chłopcu, ale nie na tyle, by lądowanie nie okazało się twarde. Finka uściskała ją, bo doceniała wysiłek. A Franek i bez przygniatającego go smoka wyglądał, jakby dociskały go wszystkie nieszczęścia świata.

Usiadła koło niego przed zasypanym paleniskiem i zapytała:

– Co jest, młotku?

– Zniknęli – szepnął.

– Może po prostu obudzili się z kacem i poszli do sklepu po kiszane ogórki czy co się tam je, jak się ma kaca? – pocieszyła go.

– Coś tu zostało, jakby ślad magii, pustka, nie wiem. – Sfrustrowany pomachał rękami wokół głowy.

– Zapytaj Branwen, ona zwykle wie takie rzeczy.

– Nie rozumiesz? WSZYSCY ZNIKNEŁI! – wykrzyczał. – Nie tylko dziadek, wszyscy, Branwen też!

Finka nie próbowała go już pocieszać. Wstała i wyciągnęła rękę w jego stronę.

– Chodź – powiedziała.

– Po co? – burknął. – Już widziałem dość pustych łóżek.

– Przeszerlokujemy ten problem. I upewnimy się, czy rzeczywiście wszyscy zniknęli. Bo jeśli ktoś został, to już jest wskazówka, nie?

Franek popatrzył na nią spode łba i powiedział:

– On ich porwał, prawda? Demon? Gdy wróciliśmy, wszystkie świece w dyniach wygasły, nawet światełka były pogaszone... I pewnie nie spali w przebraniach. Przyszedł i ich zabrał.

– Po pierwsze, nie wiadomo. Po drugie, jeśli ich zabrał, to ich odbierzemy. Po trzecie, załamywanie się wcale nam teraz nie pomoże. Jak dojdziemy do momentu, kiedy załamanie będzie pomocne, dam ci znać i wtedy pozałamujemy się w duecie, jasne?

Mówiła tym rzeczowym i energicznym tonem, zdaniem Franka: nieprawdopodobnie Finkowym. Taka właśnie była jego siostra – budziła się gotowa do działania z pierwszym sygnałem budzika. Normanie wyzłośliwiałby się nieco na tę jej poranną energię, ale nie dziś. Bo alternatywą było załamanie się, które z pewnością nie poprawi sytuacji.

Równie dobrze mogli poszerlokować.

\* \* \*

Finka szybko odkryła, że Franek trochę przesadził. Niewiele, ale jednak. Nie wszyscy zniknęli. Poza nimi i Cyrylem nie

zniknęła też Ula, która teraz, obudzona ich natarczywym pytaniem, panikowała, nie wiedząc, gdzie się podział dziaduszka.

Znaleźli też Prosiaczka, który spał grzecznie na swoim posłaniu w przyczepie Karola, raciczkami do góry, śniąc o czerwonych jabłuszkach, jeśli sądzić po entuzjastycznym merdaniu ogonkiem. Finka zawołała świnkę i nawet szturchnęła ją delikatnie, ale spała jak kamień.

Całkiem sporo odkryli, zaglądając do przyczepy Pajęczycy. Po pierwsze – urządziła swój domek na kółkach całkiem dziwnie: całe wnętrze wypełniały kokon w rogu i mnóstwo lepkich sieci. Po drugie – ona też nie zniknęła. Ale po trzecie – jak Prosiaczek spała kamiennym snem. I to nie było naturalne. Pajęczycy należała do drapieżników i choćby spała głęboko, wyczułaby wibracje pajęczyny czy oddech potencjalnych ofiar. Potrafiła się poruszać szybciej, niż na pozór było to możliwe. A jednak teraz spała, wisząc głową w dół w ciemnym kącie swojej przyczepy, i ani drgnęła. Za tym musiało stać jakieś podłe zaklęcie. I wreszcie – po czwarte – wcale nie załamywali się na myśl, że nie mogą obudzić Pajęczycy, i gdyby to od nich zależało, pospałaby sobie do Wigilii, bo nigdy nie zapomnieli o tym, że tylko obietnica złożona dziadkowi powstrzymywała ją przed zjadaniem dzieci. Nie byli przekonani, czy dotrzyma jej, jeśli się dowie, że dziadka nie ma w okolicy.

Finka i Franek starannie zamknęli drzwi do jej przyczepy i przez chwilę w milczeniu po prostu stali, opierając się o nie plecami. Pokusa, by przyciągnąć coś naprawdę ciężkiego i zabarykadować je raz a dobrze, była spora. Franek wciąż pamiętał to uczucie, gdy złapała go w swoje sieci, a on nie mógł się ruszyć i był jak skamieniały. Gdyby Finka nie okazała się tłustą kaczką, po której hipnotyczne zaklęcie Pajęczycy

spłynęło w kilka minut, pewnie by go zabiła, wyssała do cna całe ciepło i życie i zostawiła pustą skorupkę.

– Przyciągniemy ławkę i zablokujemy drzwi. Okienko jest tylko jedno i tak maleńkie, że nie zdoła się precyzyjnie ani jako człowiek, ani jako pajak – oświadczyła Finka, jakby czytała bratu w myślach.

Chyba tego nie potrafiła? Po tym, jak odwiedziła go w snach, wcale nie był już taki pewien. Finka parsknęła.

– Nie czytam ci w myślach, młotku, po prostu zbladłeś, jakby odwiedził cię duch minionego porwania.

We dwójkę z trudem przyciągnęli ze szkolnego podwórka ciężką, żeliwną ławkę. Bez pomocy Cyryla nie daliby rady jej postawić i oprzeć o drzwi przyczepy Pajęczycy.

Nie musieli mu nawet tłumaczyć, czemu to robią. Gdy zablokowali ławką klamkę, powiedział tylko:

– A więc nie wszyscy zniknęli.

Bliźniaki kiwnęły głowami bez słowa.

I wtedy rozległ się podekscytowany świergot Sznurówki.

– Znalazła kogoś! – zawołała Finka i pobiegła za głosem smoka.

\* \* \*

Chrapali. Po tym Finka poznała, że żyją. Ale jedno było pewne – ich stan poza tym nie był ani odrobinę normalny. Żaden tygrys nie śpi, kiedy ktoś mu krzyczy do ucha, ciągnie go za wibrysy i szarpie za ogon. A Max i owszem. Simona zresztą też. Oboje w swoich futrzanych formach leżeli rozciągnięci na trawie. Akurat w takim miejscu, ukryci za przyczepą, że bliźniaki nie zauważyły ich, robiąc obchód obozu. Sznurówka wypatrzyła ich z góry.

Kilka metrów dalej, tuż przed granicą kręgu, który otaczał obóz, leżał dziaduszek Niedźwiedź, zwinięty w wielki garbaty kłęb futra. A to było niepokojące. Przez kilka lat nie potrafił wrócić do swojej ludzkiej formy, a kiedy wreszcie mu się udało, unikał przemiany, niepewny, czy znów nie ugrzęźnie. Coś musiało go do tego zmusić. Albo przerazić na tyle, że wskoczenie w misiowe futro wydawało się mniejszym zagrożeniem!

– Coś musiało go bardzo wystraszyć – powiedziała Ula, głaszcząc nastroszone futro między uszami.

Cyryl stał tyłem do dzieciaków i futrzaków, wpatrywał się w coś u swoich stóp. Milczał posepnie. Finka podeszła do niego z ciekawością.

– Coś znalazłeś? – Pochyliła się i szukała wzrokiem czegoś w udeptanej trawie.

– Pytanie, czego nie znalazłem – burknął Cyryl i zacisnął zęby, aż zgrzytnęły.

Finka patrzyła, patrzyła, ale nie widziała. Sokole oko westchnął i pchnął ją lekko. Poczowała muśnięcie magii, krąg ochronny przepuścił ją z miękkim cmoknięciem. Cofnęła się o krok i znów poczuła delikatny opór, ale magia wpuściła ją do obozu, rozpoznawszy ją jako członkinię trupy.

– Och – powiedziała cicho.

– Co za „och”? – zapytał Franek, podchodząc do siostry.

– Krąg wciąż działa. Demon go nie przełamał – wytłumaczyła dziewczynka cicho.

– Co to znaczy? Krąg go przepuścił? – dopytywał jej bliźniak.

– Nie. To znaczy, że oni sami wyszli. Cokolwiek ich dopadło, zrobiło to już po tym, jak wyszli z ochronnego kręgu – powiedział Cyryl.

– Gdyby zostali w obozie, nic by ich nie dorwało. To naprawdę mocny krąg – szepnęła Ula. Wtuliła twarz w futro niedźwiedzia i próbowała powstrzymać płacz. – Ktoś ich zaatakował magicznie – oznajmiła po chwili, gdy była znów bardziej opanowana.

– Skąd wiesz? – zapytał Franek.

– To dlatego się zmienił. On i tygrysy. W futrze są odporniejsi na magiczne ataki. Przemienili się, by przepalić własną magią cudze zaklęcie. Ale wpadli w pułapkę – wyjaśniła dziewczynka.

– Zaklęcie snu – dopowiedziała Finka.

Ula skinęła głową.

– Gdyby zmusił ich do wyjścia, zabrałby i ich – sprecyzowała, wciąż głaszcząc dziaduszkę po futrze.

Martwiła się. Zaklęcia snu bywały podłe i nieprzewidywalne. Nikt, kto je rzucał, nie mógł być pewien, czy ofiara prześpi dzień, czy dekadę. Lub – jak śpiąca królewna – przeżyje wszystkich swoich krewnych i obudzi się po stu latach. Starła się nie myśleć o najgorszym. O tym, że dziadek może ponownie utknąć w futrze. Czy zdoła znów dźwigać wszystko na swoich barkach? I czy on znów będzie miał tak trudny charakter? Bo odkąd przemienił się z powrotem w człowieka, był najmiłszym i najcierpliwszym dziadkiem na świecie i tęskniłaby za nim jeszcze bardziej, mając świeże wspomnienia. Najgorsze, że pozbyła się już szklanego pudełka na emocje. Roztrzaskało się do cna tam, przy Czerwonej Wieży. I wcale nie była pewna, czy chce i czy potrafiłaby budować nowe.

Cyryl kucnął koło niej i poklepał futrzasty bok niedźwiedzia.

– Obudzą się. Byli dość silni, by zostać po tej stronie kręgu – pocieszył ją, a Ula tylko kiwnęła głową. Jej oczy wciąż



wypełniał strach. – Najważniejsze, że mamy farta – dodał.

– Nie zauważyłem – skwitował kwaśno Franek.

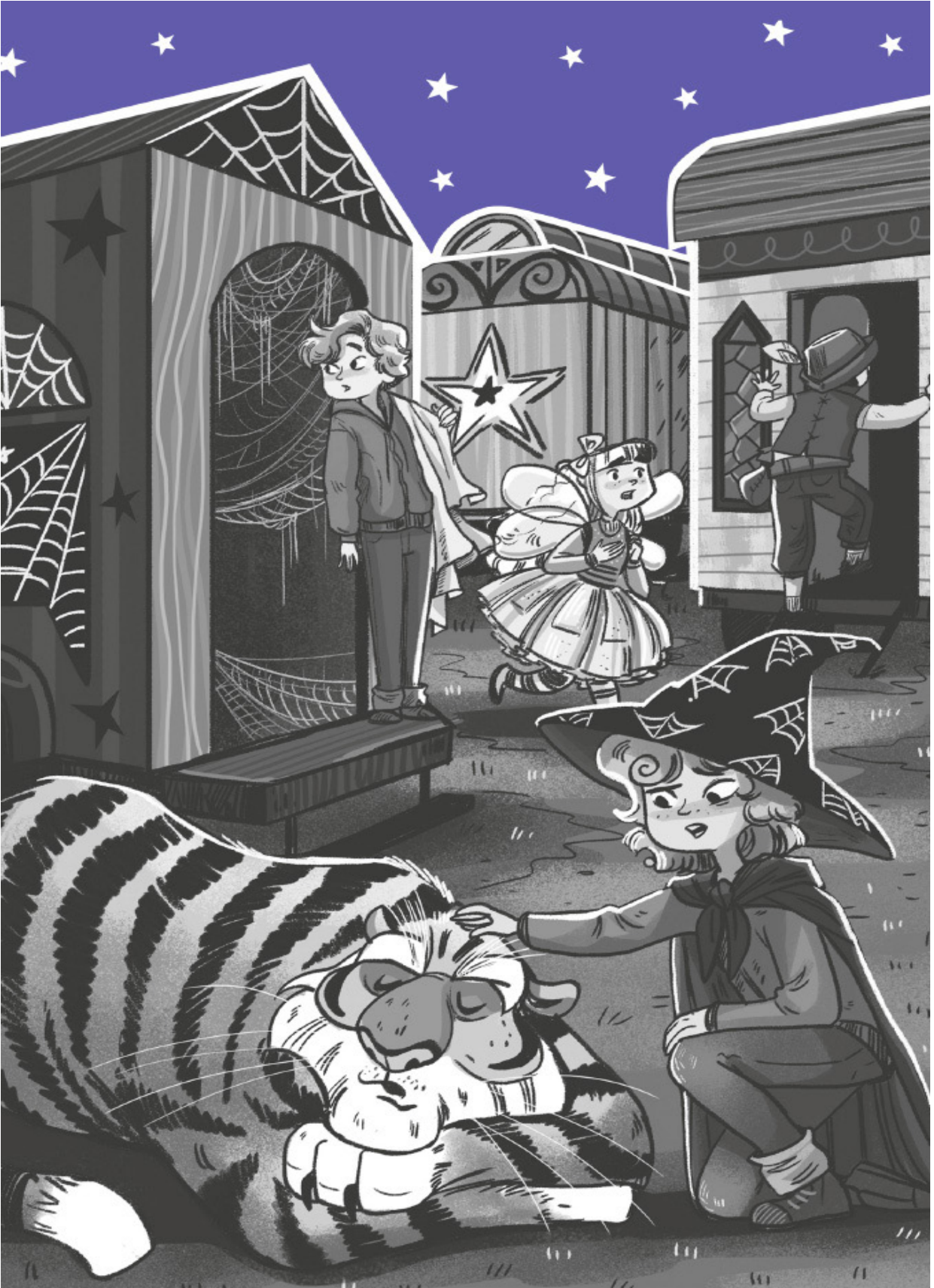
Starszy chłopiec pokręcił głową.

– Gdyby zdołał wyciągnąć z kręgu niedźwiedzia, tygrysy i Pajęczycę, krąg już by nas nie chronił. Ten ktoś mógłby nas po prostu zgarnąć, i tyle.

Do Finki docierała powaga sytuacji. Do utrzymania kręgu potrzeba przynajmniej trzech osób. Magia cyrku rozpoznawała bliźniaki, ale nie były częścią trupy wystarczająco długo, by zbudować taką ochronę obozu.

Dziewczynka myślała intensywnie nad rozwiązaniem, a potem ją oświeciło.

– Jesteśmy gośćmi w tym miasteczku! Burmistrz musi nam pomóc. To ich demon, ich miasto i ich odpowiedzialność, muszą coś zrobić!





## CAŁE MIASTECZKO W TYM SIEDZI!

Finka szła energicznie, układając w głowie płomienne przemowy, które miały poruszyć burmistrza. Może nawet go zawstydzić, że takie rzeczy przytrafiły się gościom w jego mieście! To na pewno nie wpłynie dobrze na reputację miasteczka przyjaznego turystom, na której tak bardzo mu zależało. Jeśli jej nie pomogą odzyskać rodziny i przyjaciół z łap demona, znajdzie sposób, by się rozeszło, jak niebezpiecznym miejscem jest Dąbrówka!

Miała nadzieję, że ich reakcja będzie zdecydowana. Oburzą się, a potem wyślą ekspedycję do nawiedzonego domu. Zażądają zwrotu cyrkowców – ALBO.

Nie była wprawdzie pewna, czym można zagrozić demonowi (miała w tym zakresie skandaliczne braki w edukacji i przy pierwszej okazji zamierzała je nadrobić!), ale coś takiego musiało istnieć. Burmistrz musiał wiedzieć, jak postawić sprawę na ostrzu noża. Przecież żyli obok zagrożenia od lat, a jednak nie zniknęli wszyscy mieszkańcy. Ba!

Dąbrówka kwitła! Finka nie wierzyła, że taki stan był zasługą tylko „wiecznego Halloween”.

Nie wiedziała wiele o demonach, ale czytała *Panią Twardowską* i co nieco w bestiariuszu. Stąd wiedziała, że z demonami można się układać, można je przechytrzać albo można zawierać z nimi pakt. I podejrzewała, że mieszkańcy miasteczka musieli się z demonem jakoś dogadać. Bo (im dłużej nad tym myślała, tym bardziej wydawało się to oczywiste) czemu zniknęli sami przyjezdni? Czemu wcześniej nie słyszała nic o masowych zniknięciach, za to sporo o noszeniu gatek na lewą stronę? Jakby z góry szykowali wymówkę, na wypadek gdyby członkom cyrku coś się stało...

Finka zwolniła. Wcale jej się nie podobała ta myśl, ale nagle była pewna, że za tym wszystkim stało coś więcej niż głodny demon z nawiedzonego domu na wzgórzu.

I właśnie wtedy zauważyła burmistrza, który szybkim marszem przecinał rynek, by po chwili zniknąć za drzwiami ratusza. A za nim do środka wchodzili kolejni ludzie. Rozpoznawała kilka osób, które były na wieczornym przyjęciu. Podejrzliwy mózg Finki podsunął jedno słowo, a ono brzęczało jej teraz w głowie jak syrena alarmowa: SPISEK.

Finka prawie biegiem dopadła drzwi, zanim zamknęły się za starszym mężczyzną, który wchodził ostatni. Wślizgnęła się za nim do środka. I zamarła. Cały hol po brzegi wypełniali mieszkańcy Dąbrówki. Ich podekscytowane szeptki sprawiały, że buczało tu jak w ulu. Byli zbyt zaaferowani i zajęci rozmowami, by zauważyć niepasującą do układanki dziewczynkę, która odruchowo przywarła plecami do drzwi. Nie ufała im. A jednocześnie wiedziała, że musi namierzyć burmistrza. Odwołać się do zasad gościnności i czego tam jeszcze, byle pomógł jej odzyskać trupe.

Zebrany w holu tłumek zafalował, gdy przed nimi otworzyły się kolejne drzwi, prowadzące do sali plenarnej. Przynajmniej taki napis wisiał wysoko nad futryną. Burmistrz musiał być gdzieś z przodu, może to on otworzył drzwi? Wszyscy wpakowali się do środka, szum się nasilał. Strzępy rozmów, podniesionych głosów, wyrwanych z kontekstu słów dolatywały do uszu dziewczynki i z każdą chwilą czuła większy niepokój. W końcu, gdy wszyscy zniknęli w sali plenarnej, musiała przyznać, że miała złe przeczucia. Coś w atmosferze tego miejsca, tego dziwnego spotkania, na które chyba przyszli wszyscy mieszkańcy, wydało jej się podejrzane.

To pewnie tylko wyobraźnia, próbowała się pocieszyć, ale intuicja podpowiadała jej, że musi być czujna i gotowa do zwiewania gdzie pieprz rośnie. Jej plan zaczepienia burmistrza umarł śmiercią naturalną. Teraz chciała po prostu wiedzieć, co się tu dzieje. I czy ma (a była prawie pewna, że ma) to jakiś związek ze zniknięciem wszystkich dorosłych z cyrku i śpiączką zmiennokształtnych członków trupy.

Odczekała chwileczkę pod drzwiami, nasłuchując szurania krzesel i stopniowo dogasających szmerów rozmów. Rozległ się charakterystyczny dźwięk stukania palcem w mikrofon. Najwyraźniej szykowało się tam zebranie czy inne obrady?

Dziewczynka ostrożnie zajrzała do środka i zobaczyła, że wszyscy siedzieli na drewnianych ławkach, jak w kościele, plecami do drzwi, więc nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy przycupnęła skulona za ostatnią z ławek. Niewiele widziała, ale słyszała stąd wszystko.

Rozpoznała głos burmistrza, mimo zniekształcenia go mikrofonem i chwilowego pisku głośników.

– No dobrze, drodzy mieszkańcy. Rozumiem, że macie dużo pytań i przyjdzie na nie czas. Od siebie powiem tylko tyle:



wszystko przebiegło znakomicie. Z jakiegoś powodu nie zgarnęliśmy kompletu, ale to raczej problem tymczasowy i wkrótce sam się rozwiąże. Nikt się nie oprze hipnotycznym zaklęciom mojej drogiej żony. – Zaśmiał się cicho, a wśród zebranych przeszedł szmer akceptacji. – Mimo tak dużej partii sama procedura nie uległa zmianie. Zostali wpuszczeni do tunelu i przymus hipnotyczny popchnie ich we właściwym kierunku – zapewnił.

– A wiadomo, ile to potrwa? I czy efekt będzie znacząco inny od tego przy mniejszej grupie? – zawołał mężczyzna siedzący gdzieś z przodu.

– Trudno powiedzieć. Nigdy nie trwało dłużej niż trzydzieści godzin. Będziemy wiedzieli, kiedy drzwi się uchylą i nowa porcja energii wzmocni maszynę – powiedział bardzo pewnym tonem Wyciorek.

– W studni już mało co zostało – stwierdziła jedna z kobiet.

– Studnia wkrótce będzie pełna – uspokajał burmistrz.

– A wiadomo, na jak długo tego starczy? Coraz trudniej o nowych i nawet most nie poprawił tu sytuacji aż tak, jak na to liczyliśmy. Przecież nie zaczniemy wyjeżdżać z miasta po nowe egzemplarze! – zawołał inny mężczyzna.

– To nie nauka, panowie i panie, nie ma wzoru, by to wszystko wyliczyć. To magia. Magia, która dotąd była dla nas bardzo łaskawa. Osiągamy wspaniałe rezultaty, osiągniemy jeszcze lepsze. Zamiast zamartwiać się na zapas, może choć przez chwilę poświęćmy nasze szczęście i sukces? – Burmistrz zaczął klaskać do mikrofonu, a po chwili zebrani odpowiedzieli owacjami. Ktoś nawet się zaśmiał.

– To się nam udało, czyż nie? – zawołał męski głos. – Cała karawana! Jeśli nie doceni takiego daru, nie ma za grosz rozumu. To nie takie hop-siup, prawie dwudziestka! Nigdy nie



mieliśmy tak dużej partii, a pozwolę sobie pochwalić nasze procedury, bo niemal wszystko poszło gładko, jak po maśle.

– Tylko kto tam wie z demonami? Czy to w ogóle rozumne? I czy doceni? – zapytała jakaś kobieta.

– Nie mamy powodu wątpić. Jak dotąd wszystko działa znakomicie. Maszyna ciągle jest sprawna, więc musi regularnie ją zasilać – zaprotestował burmistrz.

– A co z tym akumulatorem? Długo jeszcze pociągnie? – zapytał jeden z mieszkańców siedzący w tylnym rzędzie, całkiem niedaleko Finki. – Bo jednak eksploatujemy go bardziej niż Adam przez te lata. A to budzi moje poważne wątpliwości, czy jakby coś się stało, da się go łatwo zastąpić. I czy nie powinniśmy bardziej powściągliwie podchodzić do zasobów.

– Nic się nie stanie – zaprotestowała jakaś kobieta. – Przecież to nie tak, że go drenujemy do cna, też nie przesadzajmy! Ma siłę pyskować, więc nic mu nie jest.

– Ale może trzeba by myśleć bardziej długoterminowo! Nie zużywać takiej masy magii naraz! To uzależnia! A im bardziej rozbudowujemy zakłęcie, tym większych nakładów magii potrzeba dla podtrzymania efektów! – upierał się mężczyzna, który zaczął temat akumulatora.

– Tobie to by wystarczyło na pół gwizdka! Ledwo co! Miasto potrzebuje więcej, jeśli to wszystko ma mieć sens! – zawołał inny głos.

– Nie posunęliśmy się tam, gdzie się posunęliśmy, dla miernych rezultatów. Nic poniżej efektu WOW nas nie satysfakcjonuje! – dorzuciła jakaś kobieta.

– Czy możemy przestać roztrząsać podstawy? To już dawno było przegłosowane i ustalone. Za późno na zmianę. Wiecie doskonale, co by się stało z miastem, gdybyśmy proces

przerwali czy nawet spowolnili. Tu już klamka zapadła – oświadczył stanowczo burmistrz. – Mamy za to konkretne tematy do ustalenia i pytania, na które dziś warto by poznać odpowiedź. Mamy też czwórkę dzieci do zagospodarowania. Czy ktoś się zgłasza na opiekuna?

– Ja bym tę blondyneczkę wzięła! – zawołała kobieta, której głos Finka rozpoznała. To ona dawała im ciasteczka i podszczypywała Ulę po policzkach.

Usłyszała dość. Wycofała się na czworakach tyłem przez uchylone drzwi. Wszystkie elementy nagle wpadły na swoje miejsce, mimo to układanka wciąż była niekompletna. Ale już to, co odkryła, nie podobało się Fince zupełnie.

Wymknęła się z ratusza, a potem biegiem przecięła rynek i popędziła w stronę szkoły, do obozu. Sznurówka zerwała się z dachu ratusza i leciała za swoją dziewczynką. A stada czarnych kotów truchtały za Finką, jakby była tłustą myszą, którą chciały upolować! Serce w piersi dziewczynki biło tak mocno i głośno, że słyszała jego łomot.

Zauważyła z oddali jakąś wysoką, ciemną sylwetkę kręcącą się przed szkołą, więc skręciła gwałtownie w parkową alejkę. Nie chciała wpaść w niczyje ręce. Stanowczo nie była „dzieckiem do zagospodarowania”! Biegła alejką trochę na oślep, mając nadzieję, że jeśli trafi na placyk z fontanną, to dalej będzie wiedziała, jak wrócić na tyły szkoły, do obozu. I faktycznie, z daleka zobaczyła biały kształt fontanny. Zahamowała gwałtownie, widząc, że znów siedzi przy niej mała dziewczynka, otoczona przez czarne koty.

Nagle Fince przypomniały się dziwne komentarze Zuzi o tym, że żałowała, że kiedykolwiek trafiła do tego miejsca. I o tym, że czasami nie ma się wyboru, gdy ktoś chce cię zabrać do swojego domu. Kolejne elementy wskoczyły na swoje

miejsce. Zamiast udać się w stronę obozu, pomaszerowała do Zuzi w bojowym nastroju.

Dziewczynka była jej winna wyjaśnienia!



TO SKOMPLIKOWANE...  
ALE MAMY PLAN. MNIEJ WIĘCEJ

Finka cała się trzęsła z emocji. Jej dłonie same zaciskały się w pięści, kiedy wyrzuciła z siebie:

– Wiedziałaś, że znikną! I nic nie powiedziałaś! Nie ostrzegłaś nas!

Zuzia nisko pochyliła głowę.

– Próbowałam – odparła cicho. – Dlatego wtedy tu byłam. Pani Amelia jest naprawdę dobra w zaklęciach milczenia.

Finka chciała się dalej złościć, ale pamiętała, jak silne potrafią być takie zaklęcia. Gospodyni Czerwonej Wieży nie mogła się odezwać nawet słówkiem po tym, jak czarnoksiężnik rzucił na nią urok. A była dorosłą i silną wiedźmą, a nie małą dziewczynką w za dużym kapeluszu.

– To ona jest wiedźmą? Ona ich porwała?

Zuzia pokręciła głową.

– Ona ich uśpiła i wplotła im w głowę coś takiego, że w nocy wstali i poszli tam, dokąd im kazała – powiedziała. – To samo zrobiła moim rodzicom pół roku temu.

– Jakby ich zahipnotyzowała?

Dziewczynka pokiwała głową.

– Oni wszyscy w tym siedzą, całe miasto, prawda? – zapytała Finka i klapnęła na tyłek przed Zuzią, kiedy ta przytaknęła. – Czemu współpracują z tym demonem? Jak mogą oddawać mu turystów? Naprawdę tak bardzo się go boją?

– Nie wiem. Ale ludzie z miasteczka przyjdą po was, po ciebie, Franka, inne dzieci. Przydzielą was do różnych rodzin. I zabiorą wszystkie wasze rzeczy. Wasze i waszych przyjaciół. Niektóre sprzedadzą, inne trafią do mieszkańców jako nagroda za milczenie. Nie pozwolą wam zabrać nawet małych pamiątek. Dostaniecie nowe imię, nowy dom, jakbyście mieli zapomnieć o tym, kim jesteście, i o tym, że mieliście rodzinę. Wszyscy będą udawać, że się tu urodziliście i że ludzie, u których będziecie mieszkali, są waszymi prawdziwymi rodzicami. A jeśli zaczniecie protestować, będą was karać. Czasami klapsami, czasami magią, która jest jeszcze gorsza od klapsów. Lepiej udawać, że się nie pamięta, wtedy nie zmuszają do picia lemoniady pani Amelii, po której naprawdę ciężko pamiętać cokolwiek – tłumaczyła, a oczy jej się szybko zaszkliły, łzy spływały po brudnych policzkach.

Finkę uderzyło, że choć Zuzia jest jeszcze małą dziewczynką, wcale nie mówi jak mała dziewczynka. Jakby mieszkańcy Dąbrówki odebrali jej nie tylko rodziców, ale i dzieciństwo. Jakby dorosła dużo szybciej, niż powinna.

– To dlatego chłopcy mówili na ciebie Zosia... – szepnęła Finka.

– Boguś, Michał i cała reszta dzieci też nie pochodzą z Dąbrówki. Ale mieszkają tu o wiele dłużej, pani Amelia miała więcej czasu, by nad nimi popracować. Chyba naprawdę już

nic nie pamiętają. Słyszałam, jak pani Amelia tłumaczyła kobiecie, która wzięła mnie do siebie, że wystarczy trochę cierpliwości, a wszystko zapomnę. Przygotowała wywar z maku, który doskonale się sprawdził u Bogusia.

Finka nie polubiła Bogusia, wydawał się niezbyt sympatyczny i zadzierał nosa. Mimo to była wkurzona na panią Amelię za to, że wymazała mu pamięć i odebrała rodziców.

– Jeśli tak chcą dzieci, czemu ich sobie nie urodzą? Albo nie znajdą takich, które można adoptować, bez rzucania ich rodziców demonowi na pożarcie? – wybuchła Finka.

Zuzia popatrzyła na nią szklistymi oczami, ale nie płakała. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Oni wszyscy są bardzo starzy. Magia sprawia, że wyglądają młodo, ale nie mogą mieć dzieci. Zawarli jakiś układ z demonem, oddają mu turystów, a gdy ich nie ma, mieszkańców, którzy podpadli burmistrzowi. A demon sprawia, że dysponują magią.

– To jest naprawdę stuknięte – przyznała Finka. – Całe to miasto jest stuknięte!

Zuzia pokiwała głową.

– Myślą, że wszystko zapomnę. Poza tym jestem mała, daleko nie ucieknę. Wy też jesteście mali.

– To jest naprawdę... pokopane – powiedziała wstrząśnięta Finka. – My mamy mamę i tatę, są po drugiej stronie Bramy. Nie mogą nas po prostu zatrzymać, jak bezpieczeństwa kocięta!

– Kiepsko jest być dzieckiem. Sami nie uciekniemy, nie ukradniemy auta, nie pojedziemy do Bramy. Ja mam siostrę. Jest już całkiem dorosła i też mieszka po drugiej stronie, w dużym mieście. Próbuję jej nie zapomnieć, żeby ją odnaleźć, kiedy już będę duża.



Powiedziała to tak poważnym tonem, że Finkę ścisnęło w żołądku. I wiedziała, że cokolwiek się wydarzy, nie może zostawić Zuzi na pastwę miasteczka.

– Ze mną jeszcze nie wygrali. Odzyskam dziadka i resztę cyrku. I wyjedziemy stąd tak daleko i szybko, jak to możliwe. I zabierzemy cię ze sobą. I pomożemy ci odnaleźć siostrę – obiecała solennie Finka.

Młodsza dziewczynka uśmiechnęła się smutno, jakby nie wierzyła, że kiedykolwiek opuszczą Dąbrówkę.

– Nie powinnaś wracać do domu. Mogliby ci zrobić krzywdę, gdyby wiedzieli, że mi wszystko powiedziałaś. Możesz przeczekać zamieszanie w naszym obozie.

– A będzie zamieszanie? – zainteresowała się Zuzia.

– Nie obejdzie się bez zamieszania. Nie wiedzą, z kim zadarli. Nie takie rzeczy już pokonywaliśmy. Załatwiliśmy Nero Mortusa, mrocznego nekromantę. Czarnoksiężnik z Czerwonej Wieży nie miał z nami szans. Damy sobie radę i z upiornym miasteczkiem, które podsuwa turystów demonowi. Przynajmniej będę miała o czym pisać mamie w listach – powiedziała Finka buńczucznie.

Wcale nie czuła się tak pewna siebie, ale chciała, by Zuzia miała nadzieję na wykaraskanie się z tej sytuacji. Tkwiła w tym szaleństwie od dawna.

– A mogę do waszego obozu zabrać moje koty? – zapytała cicho mała.

– Jeśli krąg je przepuści – zgodziła się Finka.

Oba czarne koty, które nie odstępowały Zuzi na krok, obdarzyły ją teraz wyniosłym spojrzeniem, jakby sama sugestia, że coś mogłoby je zatrzymać przed podążeniem za dziewczynką, była po prostu obraźliwa. Ocierały się głowami o ramiona i pierś swojej podopiecznej, mrucząc uspokajająco.

Finka była pewna, że to nie były normalne koty. Magiczne, bez wątplenia. Z kotami w sumie nigdy nie wiadomo, nawet ze zwykłymi domowymi mruczydełkami zawsze jest odrobina niepewności.

– Jeśli krąg ich nie wpuści, poczekam z nimi na koniec zamieszania w tunelu, mam tam kryjówkę.

Finka przypomniała sobie, że na zebraniu mieszkańcy mówili o tunelu, do którego zwabili zahipnotyzowanych cyrkowców.

– Wiesz, gdzie jest tunel?

Zuzia z powagą pokiwała głową.

– Tu jest mnóstwo tuneli, biegną pod całym miasteczkiem. Koty zaprowadziły mnie do jednego z wejść, tu w parku. Czasami się tam ukrywam, kiedy nie mogę już tego wytrzymać. Nie wchodzę daleko, bo jest tam ciemno i strasznie.

Dziewczynka wstała z podstawy fontanny i otrzepała czarną sukienkę, poprawiła wiedźmi kapelusz, który znów zsunął się jej na oczy. Oba czarne koty natychmiast przykleiły się wygiętymi grzbietami do jej łydek i prychnęły na Finke, jakby ostrzegały ją, że cokolwiek skrzywdziłoby Zuzię, będzie miało z nimi do czynienia.

\* \* \*

Krąg był wyjątkowo rozsądny. Bez problemu pozwolił Fince wprowadzić Zuzię. Ale już z kotami musiał się solidnie zastanowić. Zatrzymał je na kilka chwil w przezroczystej galaretki magii, ale w końcu wpuścił z głośnym cmoknięciem. Oburzone zwierzaki wzdrygały się, nerwowo otrząsały futerko i prychały z wściekłością w stronę niewidocznej gołym okiem linii wokół obozu.

Przynajmniej dla ludzi nie była widoczna. U kotów mogło być zupełnie inaczej, ale nie planowały dzielić się takimi informacjami.

Finka miała nadzieję, że kiedy wróci do obozu, zastanie przebudzonego Maxa i Simone, może nawet dziaduszkę w całkiem ludzkiej formie, ale nie miała tyle szczęścia. Tygrysy spały jak zabite. Niedźwiedź pochrapywał, jakby zapadł w sen zimowy. Do Pajęczycy nawet nie zaglądała. Akurat miała wielką nadzieję, że ta pośpi kolejne dwa tygodnie, bo wcale się bestiarce nie uśmiechało starcie z drapieżniczką pod nieobecność dziadka. Gdyby demon wziął tylko Pajęczycę, Finka chyba nawet nie uрониła łezki.

Franek, Cyryl i Ula siedzieli w przyczepie Baltazara Bączka nad kubkami kakao na poprawę humoru, ale najwyraźniej istniały ograniczenia dla magii kakao. Franek uniósł głowę, słysząc nadchodzącą siostrę.

– Pomogą nam? – zapytał z nadzieją.

– Guzik tam. To oni za tym stoją. Jesteśmy zdani na siebie. Chłopiec westchnął ciężko.

– Masz jakiś plan? – zapytał z nadzieją.

– Mniej więcej – powiedziała wykrętnie Finka. – Wygląda na to, że muszę pogadać z demonem. Miasto oddało mu naszych ludzi, ale oni nie są pakunkiem, który można komuś przekazać, nie pytając o zgodę. Przekonam go, by ich wypuścić.

Franek patrzył na siostrę wielkimi oczami. Nawet jak na nią pomysł był szalony. I wcale nie wierzył w brawurową minę i buńczuczny ton. Znał Finkę, bała się, ale nie znalazła innego wyjścia.

– A jeśli on cię nie posłucha? Wiesz, nie myśl, że cię nie doceniam. Potrafisz zaprzyjaźnić gryfy, ogary piekielne

i smoki. Ale to jest demon. Nie słyszałem nigdy, by były szczególnie przyjazne.

– Może są głęboko niezrozumianymi bytami piekielnymi? – rzuciła z nadzieją.

– A czemu burmistrz i reszta w ogóle porywają turystów dla demona? Co oni z tego mają? – zapytał przytomnie Cyryl.

– Najwyraźniej magię. Podśledzałam dyskusję w ratuszu – wyjaśniła Finka. – To ma coś wspólnego ze studnią i jakąś maszyną, która pod nią jest. Kiedy przyprowadzają demonowi ludzi, coś im tę maszynę, magię czy studnię dokarmia. Nie jestem pewna, jak to dokładnie działa, ale oni chyba też nie całkiem kumają.

– Pamiętacie, maestro Bączek mówił o czarnoksiężniku, który tu mieszkał – przypomniała Ula. – Może to on zbudował maszynę? Babcia dawno temu opowiadała mi o pewnym czarnoksiężniku. Zbudował urządzenie, które potrafiło zmieniać ołów w złoto. Był alchemikiem. I mówiła mi, że wielu czarnoksiężników zupełnie traciło rozum, próbując zbudować maszyny niemożliwe. Na przykład taką, która pozwoli człowiekowi się teleportować, otworzy portal do całkiem innego świata albo zapewni nieśmiertelność. Podobno bardzo im zależy na nieśmiertelności.

– Założę się, że to ma jakiś związek z duchami – powiedział Franek w zadumie.

– Dlaczego? – zapytała Finka.

– Nigdy nie widziałem ich tyle co tu. Przy studni jest ich zatrzęsienie, a ona sama promieniuje martwą magią. Jak i cała reszta miasteczka. To wszystko musi się jakoś łączyć.

– Myślisz, że to duchy ofiar demona? – Finka aż przełknęła głośno.

– Czy ja wiem? Wszystko wskazuje na to, że zaczęli kilka lat temu. Duchy wyglądają na dużo starsze. Często mają ubrania z całkiem innej epoki, krynoliny, bokobrody i cylindry...

– Dziadek też nosi cylinder – przypomniała Finka.

– Fakt, ale poza maestrami cyrkowymi kto to jeszcze robi? Albo kto ubiera się w suknie z halkami i czepki jak z filmu kostiumowego. Boguś mówił, że demon wprowadził się kilka lat temu.

Przez chwilę milczeli. To był ten moment, w którym bardzo by im się przydał ktoś dorosły. Mądry jak Branwen. Silny jak Jewgienij. Sprytny jak Max. Uparty jak maestro Bączek. Ktoś dorosły, kto wymyśliłby, jak wykaraskać się z tych tarapatów. Kto wiedziałby, co teraz robić. Kto znałby się na magii i potrafił udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Są też dobre wiadomości – przerwała posępną ciszę Finka. – Wygląda na to, że demon nie zabija ich od razu. Więc mamy chwilę na ratunek.

– A jeśli wcale nie będzie chciał z tobą rozmawiać? – zapytał Cyryl.

– To całkiem prawdopodobne. Dlatego mam plan. Mniej więcej. Zarys planu – przyznała Finka.

Przedstawiła go zebrany. I przez chwilę wszyscy milczeli, wpatrując się w nią, jakby nagle pokryła się łuskami, a z głowy wystrzeliły jej węże.

– Nie rozumiem, czemu miałbym tu zostać – zaprotestował Cyryl. – Jestem starszy od Franka.

– Przemyślałam to – zapewniła go Finka. – Musimy utrzymać krąg. Nie mogą zabrać tygrysów i dziaduszki. I samochodów, bo jak uciekniemy? Ty i Ula jesteście w cyrku całe życie. Razem ze śpiącymi zdołacie utrzymać krąg.

Ja i Franek przebywamy tu od niedawna. Magia cyrku nas akceptuje, ale nie jest jeszcze częścią nas.

Cyryl kiwnął głową, bo to, co mówiła, miało sens. Ale wciąż nie był przekonany. Finka nie zrażała się tym przesadnie. Jeśli wbiła sobie coś do głowy, nie zniechęcały jej detale.

– Jeśli dziaduszka obudzi się oszołomiony, tylko Ula może go uspokoić. A ty, Cyrylu, masz przewagę strategiczną i umiejętności, których żadne z nas nie ma – tłumaczyła.

– No mam – zgodził się łaskawie chłopiec. – A o których konkretnie teraz mowa?

– Możesz zastrzelić każdego, kto spróbuje się zbliżyć. Albo nastraszyć ich wystarczająco, by trzymali się na dystans. Nawet nie pomyślą, że obozu chroni dwójka dzieciaków. Uznają, że Max, Simona i dziaduszka są przytomni i uzbrojeni. Jesteście najlepsi do tego zadania – powiedziała żarliwie.

– Ciągle nie wiem, jak uzbroić duchy i nakłonić je do walki po naszej stronie – powiedział Franek, wzruszając ramionami.

– To byłoby coś – przyznał Cyryl i spojrzał na Franka z uznaniem, jakby od opanowania tych umiejętności dzieliło chłopca nie więcej niż kilka minut i przeczytanie paru stron w książeczce o martwej magii.

Mały nekromanta zarumienił się po czubki uszu, ale nic nie powiedział. Słuchał siostry. Jej plan nie miał wiele sensu. Ale nie pozostawało im nic innego, więc w sumie był najlepszy.

Cyryl pokiwał w końcu głową i przystał na plan bez dalszych dyskusji. Tylko Ula ciągle nie była przekonana.

– A co, jeśli coś ci się stanie? Jak my to wyjaśnimy maestrowi Bączkowi? Będzie zły. Gorzej! Będzie zrozpaczony!

Finka westchnęła. Gdybyż jej największym zmartwieniem było to, że dziadek się zezłości. Z takim zagrożeniem mogłaby



żyć całkiem wygodnie.

– Powiecie mu, że to był mój plan. I że się uparłam. Bo w przeciwieństwie do was miałam realne szanse na przetrwanie bezpośredniego spotkania z demonem.

– A to niby czemu? – rzucił Cyryl, którego mała, chłopięca duma znów poczuła się lekko dźgnięta tym, że ona idzie na czołowe zderzenie z wielką przygodą, a on będzie pilnować obozowiska.

– Bo mam smoka do obrony. I kilka sztuczek w rękawie – powiedziała.

– A jeśli wcale nie zechce ci oddać łupu? – zapytał Franek posępnie.

Och, nie wątpił w swoją siostrę, potrafiła być przekonująca. Zwłaszcza gdy założyła komuś nelsona albo na kimś siedziała. Czasami też, jako jej brat, nie miał żadnych szans w zderzeniu z jej logiką. Ale to coś innego. Rozmawiali przecież o demonie! Nie był od nich ekspertem, ale po lekturach co do jednego zyskał pewność – były cwane, knuły i potrafiły zwodzić. Nigdy nie czytał opowieści o demonie wypuszczającym ludzi, których dostał w swoje szpony, bo mała dziewczynka bardzo ładnie go o to poprosiła.

– Och, na pewno nie zechce. Ja muszę tylko odwrócić jego uwagę. To ty ich uwolnisz! – powiedziała triumfalnie Finka.

Zanim wyruszyła na spotkanie demona, wyciągnęła spod poduszki niebieski notes i szybko naskrobała wiadomość do mamy. Na wszelki wypadek. Ktoś musi wiedzieć, co się tu wydarzyło, gdyby miało im się nie udać. Zamknęła szybko okładki, zanim pojawiła się odpowiedź.



## NAWIEDZONY DOM I JEGO SEKRETY

Finka maszerowała dziarsko główną ulicą miasteczka, jakby doskonale wiedziała, dokąd zmierza, i nie życzyła sobie, by ktokolwiek ją zaczepiał. Jakby powiewająca za jej plecami wiedźmia peleryna miała napis: „Odczep się, mam ważniejsze rzeczy na głowie!”. I musiała przyznać, że metoda ta była całkiem skuteczna, bo choć czuła na sobie spojrzenia mieszkańców, wyłapywała poruszające się w oknie firanki, a niektórzy zwyczajnie wychodzili na werandy, by rzucić na nią okiem, to nikt nie próbował jej zatrzymać.

Może dlatego, że kierowała się prosto do nawiedzonego domu na wzgórzu. Prosto w paszczę demona. A może winna była Sznurówka, która leciała tuż nad jej głową jak wielki, pokryty łuskami balonik, ziejący raz po raz ogniem? Finka dała jej zielone światło na zastraszenie każdego, kto próbowałby je zatrzymać. Smoczyca wzięła to sobie głęboko do serduszka i tak na wszelki wypadek zastraszala wszystkich, jak leci – bo to wiadomo, co im wpadnie do głowy?

Finka dotarła szybko do końca ulicy, tam gdzie poprzedniej nocy zatrzymali się z dziećmi z miasteczka, i odruchowo zwolniła. Potrząsnęła głową. Nie, nie mogła sobie pozwolić na strach. Miała zadanie do wykonania. Musiała kupić Frankowi czas.

Dlatego znów przyspieszyła, aż peleryna łopotała za jej plecami, a spiczasty kapelusz zsunął się na tył głowy i tylko gęste loki powstrzymywały go przed upadkiem. Asfalt się skończył i jej trampki trafiły na piaszczystą łachę. Dawno nikt wtedy nie jeździł i to było widać. Większość drogi zarosła trawą i zielskiem. Finka nie zrażała się łatwo, więc nieugięta parła w górę wzgórza.

Sznurówka rozgarniała nad nią powietrze szerokimi, błoniastymi skrzydłami. Raz po raz wydmuchiwała kłęby dymu lub ziała ogniem, by dodać sobie animuszu. Nie mówiła Fince głośno tego, że troszkę się bała, może nawet bardzo troszkę. Robiła wcześniej rekonesans nad nawiedzonym domem i przyprowadził ją o ciarki na karku, aż łuski stawały dęba! To wcale nie było miłe miejsce, a Sznurówka, jak większość smoków, lubiła miejsca miłe, ciepłutkie, w sam raz do wygrzewania się na słońcu i puszczania nosem bardzo zadowolonych kółeczek dymu. Ale gdyby zdradziła Fince, że się boi, ta powiedziałaaby:

– Sznuróweczko kochana, to ty tu na mnie chwilę poczekaj, a ja sobie całkiem samiutka wmaszeruję w paszczę potwora, zginę marnie i to będzie pewnie troszkę twoja wina, ale nie chcę, byś o tym myślała w ten sposób, bo to całkowicie moja decyzja!

Właśnie dlatego Sznurówka dodawała sobie animuszu ogniem i powtarzała w myślach zdanie: „Jesteś smokiem, jesteś zniszczeniem, jesteś potęgą!”. Alastair, zaprzyjaźniony, bardzo stary i bardzo wielki smok, powiedział jej, że taka afirmacja

może pomóc w trudnych sytuacjach, więc Sznurówka często korzystała z jego rady. I troszkę działało, bo faktycznie im bardziej ziała ogniem i machała skrzydłami z majestatem wielkiego i potężnego smoczyska, tym pewniej się czuła!

Potem Finka doszła do furtki i sięgnęła do klamki, a Sznurówce z miejsca przeszła ta cała odwaga. Opadła na ziemię, chowając się za plecami mamusi, bo to naprawdę był straszny dom! Na kutej, ciężkiej bramie wisiały dziesiątki wielkich, włochatych pajaków! Sznurówka nie przepadała za stworzeniami, które miały więcej nóg niż ona. Zwłaszcza za takimi kojarzącymi jej się z Pajęczycą, której naprawdę nie lubiła.

– Nie ma się czego bać, one nawet nie są prawdziwe – powiedziała Finka, ale jej głos był troszkę piskliwy. Odruchowo ścisnęła też łapkę swojej smoczej towarzyszki.

Coś zaskrzypiało złowieszczo. Smoczątko spojrzało w bok i aż pisnęło z przerażenia. Na gałęzi rosnącego zaraz za bramą dębu kołysały się wisielce! I wyglądały bardzo, ale to bardzo prawdziwie!

Finka rzuciła okiem na kiwające się na sznurze sylwetki i szepnęła:

– To na pewno tylko dekoracje...

Ale wcale nie brzmiała na przekonaną.

Przy furtce stało kilka wydrążonych dyń, zerkały na Finkę, szczerząc się złośliwie. Wydało się jej dziwne, że znalazła je w domostwie zamieszkanym przez demona. Czy one nie miały czasem odstraszać takich jak on? Z drugiej strony, czy cokolwiek było jeszcze pewne w tym miasteczku? Finka lubiła rzeczy pewne. Takie, które można wpisać do notesu od razu piórem, a nie ołówkiem. Albo wydrukować w ważnej książce. W Dąbrówce niewiele takich rzeczy znajdowała.

Nie mogła stać tu całymi godzinami! W każdej chwili demon mógł usłyszeć Franka i cały ich plan rozsypie się w proch. Musiała odwrócić jego uwagę. I dlatego powtarzała sobie w duchu afirmację, która miała dodać jej odwagi: „Jesteś odważna, jesteś nieustraszona, jesteś tłustą kaczką, która sobie ze wszystkim poradzi!”. Nie wiedziała, że jej smok też właśnie mamrotał pod nosem afirmację własnej potęgi.

Finka nacisnęła dzwonek przy furtce i rozległo się coś jak bicie ogromnego kościelnego dzwonu. Aż podskoczyła, gdy nagle bramka otworzyła się z głośnym skrzypnięciem, jakby zapraszała ich do środka.

– Powiedziałyśmy A, czas powiedzieć B – szepnęła cicho dziewczynka i zrobiła najtrudniejszy krok w życiu.

Ledwie minęła furtkę, pochwyciła ją magia. Nagle Finka zawisała nad ziemią, majtając bezradnie stopami, a całe ciało paliło ją boleśnie, jakby obeszły ją ogniste mrówki! Nie mogła nawet pisnąć! Tuż obok, pochwyciona tym samym zaklęciem, lamentowała Sznurówka. Zdeterminowana Finka skupiła się ze wszystkich sił na swojej mocy tłustej kaczki. Może i ją złapało, ale nie zdoła utrzymać! Już prawie, prawie zsuwało się z jej śliskości! Najpierw poruszyła palcami, a potem mogła już wymachiwać rękami, energicznie kopać powietrze, by wyrwać się z uchwytu, który ścisnął ją jak imadło! Magia ciągle ją trzymała, Sznurówka popiskiwała nerwowo, z każdym jej ruchem powietrze wibrowało jak trącona struna – i nagle do Finki dotarło coś istotnego.

To nie było zaklęcie unieruchamiające. To był krąg ochronny. Podobny do tego, który mieli wokół obozu. A to oznaczało, że nie chciał ich skrzywdzić. Zamierzał jedynie je powstrzymać przed wtargnięciem! Czy raczej – chciał przed nimi ochronić tego, kto był w środku kręgu. Ale przecież on, kimkolwiek był, nie potrzebował ochrony przed Finką. Nie

przyszła go skrzywdzić. Nie miała złych intencji! Skupiła się na tym, mając nadzieję, że krag to rozpozna i przepuści je, jak obozowy krag przepuścił – z wyraźnym wahaniem, ale jednak – parę kotów Zuzi.

Krag się nie spieszył z decyzją, ale jej natura tłustej kaczki znów się odezwała. Finka wyslizgnęła się z uchwytu zaklęcia i nagle jej trampki znów dotykały ziemi.

Tylko Sznurówka wciąż tkwiła w potrzasku, mamrocząc, że jest potęgą i zniszczeniem. Finka złapała ją za majtający się na boki ogon i pociągnęła. Magia przytrzymała smoka w miejscu i nic sobie nie robiła z wysiłków i posapywania dziewczynki.

– Ona jest ze mną! – zawołała głośno.

I nagle smoczątko klapnęło pupą o ziemię z głośnym tapnięciem. Zerwało się ze ścieżki i pomachało skrzydłami z irytacją. Kto to słyszał? Tak ciskać smokami o glebę? Nie godzi się!

– Wszystko dobrze, Sznuróweczko – zapewniła ją Finka i znów uścisnęła jej łapkę.

Wcale nie była pewna, która z nich bardziej potrzebowała tego pocieszenia.

Drzwi nawiedzonego domu otworzyły się z głośnym zgrzytem. Ktoś tu naprawdę powinien zainwestować w olej do zawiasów, pomyślała Finka, ale szybko ugryzła się w język, bo na progu stał najprawdziwszy potwór! Był tak wielki, że ledwie mieścił się w wysokich drzwiach! Szeroki, pokryty czarnym, kudłatym futrem, miał jarzące się czerwienią ślepie i mnóstwo, ale to mnóstwo zębów! Nawet jej zaprzyjaźnione ogary piekielne nie prezentowały tak przerażającego uzębienia! Dziewczynka z trudem zwalczyła gwałtowną potrzebę, by obrócić się na pięcie i salwować ucieczką, popychając Sznurówkę przed sobą. Nie mogła tego zrobić. Franek potrzebował czasu. Jej zadaniem



było mu go kupić, ile się dało. To było ważniejsze od miękkich kolan.

Bestia zrobiła krok w jej stronę. Otworzyła szeroko paszczę, pokazując ze szczegółami wszystkie zęby i wielki, czarny jęzor! A potem ryknęła tak głośno, że cała Finka zatrzęsa się jak listek na wietrze, a włosy stanęły jej dęba!

Sznurówka nie wytrzymała tych emocji. Pisnęła ostrzegawczo, a potem zmieniła się w krąglutki miotacz płomieni, budując ścianę ognia między nimi a bestią. Kudłaty potwór zrobił krok w ich stronę. Zatrzymał się, popatrzył na ognistą kurtynę. Znow zrobił krok w ich kierunku. A potem zamigotał, co było zupełnie dziwaczne. Jakby to był, to zniknął!

Nadal szedł w ich stronę, a kiedy znalazł się już zupełnie blisko, zapytał:

– Czy to prawdziwy smok?

Finka, zanim przyszło jej do głowy, że z bestiami to może jednak lepiej grzecznie, wypaliła:

– A wiele znasz sztucznych smoków? Poza tym jest moja i lepiej się nie zbliżaj, bo cię usmaży na skwarek. Jest wystraszona – dodała tonem wyjaśnienia.

Demon znow zamigotał. A Finka poczuła muśnięcie śliskiego zaklęcia. I już wiedziała, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje. Tłusta kaczka znow nie brała jeńców i magia zaczynała po niej spływać!

Ale jeśli nie bestia stała przed nimi, to kto?

– Wiem, że tak nie wyglądasz. Równie dobrze możesz się pokazać, bo wcale nie jesteś taki dobry w utrzymaniu kamuflażu, jak ci się wydaje! – powiedziała, udając bardzo pewną siebie.

Kudłaty potwór przechylił głowę na boki i zamrugał, jakby go naprawdę zaskoczyła.

– A właśnie że jestem dobry! Świetny nawet! To ty jesteś jakaś dziwna! – zaperzył się.

– No jestem – przyznała łaskawie dziewczynka i uśmiechnęła się pod nosem, bo bestia się tak skoncentrowała na zaprzeczaniu, że zapomniała zupełnie o głosie i wcale nie brzmiał on jak wcześniejszy ryk, chrapliwy i przerażający.

– Krąg cię przepuścił – powiedział pozornie bez związku.

– A przepuścił. Wcale nie planuję spuszczać ci łomotu, jeśli nas nie zaatakujesz – zapewniła.

– A będę mógł pogłaskać smoka? – zapytał po chwili zastanowienia.

– Jeśli Sznurówka sobie tego zażyczy, to czemu nie – powiedziała Finka i zerknęła na smoka.

Pupilka sceptycznie sapnęła, wypuszczając nozdrzami kłębuszki dymu. Wcale, ale to wcale nie była przekonana, że głaskanie przez bestię to taki dobry pomysł.

– Boi się tej formy, którą pokazujesz, ale myślę, że nie będzie się bała prawdziwej – dodała dziewczynka, bo była już prawie pewna, że głos należał do dziecka, a nie do strasznego potwora.

Powietrze wokół bestii zamigotało, zapachniało cynamonem i dymem z ogniska, a przed Finką stanął chłopiec. Mniej więcej. Miał ręce i nogi chłopca, chude i z wystającymi kolanami i łokciami, był szczupły i niższy od Finki, ale tam, gdzie spodziewała się zobaczyć twarz, ujrzała pomarańczową dynię z wyciętymi otworkami na oczy, nos i usta. Z otworków spoglądały na nią czarne jak węgielki ślepka.

– Zawsze nosisz tę dynię na głowie? – zapytała troszkę rozbawiona.

Przytaknął.

– Poza kręgiem mogę utrzymać wygląd potwora tylko kilkanaście minut. A tak łatwiej się wmieszać w tłum, kiedy

schodzę do miasteczka po jedzenie – przyznał.

– Czyli nie jadasz tych ludzi, których ci przyprowadzają?

– No co ty!? Jem głównie cukierki. Rzadko dają coś innego dziecku z dynią na głowie...

No dobrze, pomyślała Finka, to było dosyć nieoczekiwane. Może i wyglądał jak mały chłopiec, ale skąd właściwie mogła mieć pewność, że to nie było kolejne przebranie? Że nie bawił się jej zmysłami i nie pokazywał jej tego, co chciał, by zobaczyła?

– Dawno tu nikogo nie było – powiedział po chwili chłopiec, kopiąc kępkę trawy czubkiem trzewika. – To mogę pogłaskać smoka? Zawsze chciałem jakiegoś dotknąć...

Finka spojrzała na Sznurówkę i zapytała:

– Masz ochotę na głaskanie?

Smoczyca przechyliła głowę, jakby się zastanawiała. Zagulgotała w końcu ostrożnie i wypuściła mały kłębuszek dymu niczym kropkę nad i.

– Jeśli obiecasz, że nie zrobisz nam krzywdy – przetłumaczyła Finka słowa swojej przyjaciółki.

– Słowo daję. Nigdy bym nie skrzywdził smoka!

– A człowieka? – upewniła się Finka.

– Och, tylko gdyby mi zagrażał. Ale wtedy w sumie też niewiele muszę robić, magia sama spuszcza mu bęcki.

Finka nagle zrozumiała, jak mały chłopiec pobił burmistrza i dwóch jego mięśniaków. Przyszli w złych zamiarach i ochronny krąg uporał się z nimi w try miga.

– Chcesz się ze mną pobawić? – zapytał cicho chłopiec. – Wieki całe się z nikim nie bawiłem... Możesz tu nawet zostać. Oni tam w miasteczku wcale nie są tacy mili, jak się wydaje – dodał.

– To akurat zdążyłam zauważyć – przyznała ostrożnie. – I chyba nie minęło aż tyle czasu? No wiesz, naprawdę nie

siedzisz tu od wieków?

– W sumie nie wiem, ile dokładnie minęło. Nie wiem, jak długo tu jestem. Trudno pilnować czasu, gdy ciągle mają tu Halloween.

I coś w jego głosie, może echo powstrzymywanych łez, dźgnęło Finkę prosto w miękkie serduszko.

– Chyba musimy pogadać – powiedziała stanowczo.

– A o czym? – zainteresował się chłopiec z dynią na głowie.

– Na początek może o tych wszystkich turystach, których podsuwali ci ludzie z miasteczka? To moi bliscy, moja rodzina. I chcę ich odzyskać, rozumiesz?

– Dostałem coś od nich? I ja nic nie wiem? – Wydawał się szczerze zaciekawiony.

Ale zanim Finka zdążyła mu cokolwiek wytłumaczyć, nagle huknęło, a ziemia pod ich stopami zadrżała i chłopiec, Finka, a nawet smok opadli na pupy w miękką trawę.

– Co się tu, kurczaczki, dzieje? – mruknęła Finka.

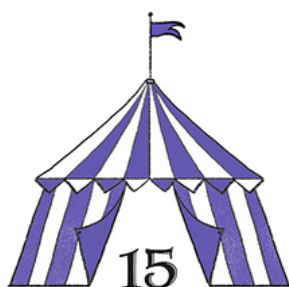
– Ktoś otworzył drzwi na Ścieżkę Mgieł. A nie powinien. Nic dobrego nie spotyka żywych, którzy przez nie przechodzą – wyjaśnił demon, wstając i otrzepując spodenki.

Finka nie wiedziała, czym jest ta cała Ścieżka Mgieł, ale nagle poczuła się tak, jakby miała w brzuchu wielką, lodowatą kulę. I momentalnie poczuła pustkę.

– Franek! – wykrztusiła przerażona, a przed oczami zrobiło jej się całkiem ciemno.







## TUNELE, CZYLI TAJNY PLAN ODBICIA CYRKOWCÓW

Franek był przerażony, ale starał się trzymać fason. Pocieszał się, że jego siostra w sumie miała gorzej. Bo choć szedł w ciemności podziemnym tunelem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będzie musiał stawiać czoła demonowi i zabawiać go rozmową. Finka potrafiła zaprzyjaźniać ludzi i zwierzęta. Miał nadzieję, że demony też. Da sobie radę. A to oznaczało, że i on musiał wykonać swoją część planu, by cały jej wysiłek nie poszedł na marne.

Dlatego musiał znaleźć cyrkowców i wyprowadzić ich jak najszybciej. Zuzia chciała mu pokazać ukryte wejście, ale w obozie była bezpieczniejsza. Lepiej nie dawać pani Amelii okazji do wymazania dziewczynce pamięci czy ukarania jej za wyjawienie sekretów mieszkańców Dąbrówki.

Dlatego teraz Franek krążył po parku z narysowaną przez sześciolatkę mapką, próbując znaleźć wejście do tunelu. Przedzierał się przez gęste krzaki, szukając drewnianego słupa z budkami lęgowymi, który był punktem orientacyjnym. Jeśli



niczego nie poplątał, wejście do tunelu powinno być niedaleko, kilka, może kilkanaście metrów dalej. Sęk w tym, że nie widział słupa ani budek łęgowych. Kręcił się w kółko, na granicy paniki, bo usłyszał właśnie głosy, które bez wątplenia zmierzały w jego kierunku.

– Doprawdy, dzieciaku! – usłyszał za sobą kolejny, ociekający ironią głos.

Odwrócił się gwałtownie, ale nikogo nie znalazł. Nawet duchy zdawały się omijać ten kawałek parku. Co w sumie było dziwne, bo w tym miasteczku aż się od nich roiło. Wcale nie żałował, że tu ich nie było. Dziwne, nawet jak na średnią świata duchów. Nie chodziło nawet o stroje czy staromodne peruki i czepki, ale o to, jak ciche były. Jakby ktoś miał pilota do duchów i wyłączył im dźwięk. Nie tylko nie gadały – a wszystkie duchy, które dotąd spotykał, były gadułami – ale też nie wydawały żadnych innych dźwięków: nie szurały stopami, nie podzwaniały łańcuchami, przemykały się bezdźwięcznie i tylko wgapiały w niego wyblakłe oczy, kiedy zdradził się z tym, że je widzi.

Starał się nie skupiać na głosach, choć zaczynał rozróżniać słowa, więc ludzie byli naprawdę blisko.

– Pod nogi patrz, kawalerze, a może nawet coś zobaczysz – znów usłyszał głos.

W kępie paproci, ledwie krok dalej, siedział wielki, czarny kot. Franek był całkiem pewny, że to o nim mówiła Finka, gdy wspomniała o tym, że całe te stada włóczące się po miasteczku miały herszta, który nie wyglądał na zwyczajnego kota nawet bardziej od pozostałych.

– Kim jesteś? – zapytał chłopiec.

– Twoim ratunkiem, najwyraźniej. Chyba że wcale nie potrzebujesz ratunku? Tak tylko się kręcisz w kółko i czekasz na kumpli z miasteczka, bo stęskniłeś się za burmistrzem?

Jego żona na pewno zrobi ci pyszną makową lemoniadkę. A po niej obudzisz się zaskakująco chętny do współpracy – powiedział kot.

I nawet nie ruszał pyszczkiem! Jakby rozmawiał z Frankiem telepatycznie!

Męskie głosy były coraz bliżej, Franek słyszał patyki pękające pod ciężarem czyichś butów.

Szli prosto na niego!

– Wiesz, gdzie jest wejście do tunelu? – zapytał.

– A myślisz, że kto je pokazał tej małej? – Kot prychnął nieco pogardliwie i odwrócił się, machając ogonem. – Na co czekasz? Na specjalne zaproszenie? – dodał po kilku krokach, gdy Franek wciąż stał jak zaczarowany.

Przewodnik wybierał trasę dogodną dla siebie i swojego sporego jak na kota, ale ogólnie to mikrego wzrostu. Franek musiał iść za nim na czworakach, ocierając sobie kolana o suche igły i chrust, żeby zmieścić się pod nisko wiszącymi gałęziami i zwalonym pniem. Ale po chwili zobaczył ukrytą w gęstej zieleni ścianę z cegieł, a w niej okrągłą furtkę z szerokich, stalowych prętów. Kot prześlizgnął się między nimi bez trudu. Franek był większy i trochę się napocił, zanim zdołał się przecisnąć.

– Mogłeś też zdjąć skobel i otworzyć furtkę, ale co kto lubi – skwitował kot i parsknął kocim śmiechem.

Franek poczuł, że policzki palą go rumieńcami.

– Mogłeś powiedzieć – burknął.

– Mogłem – przyznał kot i skoczył w ciemność.

Franek zrobił kilka kroków; czekał, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności. Tunel był tak szeroki, że chłopiec nie mógł dotknąć obu ścian, dość wysoki, by nie musiał się schylać. Pod palcami czuł chropowate cegły i osypującą się, kruchą zaprawę.

– Kocie! Kocie! – zawołał, ale odpowiedziała mu cisza.

Nie był pewien, czy to kolejny żart jego przewodnika, czy zwyczajnie znudziła mu się ta rola i dał nogę. W sumie Franek poprosił go tylko o wskazanie wejścia do tunelu. Powinien wiedzieć lepiej, z kotami jak z elfami – liczyła się precyzja. Trzeba było poprosić o wskazanie drogi do nawiedzonego domu albo do miejsca, gdzie przebywają więźniowie...

Franek szedł, dotykając ściany. Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, a ta wydawała się odrobinę mniej gęsta i przerażająca. Żałował, że nie zabrał latarki, przy której Finka czytała nocami.

Po kilku minutach dotarł do rozwidlenia, tunel biegł w prawo i w lewo. Przez chwilę chłopiec próbował się zorientować, w którą stronę powinien iść do nawiedzonego domu, ale pod ziemią stracił orientację.

Kot nadal milczał, więc Franek był zdany na własną intuicję. Spróbował wyczuć magię. Nawiedzony dom, w którym mieszka demon, powinien nią emanować, prawda? Poczuł wyraźne szarpnięcie mocy i poszedł w prawo. Wkrótce zauważył delikatną poświatę. Gdzieś tam było źródło światła!

To wystarczyło, by jego oczy zaczęły wyławiać zarys kształtów z ciemności, więc maszerował szybciej. Wokół niego gęstniały opary magii. Była zimna, trochę podobna do jego martwej magii, ale bardziej niebieska niż fioletowa. Ściany tunelu w niektórych miejscach jarzyły się błękitnymi glutami, a Franek starał się żadnego nie dotknąć.

Usłyszał przed sobą jakieś głosy. Ściany tunelu zwielokrotniły je echem tak, że nie był w stanie rozróżnić słów czy nawet rozpoznać, czy to dziadek lub któryś z cyrkowców, ale to przecież musiał być ktoś od nich, prawda? Znalazł ich! Podekscytowany przyspieszył i już chciał krzyknąć, by

wiedzieli, że po nich idzie, ale kot skoczył na niego z ciemności i wyszeptał:

– Co ty wyrabiasz? Życie ci niemiłe? Sam im leziesz w łapy!  
Chłopiec zamarł.

– Kto tam jest? – zapytał cicho.

Kot prychnął, ale odpowiedział:

– Sam możesz zobaczyć, tylko cicho sza i ani mru-mru. Jeśli cię dopadną, nie będę sobie zawracał głowy ratowaniem cię, zrozumiano?

Franek prawie przestał oddychać, gdy zakradali się w stronę źródła światła. Głosy były coraz bardziej wyraźne. Rozpoznał jeden z nich, bez wątpienia należał do burmistrza, choć teraz nie brzmiał na zadowolonego z siebie i jowialnego jegomościa. Mimo tego, że drewniane drzwi lekko tłumiły dźwięki, Franek wyraźnie słyszał ekscytację w jego głosie.

Drzwi były uchylone i to zza nich wlewało się w tunel ostre, białe światło. Chłopiec był ciekaw, co jest za nimi. Chciał tylko zajrzeć, ale kot szarpnął go za nogawkę, wbijając pazury aż do skóry. Sekundę później tuż przy drzwiach Franek usłyszał kroki. Przyczaił się w ciemnym kątku, tuż poza plamą światła, i nasłuchiwał.

Burmistrz mówił coś o maszynie i o tym, że niedługo znów osiągnie pełną moc.

– Nawet jeśli jeszcze ich nie otworzyli, to tylko kwestia czasu, zawsze w końcu je otwierają – dudnił głos burmistrza, odbijając się echem od ścian tunelu. – Najważniejsze, że maszyna nie stanęła nawet na chwilę. Nie trzeba się obawiać przerwy w dostawach.

– Lepiej, by ich nie było! – Franek usłyszał wyższy głos, należący do pani Amelii. – Miasteczko nie może sobie pozwolić na przerwy! Obrzeża znów zaczynają się kruszyć! Kilka domów

wygląda jak ruiny wymagające remontu, a dwa pod lasem całkiem zniknęły. Ludzi też się niedługo nie zdołamy doliczyć.

Burmistrz chodził to w prawo, to w lewo, i nie przestawał mówić, nie zwracając uwagi na słowa żony.

– Tak jak przewidziałem, zniszczenie mostu się opłaciło! Tytu naraz przyjechało! To się musi przełożyć na dawki! Wszystko się odbuduje, wypełni, poskleja.

Pani Amelia nie była przekonana.

– A co dalej? Myślałeś nad tym? A jeśli nie zjawią się kolejni turyści? Teraz mieliśmy fart, ale bez mostu szanse na odwiedziny mamy mniejsze.

Ale burmistrz nie zamierzał przejmować się detalami i nic nie mogło mu popsuć humoru.

– Najwyżej będziemy musieli sięgnąć po środki ostateczne. Nie pierwszy raz – powiedział twardo.

– Ludzie się burzą.

– A niech się burzą, jeśli dzięki temu poczują się lepiej. Sami przegłosowali tę procedurę awaryjną. Chcą, by miasto kwitło, i nie ma co udawać, że mamy wielki wybór. Na wybory jest już za późno. Nawet jeśli czasem trzeba kogoś poświęcić, nie jest to cena wygórowana. Magia zastąpi ich nowymi egzemplarzami, mniej konfliktowymi i rozumiejącymi, że tak po prostu trzeba, dla wyższych celów. – Burmistrz jeszcze bardziej podniósł głos. Teraz brzmiał na zirytowanego, zniecierpliwionego.

Pani Aniela przez chwilę milczała, a potem powiedziała łagodniejszym, prawie przymilnym tonem:

– Mówię tylko, że musimy wypracować nowe rozwiązania. Zanim braknie nam ludzi na ofiary! Może trzeba działać bardziej perfidnie? Dać ogłoszenie do różnych gazet na Rubieżach? Coś o świetnej posadzie albo o tym, że rozdajemy domy na zachętę dla nowych osadników? Wiem, unikaliśmy

tego, by nie zostawić śladów, ale chyba nie możemy już tego odkładać, Stanisławie!

– Pomartwimy się o to później, duszko – zapewnił, a Franek usłyszał odgłos cmoknięcia.

– Szkoda, że nie ma z nami Adama. On potrafił uruchomić maszynę bez tego – powiedziała jeszcze, a burmistrz sapnął ze złością.

– Adam nie rozumiał naszej wizji! Nie podzielał naszych przekonań. Nie zależało mu na przyszłości miasteczka! Gdybym się go nie pozbył, zniszczyłby maszynę. Może nawet uwolniłby tego potwora, tylko dlatego, że uważał go za przyjaciela! Też mi coś! Jakaś bestia była dla niego ważniejsza niż brat! Niż nasze miasto!

– Szkoda tylko, że żadne z nas nie ma jego magii i nadal nie jesteśmy w stanie odszyfrować jego notatek – zauważyła.

– Radzimy sobie i bez niego, kochana. Czyż nie mamy najwspanialszego miasteczka na Rubieżach? Najładniejszego? Najbardziej wyjątkowego?

– Oczywiście, masz rację – przyznała zgodnie.

Franek usłyszał już dość i próbował się niezauważenie wymknąć, ale gdy dotknął ściany, kilka okruchów osypało się na ziemię z głuchym łupnięciem wzmocnionym przez echo w tunelu.

– Słyszałeś coś? – usłyszał głos pani Amelii.

– Pewnie to znowu te nieznośne koty. Albo szczury. Te tunele przyprawiają mnie o dreszcze – powiedział burmistrz.

Franek usłyszał kroki zbliżające się w stronę uchylonych drzwi. Przywarł do ściany w najciemniejszym kątku i skulił się, mając nadzieję, że ciemne ubranie zlewa się z kolorem ścian.

Drzwi uchylły się nieco szerzej. Bał się nawet spojrzeć w ich kierunku, wtulał twarz w materiał bluzy.



– Nikogo tu nie ma. Przynajmniej nikogo żywego, ale duchy są tu zawsze mile widziane! – Mężczyzna zaśmiał się złośliwie i przymknął drzwi.

Szpara między nimi a framugą była tak mała, że tylko wąskie pasemko światła padało na ścianę i podłogę tunelu.

Franek przez chwilę jeszcze ani drgnął. Zimno przenikało go do kości. Magia, którą wcześniej wyczuł, teraz wyciągała z niego ciepło. No i jeszcze duchy. Nagle było ich pełno, choć parę minut temu chłopiec nie widział tu nawet jednego. Jakby przyciągnął je monotonny szum i podzwaniający odgłos szkła, które słyszał teraz, gdy umilkły ludzkie głosy.

Kot przyciskał się do boku chłopca, jakby pilnował, by nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, kiedy pochód duchów wypełnił cały tunel. Naraz szum ucichł, a zza drzwi zaczęła się przesączać lśniąca, błękitna poświata. Była niczym macki, które sięgały w głąb tunelu, szukając łupu. Jedna znalazła Franka. Liznęła go chłodem, ale po chwili cofnęła się, jakby zawiedziona.

Bo ciągle jestem cieplutki i żywy, pomyślał Franek, widząc, jak inne macki wczepiają się w duchy, ciągną je w stronę drzwi i przenikają z nimi do pomieszczenia po drugiej stronie. Duchy nie wydawały z siebie dźwięku nawet teraz, ale nie wyglądały już na obojętne. Bały się, jakby doskonale wiedziały, co je tam czeka. Franek był pewien, że nic dobrego. Zwłaszcza gdy usłyszał odgłos ssania, jakby ktoś za drzwiami odpalił wielki odkurzacz, a duchy coraz szybciej znikwały za drzwiami.

Kot brutalnie wczepił się pazurami w jego rękaw i pociągnął go w przeciwnym kierunku. Uszli kilka kroków w całkowitym milczeniu, kiedy w końcu zwierzak, uderzając ogonem na boki, powiedział:

– Chodźmy po twoich przyjaciół, zanim im albo tobie wpadnie do głowy coś głupiego.

– Co oni robią z tymi duchami? – zapytał chłopiec.

Kot błysnął karcąco zielonymi ślepiami, ale odpowiedział:

– Przerabiają je na magię, energię, jak zwał, tak zwał. Są paliwem, bez którego maszyna by stanęła. Za każdym razem, jak uchylają wrota na Ścieżkę Mgieł, ściągają ich tu na pęczki, wymieniają się żywi i martwi.

– Co to za maszyna, co tak właściwie robi? – zapytał Franek, bo nie mógł sobie wyobrazić, do czego mogłaby się przydać maszyna napędzana duchami!

– Wszystko, co widziałeś w miasteczku, i jeszcze trochę. Pospiesz się, masz coraz mniej czasu – powiedział zwierzak.

– Czy demon ich zaraz dopadnie? – Na chwilę Franek zapomniał o tym, że miał mówić cicho, i jego głos rozniósł się echem po tunelu.

Kot syknął ze złością.

– Jeśli mieszkańcy cię złapią, nikogo nie uratujesz. A tak może zdołasz ocalić swoich przyjaciół przed ich własną głupotą i ciekawością.

– I przed demonem – dodał chłopiec, bo wydawało mu się, że ten był dużo większym zagrożeniem niż wymienione przez zwierzaka cechy.

– Demon jest twoim najmniejszym problemem – powiedział tylko kot.

Skoczył zwinnie do przodu. Franek biegł, by za nim nadążyć. Co w ciemności, która owijała się wokół niego jak noc, nie było łatwe. Potknął się i poleciał do przodu jak długi. Wyrznął dłońmi o twarde chodnik. Jęknął boleśnie. Kocie pazury zastukały o kamienie tuż przy jego głowie.

– Co znowu? – mruknął niechętnie zwierzak.

– Nic nie widzę! – poskarżył się Franek, zbierając się z podłoża. Dłonie piekły otarciami do krwi.

– To czemu sobie nie wyczarujesz światła? – zapytał kot, jakby to było coś oczywistego.

– Nie umiem.

– Czego oni was dziś uczą w szkołach? Ach, ta dzisiejsza młodzież! – wymamrotał kot.

A po chwili między nim a Frankiem zamigotał ognek. Wyglądał jak płomień świecy, tylko że pod nim nie było żadnego wosku czy knota. Jarzył się chłodnym, błękitnym blaskiem i rozjaśnił prawie metr tunelu wokół nich.

– Tyle wystarczy czy od razu mam wysłać burmistrzowi zaproszenie na pokaz fajerwerków? – zapytał kot zgryźliwie i znów ruszył tunelem.

– Daleko jeszcze? – odezwał się Franek.

Płomyk płynął w powietrzu przed nim, jakby niewidzialny duch przyświecał mu niewidzialną świecą.

– Już blisko. Czujesz magię? – odpowiedział przewodnik.

– Coś czuję, ale nie wiem co. To jest... dziwne – przyznał chłopiec, bo nie potrafił znaleźć lepszego słowa.

Jakby... wibracje? Zimno, ale inne niż to emanujące z maszyny burmistrza. Bardziej jak jego martwa magia. Ale nie całkiem takie samo. Nie czuł się nim zaniepokojony. I nie przyciągała duchów, w tej części tunelu nie widział nawet jednego.

Chodnik nachylał się i teraz szli pod górkę. Co Franek przyjął z radością, bo musieli wspinać się w stronę nawiedzonego domu na wzgórzu. Naprawdę byli coraz bliżej! Wydało mu się, że czuje wodę kolońską dziadka! Przyspieszył podekscytowany, bo oto nadciągała kluczowa część planu. Znajduje cyrkowców, wyprowadza ich z tuneli, wracają do obozu, pakują się w try miga i gdy tylko wrócą Finka i Sznurówka, zwiewają z tego miasteczka.

Zapach wody kolońskiej przebijał się nad woń magii i kurzu całkiem wyraźnie! Franek wyczuł nawet aromat brylantyny, który roztaczał wokół siebie Sylwester Żuczek. Był na tropie! Franek biegł po nierównym chodniku, ryzykując, że znów upadnie, ale nadzieja dodawała mu skrzydeł. Najchętniej wykrzyczałby imię dziadka, ale ugryzł się w język. Nie wiadomo, jak dobry słuch miał demon.

Nagle tunel dobiegł końca. W świetle płomyka chłopiec zobaczył drzwi. Drewniane, solidne, z żeliwną klamką i dużym skoblem umieszczonym tak wysoko, że Franek musiał stanąć na palcach, by go dosięgnąć. Bał się, że będzie zbyt ciężki lub zardzewiały, ale odskoczył pod naciskiem chłopięcych palców.

Z głośnym jak wystrzał zgrzytem drzwi się uchylily i poczuł, jak nagły pęd powietrza odrywa go od ziemi i wciąga niczym tornado! Próbował uchwycić się klamki, ale wypuścił ją z rąk, łapiąc przelatującego koło niego kota. Huk wiru i brzęk tłuczonego szkła wypełniły uszy Franka. Ciśnienie na nie napierało i krzyczał, by je wyrównać, zanim pękną mu bębenki!

Wir przemieszczał się jak trąba powietrzna na drugi koniec pomieszczenia, gdzie powierzchnię ogromnego lustra pokrywały fioletowe gluty, tak podobne do tych, które zostawiał za sobą Nero Mortus. Magia śmierci przyciągała wir i chłopca, który trzymał kota z całych sił, gdy ten wbijał się pazurami głęboko w jego bluzę.

Przebili się przez gluta i lecieli dalej, aż wir zwolnił, by w końcu zamrzeć. Franek i kocur przez ułamek chwili wisieli w powietrzu, jakby grawitacja tu nie działała. A potem sobie o nich przypomniała, więc obaj zaczęli spadać. Chłopiec wrzeszczał i wcale się tego nie wstydził. Wiatr szarpał nim jak liściem, a w spadaniu najbardziej przerażało go to, że kiedyś się skończy.

Lądowanie było twarde, ale nie aż tak bolesne, jak się spodziewał. Nie wgniotło go w ziemię jak kojota w kreskówkach. Jakby spadł z piętrusa, a nie z wysokości wieżowca!

Franek kulił się na ziemi jak precel, cały czas przyciskając do piersi futrzaka. Przez chwilę leżał nieruchomo, czekając na ból połamanych kończyn, ale ten nie nastąpił.

Odetchnął głośno.

– A niech to licho – wymamrotał kot z taką rezygnacją, że chłopiec poczuł, jak wszystko w brzuchu zwija mu się w kulkę ze strachu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, siadając niemrawo.

– Na Ścieżce Mgieł. I nigdy stąd nie wyjdziemy. A przynajmniej nie wyjdziemy stąd żywi. Za jakiś czas staniemy się duchami, a potem tunel wciągnie nas z powrotem i skończymy jako paliwo w maszynie. Dobra robota, chłopcze – wywarczał kot i wbił mu za karę pazury w ramię.

– Ja nic nie zrobiłem! – zaprotestował Franek.

– Nic a nic – prychnął kot. – Tylko uruchomiłeś pułapkę, wchodząc do pracowni czarnoksiężnika!

– Mogłeś mnie ostrzec!

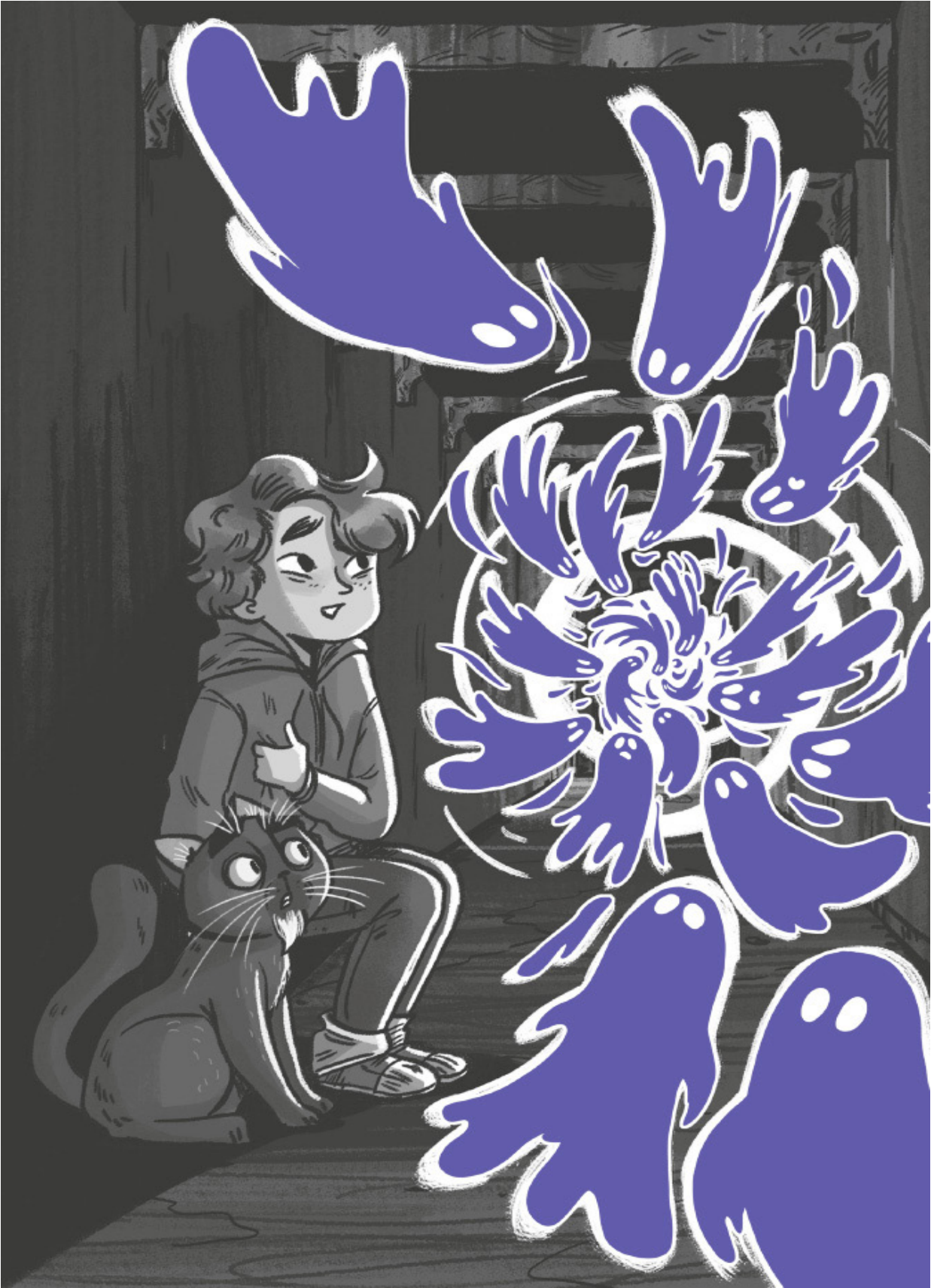
– Mogłeś być mądrzejszy! – odkrzyknął zwierzak i nastroszył się cały.

Chłopiec wypuścił go z objęć, zanim ten znów wbił w niego pazury.

– Franio? – usłyszał nagle znajomy głos i usiadł gwałtownie.

– Dziadek?









## JA TEGO TAK NIE ZOSTAWIĘ!

Finka gwałtownie otworzyła oczy i zerwała się z ziemi na równe nogi. Co się właściwie stało? Czemu zemdląła? Nagle wspomnienie wróciło. Stało się coś bardzo, bardzo złego. I wiązało się z Frankiem. Huk, a potem lodowaty ból! Tak! Huk, który dobiegał od strony domu, miał z tym coś wspólnego!

Finka biegła przez dziedziniec tak szybko, że mały demon ledwie mógł za nią nadążyć. Za nim pędziła baryłczkowata Sznurówka, która w nerwach całkiem zapomniała, że ma skrzydła i mogłaby za swoją dziewczynką po prostu polecieć.

Finka wpadła do nawiedzonego domu. Po huku zostało już tylko drżenie szyb w oknach i jakby echo po trzęsieniu ziemi.

– Franek! Dziadku! – zawołała najgłośniej, jak umiała. Jej głos odbijał się od ścian pustego korytarza i płynął wysoką, spiralną klatką schodową z rzeźbioną balustradą. – FRAAAAANEEEEK! – wołała, kręcąc się w miejscu, ale odpowiadały jej tylko cisza i echo własnego głosu.

– Kto to jest Franek? – usłyszała za sobą zdyszany głos.

Mały demon z dynią na głowie stał za nią, trzymając się za brzuch i ciężko oddychając.

– To jest mój brat i lepiej mi powiedz, gdzie jest, albo pożałujesz! – powiedziała ostro.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest twój brat! Przecież nawet nie wiedziałem, że masz brata! – odparł chłopiec i pokręcił dyniową głową, myśląc sobie, że nigdy nie zdoła zrozumieć ludzi. Oni po prostu mieli za dużo supełków i warstw.

Finka zamilkła. Ile mogła mu powiedzieć? Czy należało się przyznać do tego, że gdy ona miała go zagadywać, Franek włamywał się do jego domu? Czy mogła mu zaufać? Intuicja podpowiadała jej, że bardziej jemu niż całej reszcie tego miasteczka, ale ponieważ mieszkańcy byli zdradliwymi szujami, to w sumie ustawiało poprzeczkę dosyć nisko. Patrzyła w czarne oczka zerkające na nią z otworków w przekrzywionej dyni i westchnęła. Potrzebowała jego pomocy.

– Franek próbował uwolnić ludzi, których tu więziłeś – powiedziała w końcu.

– Uderzyłaś się w głowę? A może w twojej rodzinie niektórzy są troszkę szurnięci, ale wszyscy i tak ich kochają? – zapytał z zainteresowaniem. – Bo ja mam taką ciocię, strasznie jest szurnięta, ale kochana. Czasami tylko chodzi po nocy i śpiewa kołysanki dla kotka, którego miała jako małą dziewczynka, a potem jej uciekł. Albo przychodzi z gigantycznym dzbanem eliksiru na porost włosów, bo tego nigdy za wiele w domu pełnym mężczyzn, i zmusza tatę do picia go, choć wcale nie łysieje, ale według cioteczki nie łysieje tylko dlatego, że regularnie pija napar, który ona mu warzy... W sumie trudno powiedzieć, które z nich ma rację, ale resztę

tego płynu trzeba ostrożnie spuścić w kibelku, bo kiedyś ciocia wylała go do ogrodu i mieliśmy całą masę włochatych ślimaków, a one naprawdę nie powinny mieć futerka, bo się nie mieszczą w skorupki... – Gestykulował intensywnie, całkowicie wciągnięty w historię.

Finka sapnęła sfrustrowana. Co ją obchodziły futrzane ślimaki, kiedy coś złego się działo z Frankiem? I pewnie też z dziadkiem i resztą cyrku!

– Nie obchodzą mnie futrzane ślimaki i ich życiowe dramaty! Chcę wiedzieć, gdzie jest mój brat, mój dziadek, moi przyjaciele! Ludzie z miasteczka porwali ich i podarowali tobie! Zahipnotyzowali ich i wpuścili do tunelu, by przyszedli do nawiedzonego domu! – krzyczała sfrustrowana.

– Po co mieliby to robić? – Chłopiec wydawał się naprawdę zaskoczony.

– Skąd ja mam wiedzieć? Bo są pomyleni? A może po to, żebyś nie zjadał mieszkańców? Może myślą, że tego od nich oczekujesz? A raczej bestia, którą im pokazałeś? – zgadywała.

– Ale ja nie jadam ludzi! Nigdy nawet nikogo nie ugryzłem! Owszem, wujek Tazyderiusz miał taki epizod, kiedy walczył z wilczą kłatwą, ale zawsze powtarzał, że jesteście niesmaczni, żyłaści i zwłaszcza na surowo zupełnie do niczego – powiedział chłopiec i chyba rozumiał z tego wszystkiego nawet mniej od Finki.

Dziewczynka przez chwilę oddychała przez nos, próbując się uspokoić, zanim zacznie jej dymić z uszu. Palce świerzbiły ją, by złapać małego demona i potrząsać nim jak skarbonką, aż wypadną z niego odpowiedzi, których potrzebowała. Ale to nie tak, że on jej nie chciał pomóc – opanowała się – on chyba naprawdę nie wiedział, nie rozumiał...

Wypuściła powietrze z głośnym świstem, a płomyki na czubkach jej palców zniknęły.

Sznurówka dreptała w kółko, próbując wywachać Franka i resztę cyrkowców. Zagulgotała z frustracją – nie wyczuwała tu ani odrobinki ich zapachu! Jakby nigdy ich tu nie było!

Och, źle, bardzo źle. Bo jeśli nie było ich tutaj, gdzie przebywali?

Finka mogła iść do miasta i wziąć burmistrza jako zakładnika. Ale byłaby jedną dziewczynką przeciw całemu miastu dorosłych i nawet smok tu niewiele zmieniał... Ale był jeszcze mały demon, który na pewno wiedział więcej, niż mu się wydawało! Musiała po prostu to z niego wyciągnąć. I nie pozwolić mu się rozproszyć opowieściami o futrzanych ślimakach. Powolutku, po kolei.

– Jak masz na imię? – zapytała Finka, siląc się na spokojny ton.

Mały demon aż się zakołysał na piętach od tej nagłej zmiany humoru dziewczynki. Może jednak uda się z nią dogadać? Albo to tylko kolejny dowód na to, że jak cioteczka, miewała swoje lepsze i gorsze momenty i nie zawsze miała klepki po kolei? Postanowił zaryzykować. W końcu krąg ją przepuścił. Przepuściły ją też dodatkowe zabezpieczenia na progu domu. Była pierwszą osobą od bardzo dawna, która zdołała się dostać do środka. Może to znak?

Dlatego właśnie mały demon ukłonił się lekko, przytrzymując dynię na głowie tak, by nie przesunęły się otworki na oczy, i powiedział grzecznie:

– Ja jestem Daniel, a ty?

Dziewczynka odetchnęła, jakby już samo to, że miał imię, w jakiś sposób pasowało do jej planu.

– Mam na imię Finka. A to jest Sznurówka – przedstawiła mu smoka.

Sznurówka doskonale zrozumiała swoją rolę i nachyliła się w stronę chłopca, pozwalając mu się pogłaskać po szyi. Mały demon aż podskoczył z radości i natychmiast położył szczupłe rączki o dziwnie długich palcach na złotych łuskach.

– Och, jaka ona jest ciepłutka! – jęknął z rozkoszą. – I jaka magiczna! Cała wibruje magią!

Finka zmarszczyła lekko brwi, bo nigdy nie zauważyła, by jej smok wibrował czymkolwiek. Czasami miał czkawkę albo katar z kichaniem, ale raczej nie wibrował...

– Ty też wibrujesz – powiedział chłopiec. – Masz dużo gorącej magii i ogień w brzuszku. Od razu zauważyłem.

Musiała skierować tę rozmowę na odpowiednie tory albo znów skończy z wizją futrzanych ślimaków. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, coś spadło na jej głowę z sufitu, zafurgotało, załopotało – i nic nie widziała! Złapała to coś, zanim Sznurówka, zgodnie ze swoim instynktem, dmuchnęła w napastnika ogniem, nie bacząc, że cel siedzi na głowie Finki.

Pod palcami dziewczynka poczuła... pióra?

Odciągnęła stworzenie od swojej twarzy.

– Papuga? – zapytała zaskoczona.

– To Ptaszor – przedstawił go Daniel. – Mieszka tu ze mną – dodał.

Pokiwał głową i wyciągnął rękę w stronę ptaka. Finka puściła go i pozwoliła mu się wczepić pazurkami w rękaw chłopca. Był wielki, większy niż ary, które widziała w zoo. Żółty, z czerwonymi, zielonymi i niebieskimi piórami na skrzydłach i z długim jak u pawia ogonem. I w sumie nie

wyglądał całkiem jak papuga, może to jakiś nieznany jej gatunek?

Ptaszor patrzył na nią czujnie oczkami jak czerwone koraliki i zaskrzeczał głośno. Czy sępy bywają tęczowo kolorowe? – zastanawiała się dziewczynka, bo stworzenie miało większy dziób, niż powinna mieć papuga.

Ptaszor i Sznurówka poświstywali ostrzegawczo, a potem ostentacyjnie odwrócili się do siebie plecami, jakby postanowili ignorować swoje istnienie.

Finka potrząsnęła głową i postanowiła przejść do tego, co ważniejsze od najdziwniejszych nawet ptaszorów.

– Czy wiesz, że miasteczko porywa dla ciebie turystów? – zapytała Daniela wprost.

– Nie wiedziałem i nigdy o nic takiego nie prosiłem! Kilka razy próbowali tu wtargnąć, ale krąg ich wyrzucał. Myślę, że się włamują do tuneli i do piwnicy, bo czasem słyszę tam różne hałasy, ale nie mogą dostać się wyżej – odpowiedział.

– Wiesz, gdzie jest wejście do tych tuneli? – zapytała podekscytowana.

Chłopiec kiwnął głową.

– W pracowni wujka. To jego dom. Ale nie możemy tam iść. Tam jest strasznie – prawie szeptał.

Finka pokiwała głową, ale zupełnie nie przejęła się ostrzeżeniem.

– Nie musisz tam wchodzić, jeśli nie chcesz, ale ja nie mam wyboru – powiedziała twardo, a widząc, że mały demon nie spieszy się z wskazywaniem kierunku do pracowni, zaczęła mu tłumaczyć: – Danielu, to naprawdę jest bardzo, bardzo ważne i potrzebuję twojej pomocy. Muszę znaleźć mojego brata. Obiecałam mamie, że wróci do domu w jednym kawałku. A to oznacza, że muszę upilnować go, by nie zrobił



nic głupiego. A wierz mi, to wcale nie jest takie proste, bo on za grosz nie ma instynktu samozachowawczego. Dotyka martwych glutów, rzuca wyzwania szalonym nekromantom albo nurkuje w sadzawce pełnej potworów morskich i duchów. Ale jest moim bratem. I gdybym to ja była w tarapatach, nie przestałby mnie szukać tylko dlatego, że gdzieś jest strasznie. Moja mama jest bardzo chora, nie może się martwić o Franka czy o mnie, bo musi wyzdrowieć. Rozumiesz?

Dynia przekrzywiła się na głowie chłopca, kiedy słuchał jej w milczeniu, wykręcając palce u rąk.

– Zaprowadzę cię do pracowni, ale nie wejdę do tuneli. Tam jest strasznie ciemno. Są też potwory i duchy, które są zimne jak lód. – Wzdrygnął się lekko. – Ale pokażę ci, gdzie jest ukryte wejście, dobrze?

Finka odetchnęła z ulgą. Może zdoła to wszystko odplątać?

– Skąd wiesz, że Frankowi coś się stało? – zapytał nagle chłopiec.

Finka nie była pewna, czy potrafi mu to wytłumaczyć. Ale chciała, może wtedy sama to lepiej zrozumie?

– Tam przy furtce, gdy huknęło i wszystko zadygotało, aż mnie zabolowało. Zimno i pustka. Jakby już go nie było – próbowała wyjaśnić.

Frank był zawsze. Mieli się przez całe życie. I nawet kiedy nie przebywał w pobliżu, wiedziała, że gdzieś jest. A teraz, gdy tylko pomyślała o Franku, czuła jakby zimno i ssanie – jak wtedy, gdy wypadły jej mleczaki i miała tylko pustą dziurę po zębie.

– Oj – powiedział mały demon i pokręcił głową.

– Co to znaczy „oj”? – naciskała.

– No... „oj, kiepsko”. Ja tak mam z tatusiem. Był, a potem zniknął i już go nie ma. Musi go nie być, bo gdyby był, to na

pewno by po mnie wrócił. Nie zostawiłby mnie tu całkiem samego. I nie pozwolił, żeby mnie bolał brzusek z głodu. I nie zapomniałby o moich urodzinach. I kładłby mnie spać, i opowiadał bajki... Więc musi go nie być i już nigdy nie wróci, a ja już zawsze będę tutaj uwięziony – wyszeptał.

I nagle zaczął płakać. Szlochał tak mocno, że trzęsło się całe jego chudziutkie ciało, a dynia całkiem przekrzywiła mu się na głowie. Ptaszorz z donośnym skrzykiem zerwał się do lotu z jego ramienia i zatoczył kilka kółek nad głową chłopca, a potem rozsiadł się na żyrandolu i zerkał na dziewczynkę z wyrzutem. Jakby to była jej wina, że Daniel płakał!

Finka zrobiła jedyne, co mogła. Przytuliła mocno chłopca, nie bacząc na to, że był małym demonem, a na głowie miał wielką dynię. Maluch przez ułamek sekundy tkwił sztywno w jej objęciach, a potem wtulił się w nią jak miś koala i szlochał jeszcze głośniej. Nawet gdy zabrakło już łez i jeszcze przez chwilę się wtulał w bluzę dziewczynki, a ona głaskała go po plecach.

– Przykro mi, naprawdę mi przykro, że straciłeś tatę – powiedziała Finka. – Ale wierzę, że Franka, dziadka i resztę ciągle jeszcze możemy uratować. Pomożesz mi? Proszę.

Demon odsunął się ostrożnie i pokiwał dyniową głową.

– Pomogę ci – powiedział cichutko – ale to wcale nie takie proste i sam tego wszystkiego nie uniosę – wyjaśnił i zaprowadził Finkę po schodkach w dół, do piwnicy.

Na końcu szerokiego korytarza były wielkie, drewniane drzwi, ledwie widoczne zza mebli i rzeczy, którymi Daniel je zabarykadował, jakby chciał mieć pewność, że nikt zza nich nie wyjdzie. Jakim cudem taki maluch przytachał tyle masywnych, ciężkich krzesel?

– Kiedyś miałem więcej mięśni i byłem naprawdę silny – powiedział zawstydzony.

Teraz jego rączki były chudziutkie i blade.

– Damy sobie radę – mruknęła Finka i zabrała się do roboty.

Przeniosła kilka dębowych krzeseł, a potem kawałeczek po kawałeczku zdołała przesunąć ciężką, drewnianą skrzynię, która choć miała kółeczka, to ledwie drgnęła, kiedy Finka zaparła się o nią całym ciałem! Dopiero z pomocą Sznurówki udało jej się ją odsunąć daleko pod ścianę.

– Jak ty to wszystko tu przytargałeś!

– Powolutku – przyznał demon. – Zawsze gdy słyszałem stamtąd hałasy, dodawałem coś jeszcze.

Mogła sobie wyobrazić, jak przerażające musiało być dla małego chłopca samotne mieszkanie w tym wielkim i bardzo nawiedzonym budynku.

– Dlaczego nie wróciłeś do swojego domu? Cały czas czekasz na tatę? – zapytała, przenosząc na bok całą zbieraninę halabard, włóczni, mioteł i mopów na drewnianych rączkach, blokujących masywną kłamkę.

– Sam nigdy nie wrócę, nie trafię. Nie mam jeszcze magii. Może za kilka lat się obudzi, muszę tylko wytrzymać do tego czasu – powiedział, ale wcale nie brzmiał na przekonanego, czy da radę.

– Przed domem miałeś jej całkiem sporo – zaprotestowała Finka.

– To inna magia. Bierna, służy do obrony młodych. Stąd krąg i bestia, która ma odstraszyć kogoś, kto mógłby chcieć zjeść małe dziecko. Ale sam nie umiem czarować.

– Oni tam w miasteczku opowiadają o tobie straszne rzeczy – powiedziała Finka i z ciężkim posapywaniem

przeniosła drabinkę biblioteczną, którą chłopiec zaparł o drzwi.

Daniel wzruszył ramionami.

– Tatuś mówił, że ludzie lubią się bać demonów, bo wtedy czują się lepiej, kiedy zrobią nam krzywdę albo kiedy próbują nas oszukać.

Normalnie Finka by pewnie zaprotestowała, że nie wszyscy ludzie i w ogóle, ale nie tym razem, kiedy wiedziała co nieco o mieszkańcach Dąbrówki.

– Już. – Wyrwało jej się westchnienie ulgi, kiedy wreszcie między nią a drzwiami nie było żadnej przeszkody. Złapała za klamkę, ale ta nie ustąpiła. – Masz klucz? – zapytała z nadzieją.

Mały demon pokiwał głową i pokazał palcem wysoko na ścianie haczyk, na którym wisiał klucz na dużym metalowym kółku.

– Naprawdę ci zależało, by były zamknięte, co? – powiedziała dziewczynka.

Nawet na drabinie nie zdoła tam dosięgnąć! Na szczęście jej mały smok przypomniał sobie, że ma skrzydła i potrafi latać. Wzbił się w górę i bez problemów złapał przedmiot w zęby.

Finka wepchnęła wielki klucz do dziurki i przekręciła go z trudem, w akompaniamencie głośnego zgrzytu zamka. Daniel cofnął się o kilka kroków, znów cały dygotał.

– Co tam jest? – zapytała podejrzliwie dziewczynka.

– Tam widziałem ich ostatni raz. Tatę i wujka. Przyszli jacyś ludzie, kłócili się, krzyczeli na wujka. Tata kazał mi się schować na górze. A potem, gdy zszedłem po schodkach, już ich nie było. Nikogo nie było. Wujka i taty też nie. Zostawili mnie całkiem samego – wyszeptał.

– Pewnie nie mieli wyboru. – Finka próbowała go pocieszyć. – Na pewno nie zostawili cię specjalnie.

– Ktoś im zrobił krzywdę. Widziałem krew. I dlatego się zabarykadowałem. By nie mogli przyjść po mnie. Tam na górze schodów jest krag, który ich powstrzyma. Tu wujek nie chciał bariery, bo mieszała mu w zakłęciach, kiedy otwierał przejście na Ścieżkę Mgieł.

Finka nie wiedziała, czym jest Ścieżka Mgieł, i wcale nie była pewna, czy powinno się otwierać prowadzące tam wrota, ale nacisnęła wielką klamkę. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem od dawna nieoliwionych zawiasów, Finka zajrzała do środka i zagwizdała z wrażenia.



## ŚCIEŻKA MGIEŁ I POWAŻNE KŁOPOTY

Franek nie rozumiał, co się właściwie działo, gdzie właściwie był i czy aby na pewno nie uderzył się w głowę. A przynajmniej nie zasnął. To wszystko po prostu nie miało sensu. Pamiętał doskonale tunel pod miasteczkiem i poszukiwania dziadka i cyrkowców. Pamiętał porywający go wir powietrza i dziwacznego, mówiącego kota, który mianował się jego przewodnikiem, po czym cisnął nimi w oblepione fioletowymi glutami lustro i nagle znaleźli się tu. Tylko nie wiedział, czym to TU było. Ale jedno wydawało się pewne – nie trafił tu pierwszy raz. A przynajmniej – widział to miejsce nie pierwszy raz.

Martwa, pustynna kraina z uschniętymi drzewami i pociemniałym niebem zasnutym gęstymi chmurami, bez śladu słońca, wyglądała znajomo. Gdyby miał ją narysować, wystarczyłby ołówek, same szarości, żadnego cienia koloru. Od wielu miesięcy pojawiała się w jego koszmarach, w ostatnich tygodniach prawie co noc. Miał wrażenie, że



mógłby narysować mapę tej krainy, tyle nocy spędził zanurzony w przerażających wizjach, uciekając przed wysysającymi ciepło z kości mackami, wiatrem, który kradnie wspomnienia, duchami, których zimne palce przenikały przez niego, jakby był równie martwy jak one...

Przez chwilę chciał wierzyć, że to kolejny koszmar. Bo z niego by się obudził. Albo Finka wyciągnęłaby go za uszy, z całą bezwzględnością odrobinę starszej siostry. Tyle że z każdą chwilą wydawało mu się to mniej prawdopodobne. Bo skąd w jego snach wzięliby się dziadek, Branwen, Jewgienij, Ptaszarka Sarai, Ważka, Sylwester, Marietta, siostry Kamenow i klaun Karol? I kot, nie zapominajmy o kocie, który teraz krążył w kółko i przeklinał jak marynarz, zupełnie nie po kociemu. A to oznacza, że nie śnił. Był tu naprawdę. I nie ma szans, że szturchnięcie Finki zakończy ten koszmar.

Franek uszczypnął się mocno. I jeszcze raz. Tak na wypadek, gdyby jednak się mylił.

– To nie pomoże – powiedział Jewgienij cicho, kucając koło chłopca tak, że ich oczy znalazły się prawie na jednej wysokości. – Już żem się szczypał, aż siników żem sobie narobił. Reszta też się szczypała i nic.

Franek kiwnął głową i westchnął.

– Szukałem was. Finka wymyśliła plan. Ona zagaduje demona, a ja miałem was wyprowadzić z tego tunelu, zanim on was dopadnie – powiedział cicho.

– Dobra wiadomość: demon nas nie dopadł – odparł Jewgienij – więc nic straconego. Jak tylko znajdziemy tunel, będziesz mógł nas wyprowadzić.

– Demon nie był naszym największym problemem, ale całe to miasto. Dziadek miał rację, nigdy nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać – westchnął Franek.

– Dobrze, dobrze, miał rację! – wrzasnął Sylwester, wymachując nad głową rękami. – To chciałeś usłyszeć? Możemy to mieć za sobą i po prostu wrócić do obozu?

– Ależ proszę, jeśli wiesz, jak to zrobić, prowadź, przyjacielu – oświadczył Baltazar, a jego głos ociekał ironią. – Ile już łazimy w kółko? Franiu, ile minęło od naszego zniknięcia? Tydzień? Dwa?

– Nie minął nawet jeden dzień – sprostował Franek. – Dziś w nocy wyszłicie z obozu, zahipnotyzowani i odurzeni przez panią Amelię i burmistrza.

– Niemożliwe! Chodzimy tu bez końca! – zaprotestowała Olga Kamenow.

– W kółko! Jeśli nigdy więcej nie zobaczę tego krzywego drzewa, będę szczęśliwa – dodała jej siostra, Katerina.

– Coś nam tu miesza w perspektywie – przyznała Branwen. – Nie ma jak ustalić kierunków.

– A nawet gdyby, w którą stronę iść? – dodała Sarai.

– Brawo wy, odkryliście, że stąd nie ma ucieczki, i zajęło wam to tylko kilka godzin – burknął kot, który na chwilę przestał przeklinać, ale humor mu się od tego wcale nie poprawił. – Niespodzianka! Gdyby stąd się dało wyjść, to nie byłaby Ścieżka Mgieł!

– Już to mówiłeś – przypomniał sobie Franek. – Czym jest Ścieżka Mgieł?

– Rozejrzyj się, to wszystko, co widzisz, jest Ścieżką Mgieł. W którą stronę nie pójdziesz, ciągle tam będzie, gdziekolwiek się obejrzysz, nic innego nie zobaczysz.

Franek patrzył na kota podejrzliwie. Jego przewodnik był bardzo pomocny w parku, a potem w tunelu, ale teraz wydawał się mieć focha zbyt dużego, by go pomieścić w tym kocim ciałku.

– Byłeś tu już kiedyś? – zapytał, a zwierz prychnął tylko i zaczął oblizywać łapki. Coś w nim, choć był bardzo koci, wcale się Frankowi z kotem nie kojarzyło.

Przypomniało mu się, że Finka od razu podejrzewała, że z tutejszymi kotami było coś nie tak, a z tym nawet bardziej niż z innymi.

– Kim jesteś? Albo kim byłeś, zanim zostałeś kotem? – dopytywał chłopiec, ignorując dorosłych, którzy znów zaczęli się kłócić, czyja to właściwie wina, że znajdowali się w tej pożałowania godnej sytuacji.

Kot zerknął na niego przenikliwie zielonymi oczami.

– Myślisz, że skoro jesteśmy w upiornie niefortunnej sytuacji, zacznę ci się zwierzać? – zapytał. – Może jeszcze opowiemy sobie bajeczkę na dobranoc? To przez ciebie tu jestem, młody, i to nie jest coś, co łatwo wybaczę.

– Jeśli kogoś możesz winić, to samego siebie. Sam się zgłosiłeś, by mnie poprowadzić. Nie prosiłem o to. I pewnie miałeś w tym swój własny cel. I mogłeś, naprawdę mogłeś, powiedzieć mi o pułapce, o której swoją drogą wiedziałeś, zanim w nią wpadliśmy. Gdybyś mi powiedział, że gdy otworzę drzwi, wyląduję tutaj, wcale bym nie naciskał tej kłamki. Więc równie dobrze możesz przestać się foszyć i boczyć, bo to wcale nie jest moja wina.

Franek założył ramiona na piersi i butnie patrzył na nastroszonego kota. Bo w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że ten kot wiedział więcej, niż dotąd powiedział. Mierzyli się więc spojrzeniami, aż zwierzak sapnął i zwiesił głowę.

– Tak się skupiłem na tym, że masz te kciuki i w ogóle, więc możesz mnie wpuścić do mojej pracowni, że zapomniałem zupełnie o tej pułapce – burknął w końcu.

– Twojej pracowni? Jesteś zaginionym czarownikiem? – zapytał zaskoczony chłopiec.

– Tadam! Odnalazłem się, jak widzisz. – Machnął ogonem.

– Czemu jesteś kotem? – zapytał Franek.

– Bo lepsze to niż być duchem – powiedział tylko, jakby kryła się za tym oczywista logika.

– Musisz mi to wytłumaczyć – przyznał chłopiec. – To jak z tym świecątkiem w tunelu, potrzebuję pomocy.

– Tu nie ma co tłumaczyć. – Kot prychnął z lekką pogardą, ale tym razem powstrzymał się od uwag o brakach w edukacji młodego pokolenia. – Ścieżka Mgieł, jak sama nazwa wskazuje, jest ścieżką, a ścieżka, wiadomo, prowadzi skądś dokądś, a ta konkretnie prowadzi od świata żywych do świata martwych, czyli Zaświatów. I w sumie nie powinno tu przebywać nic żywego, więc my, jako całkiem żywe istoty, jesteśmy aberracją. Ale ścieżka sobie z nami poradzi. Dajcie jej jeszcze kilka godzin. Zanim się obejrzyście, zaczniecie się robić przeźroczyści, a potem albo całkiem znikniecie, albo będziecie duchami. I normalnie pewnie byście pobłądzili tu trochę w takiej formie, aż trafilibyście do Zaświatów, ale tak się składa, że za parę godzin drzwi się otworzą i wszystkie duchy w okolicy wciągnie z powrotem do miasteczka, gdzie posłużą jako paliwo do maszyny. I koniec, kaput, bez odbioru, kaplica i co tam jeszcze mogę dodać, by w pełni to do was dotarło? Nie ma ratunku. Spapraliście, koleżanki i koledzy, a teraz już jest za późno! – Kot praktycznie wykrzyczał ostatnie zdania, a potem miauknął żałośnie, opadł na brzuch i schował głowę w łapkach, jakby wszedł w ostatnie stadium kociej rozpacz.

– Ty się nie zmieniłeś w ducha – zauważył przytomnie Franek.

Kot spojrzał na niego zza łapek.

– No – ciągnął chłopiec – byłeś już tutaj, a potem wróciłeś do Dąbrówki i wcale nie jesteś martwy ani nie jesteś duchem.

– Magia. Jeśli masz jej naprawdę dużo, może nie zapomnisz o tym, kim jesteś, nie zaczniesz blednąć, może nie staniesz się duchem. Choć nie liczyłbym na to, chłopcze, który nie potrafi wyczarować ognika, by w ciemności nie potykać się o własne nogi.

– O czym ty mówisz, jaka magia? – zainteresował się Baltazar.

– W sumie to obojętne. Magia to magia. – Zwierz poruszył uszami, podkreślając, że to wszystko jedno. – Ale nie dociera do was najważniejsze. Nawet jako czarne koty będziecie tu krążyć w nieskończoność. Wasze życie, jakim je znaliście, jest skończone. Nie wydostaniecie się stąd. Nie bez kotwicy. Może jeszcze z latarnią dalibyście radę, jeśli nie rzuciło nami za daleko i jeśli błysk utrzymałby się wystarczająco długo. Ale bez nich nie mamy szans.

– Jak tobie udało się wyjść? – zapytała Branwen, która szybciej niż pozostali zrozumiała ich położenie. Była czytana wiedźmą i zetknęła się już z nazwą Ścieżka Mgieł. Wiedziała, że jak dotąd kot mówił prawdę. Ale liczyła też, że miał doświadczenia wykraczające poza to, co sama zdążyła przeczytać.

– Mój grimuar, tam, w mojej pracowni, był nasycony potężną magią. Byliśmy związani całe moje życie. Stanowił moją kotwicę, przyciągał mnie jak magnes. Znalazłem drzwi i poczekałem, aż znów się otworzą, by wyciągnąć duchy do zasilenia maszyny. Skoczyłem z nimi. Tylko nie na wiele mi się to zdało – burknął.

– Nie dałeś rady się odczarować – odezwała się Branwen.

– Nie dałem. Za duża magia dla małego kota – warknął. – Mogę wyczarować płomyczek, niewiele więcej.

– Jeśli nas wyprowadzisz, myślę, że zdołam cię odczarować – obiecała Branwen.

– Taaa, fajnie, ale to nie wypali – odpowiedział kot i odwrócił się do niej plecami, jakby cała ta rozmowa go już znudziła.

– Nie widziałem grimuaru w pracowni – powiedział cicho Franek.

– Bo go nie ma. Zabrali. Zamknęli w jakimś sejfie i odcięli mnie od jego magii – wyjaśnił kot i nisko zwiesił głowę.

– A jak zrobić latarnię? – zapytał Franek po chwili namysłu.

– Latarni mu się zachciewa – prychnął zwierzak. – A proszę cię bardzo, jeśli tylko dysponujesz magią dość potężną i ogromną, by było ją widać między światami, droga wolna. Żebyśmy zobaczyli tu błysk, tam musiałaby chyba bomba wybuchnąć. A raczej kilkadziesiąt bomb, bo co nam po błysku, jeśli zniknie po sekundzie.

– Tylko tyle? Bardzo duży i bardzo długi błysk? – zapytał Franek.

– Chłopcze, nie wiesz, o czym mówisz. To nie jest „tylko tyle”, to jest nieosiągalne i niemożliwe. Chyba nie myślisz, że burmistrz odpali ci magiczne fajerwerki, bylebyś wrócił cały i zdrowy do miasteczka? Mają tę obsesję na punkcie małych dzieci, ale bez przesady. Poza tym oni nie mają dość mocy. Amelia jest bardziej znachorką niż wiedźmą. Mój brat nie ma za grosz magii. A w miasteczku, cóż, jeśli ktoś miał choćby jej ślad, burmistrz już się go pozbył, obawiając się konkurencji i protestów tych, którzy w pełni rozumieli, co on tam robi. Ratunku nie będzie.



– Moja siostra tam jest. Ona coś wymyśli. Zawsze wymyśla. To jest Finka, znajdzie sposób. I znajdzie nas – powiedział Franek głosem przepełnionym absolutną pewnością.

Była jego siostrą od jedenastu lat i nauczył się, że jeśli się zaważmie, nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Obiecała mu, że gdziekolwiek by się zgubił, znajdzie go, i Franek wierzył w to z całych sił, bo gdyby przestał wierzyć, musiałby się rozplakać. Zwłaszcza kiedy dotarło do niego, że spora część cyrkowej trupy siedzi cicho, bo zrobili się odrobinę bardziej przeźroczyści, niż powinni być jako ciągle żywi ludzie.

Branwen milczała, patrząc na swoje dłonie. Czy jej się wydawało, czy faktycznie urosły jej paznokcie? A właściwie pazury? Skóra wokół nich była ciemniejsza, jakby wkrótce miało ją pokrywać czarne futerko. Jewgienij pocierał palcami nos, a jego wąsy wydawały się teraz bardziej nastroszone i sterzące na boki. Baltazar polizał swoją dłoń i przygłodził nią bujną brodę, a potem złapał się na tym, co właśnie zrobił, i zawstydzony wetknął ręce do kieszeni. Za to Karol, siostry Kamenow i Marietta wydawali się bledsi, prawie zielonkawi, jakby za chwilę mieli się poważnie rozchorować.

– Finka zawsze znajdzie rozwiązanie – powiedział raz jeszcze Franek. – A my musimy tylko dać jej na to wystarczająco dużo czasu – dodał.

Branwen zacisnęła usta w wąską linię. Nie chciała przebijać balonika nadziei chłopca, ale wiedziała jedno. Jeśli im było na Ścieżce Mgieł źle, Finka i Sznurówka, z wypełniającym je żywiołem, nie mogłyby przeżyć w tym miejscu nawet godziny. Ich magia była zbyt żywotna, zbyt gorąca, by przetrwać zderzenie z lodowatą energią miejsca pomiędzy. Wiedźma nie powiedziała tego głośno. Nie było potrzeby, by chłopiec miał kolejny powód do zamartwiania się.

W jednym się z nim zgadzała, musieli kupić sobie trochę czasu, żeby w ogóle istniała dla nich szansa na ratunek.

– Mam pomysł – powiedziała głośno.

Wszyscy unieśli głowy i patrzyli na nią z taką nadzieją, że aż zrobiło jej się przykro, że może im tylko zaproponować grę na zwłokę, zanim magia Ścieżki Mgieł zamieni ich w koty i duchy.



## FINKA ODKRYWA DRZWI I KILKA TAJEMNIC

Finka nie była pewna, czego się spodziewała. Może pokoju albo typowej piwnicy? Na pewno nie ogromnej pracowni! I choć według Daniela od dawna nikogo tu nie było, gdy tylko drzwi się uchyliły, zapaliły się kuliste lampy pod sufitem, które wyglądały niczym układ planetarny, gdyby planet było dużo więcej! Najdziwniejsze – wszystkie kule światła unosiły się pod sufitem, kołysane lekko ruchem powietrza, ale żadna nie miała kabla, który dostarczałby jej prądu, i żadna nie była przykręcona do stropu! Niektóre kule jarzyły się na żółto, inne na niebiesko, ale wszystkie razem dawały tyle światła, że pomieszczenie było jasne i mogła bez trudu się rozejrzeć, zanim jeszcze przekroczyła próg.

Pomieszczenie o kamiennych murach obwieszonych skrupulatnie grubymi zasłonami, kotarami i gobelinami (o ile akurat na tym kawałku ściany nie wisało jedno z ogromnych zwierciadeł w ciężkich, złożonych ramach) było tak wielkie, że gdyby zbudowała w jednym rogu pełnowymiarowe boisko do

koszykówki, nie musiałyby nawet przesuwać żadnego z trzech długich, drewnianych stołów, które poza regałami na książki stanowiły główne elementy umeblowania. Były zastawione szklanymi probówkami, kolbami, a jeden dziwną maszyną z milionem trybików, przekładek, wajch i wihajstrów, ze sterzącymi na szczycie w każdą stronę drutami, na których końcu znajdowały się szklane kule, jakby zamrożone w czasie bańki mydlane w różnych kolorach. Nigdy czegoś takiego nie widziała, a było tak wielkie, że zajmowało cały na oko czterometrowy blat!

Szybko też się zorientowała, że ma problem. Bo choć pomieszczenie okazało się duże, to wcale nie było w nim wielu miejsc, w których zdołaliby się schować zaginieni cyrkowcy i Franek! Nie ukryto ich pod stołami – zauważyłaby – ani między regałami z książkami, które stały w taki sposób, że widziała przez nie na przestrzał. Finka nie dostrzegła tu żadnych szaf czy skrzyń! Przecież nie przycupnęli za kotarami, przyciskając tyłki do murów! Nawet gdyby próbowali, dziadek nie wciągnąłby brzuszka aż tak. Nie widziała też żadnego wejścia do tuneli – drzwi, które właśnie otworzyła, były jedynymi w tym wielkim pomieszczeniu. Chyba że zostały zamaskowane kotarami.

– Franek? – zawołała pełna nadziei.

Odpowiedziała jej cisza. Tylko szklana maszyna zabrzęczała na stole.

No dobrze, czyli nie będzie łatwo, pomyślała, wchodząc do pracowni i rozglądając się uważnie po pomieszczeniu. Z bliska widziała wspomniane przez Daniela ślady walki. Musiała ostrożnie stawiać kroki, bo na podłodze walały się okruchy i odłamki szkła, kilka książek znalazło się pod stołami, podobnie jak sterty papieru, butelka rozlanego atramentu czy drewniane ołówki, które potoczyły się daleko. Finka znalazła

też ciemną plamę, która faktycznie mogła być zaschniętą krwią. Za to ani kropli świeżej. I ani śladu Franka, ani śladu cyrkowców i dziadka, ani śladu tuneli.

– Danielu, jeśli mi pomożesz, zrobię wszystko, żebyś wrócił do domu – odezwała się Finka.

– Obiecujesz? – zapytał, a głosik mu drżał jak małej myszce.

Choć zaklinał się, że nie chce wchodzić do pracowni, wszedł za dziewczynką ostrożnie, ledwie kilka kroków w głąb, jakby na wszelki wypadek wolał być na tyle blisko drzwi, by zwać, gdyby zrobiło się niebezpiecznie. Finka była właściwie pewna, że zatrzasnąłby je i zanimby się zorientowała, co się dzieje, zaczęłyby przysuwać krzesła, skrzynie i stertę halabard, by znów zabarykadować pracownię wujka.

– Słowo honoru – przysięgła.

– No dobrze – powiedział z rezygnacją. – Ale jeśli cię wciągnie, sama nie dasz rady wrócić – dodał ostrzegawczo.

– Co może mnie wciągnąć?

– Ścieżka Mgieł – wyjaśnił. – Jeśli otworzymy drzwi do tunelu, otworzą się drzwi na Ścieżkę Mgieł, a wir wciągnie każdą żywą osobę w pokoju. To taka pułapka na włamywaczy. Wujek miał dosyć tego, że jego brat lub jego ludzie wchodzili tutaj od strony tuneli.

– Może wcale nie musimy w nią wpadać. Na pewno znasz sposób, by ją rozbroić lub ominąć, dorośli nigdy nie zostawiają dzieci sam na sam z taką pułapką bez choćby jednej pogadanki, jak uniknąć niebezpieczeństwa – powiedziała pewnym głosem Finka.

Po tej stronie Bramy czy po drugiej, niektóre rzeczy się nie zmieniały, jeśli dzieci miały obok siebie troskliwych rodziców.

– Obiecałem, że nikomu nie powiem – wyjawiał mały demon z powagą w głosie.

– Nie musisz mi mówić nic a nic, po prostu zrób, co trzeba, żebyśmy w nią nie wpadli. Wujek na pewno by nie chciał, żeby ci się stała krzywda.

Daniel zastanowił się nad tym, co powiedziała Finka, i musiał jej przyznać rację. Wujek na pewno by tego nie chciał. I raczej nie miałby nic przeciwko, gdyby unieruchomił wir... O ile wcześniej nie zdenerwowałby się, że Daniel nie tylko chodzi sam po jego pracowni, ale też jeszcze sprowadził tu całkiem obcą dziewczynkę... Nie, o tym Daniel nie chciał myśleć za mocno. Gdyby wujek tu był, miałby dużo więcej do powiedzenia, ale teraz Daniel sam musiał podejmować decyzje. A naprawdę chciał wrócić do domu. Bardzo. A jeśli Finka miała dotrzymać danego mu słowa, musiała pożyczyć wystarczająco długo, by mu pomóc, prawda? Bardzo zadowolony z tego, jak żelazne i niepodważalne były jego linia rozumowania i logika, mały demon oświadczył:

– Jeśli znajdziesz drzwi, unieruchomię wir, zanim cię wciągnie na Ścieżkę Mgieł.

Finka przełknęła głośno.

– Nie da się wcześniej? Tak od razu najlepiej?

Chłopiec pokręcił głową, przytrzymując dynię obiema rękami.

– Nie wiem, gdzie są drzwi. Są schowane. I trzeba być całkiem żywym, żeby je znaleźć i otworzyć.

– A ty nie jesteś całkiem żywy? – zapytała z niepokojem.

Mały demon popatrzył na nią czarnymi oczkami z dziur w dyniowej głowie i nic nie powiedział.

– No dobra, to wyjaśnij mi dokładnie, czego szukamy – poprosiła.

\* \* \*



Finka skrupulatnie obmacywała ściany, kotary i lustra, bo któreś z nich wcale nie było tym, czym się wydawało. Najwyraźniej w całym tym mieście rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają. I gdzieś tu, choć ich nie widziała, było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do tuneli, którymi powinien przyjść Franek, a wcześniej, według tego, co mówiła im Zuzia, wprowadzano nimi turystów. Drugie były drzwiami do dziwnej, magicznej krainy, która według Daniela była czymś pomiędzy „tutaj i teraz” a „tamtych na zawsze”. Nie potrafił jej chyba tego dokładniej wytłumaczyć. Ścieżka Mgieł po prostu istniała. A to, co się na niej znajdowało, było martwe, choć nie zawsze o tym wiedziało. I błędziło, zanim trafiło tam, gdzie miało zostać już na zawsze.

– A czy czasem wracało? – zapytała Finka z niepokojem, bo miała coraz gorsze przeczucia na temat tego, co tu zaszło i czemu ani cyrkowców, ani Franka nigdzie nie mogła znaleźć.

– Czasami – przyznał Daniel poważnym tonem. – Zwykle jako duchy – dodał, nie zauważając, że Fince odpływa z twarzy cała krew i że nagle zrobiła się tak blada, jakby sama stała się jednym z duchów.

Daniel nie był najlepszym źródłem informacji. Niektóre rzeczy wydawały mu się oczywiste, bo nie wiedział nawet, że mogłyby być inne. Innych nigdy mu nie tłumaczono, bo był malutkim chłopcem, kiedy jego tata i wujek zniknęli. Ale Finka bardzo doceniała to, że próbował jej pomóc.

Nagle jej palce wymacały coś dziwnego, coś, co zupełnie nie zgadzało się z tym, co widziały oczy! Bo jeśli miałyby im wierzyć, dotykała właśnie grubego, wełnianego gobelinu, przedstawiającego rosnącą przy studni jabłoń, w której cieniu pasł się bielusieńki jednorożec. Tyle że pod palcami nie czuła grubych węzełków wełny, ale szorstkie drewno, zimne, metalowe okucie, a w końcu – metalową klamkę!

– Danielu! Znalazłam drzwi! – krzyknęła podekscytowana.

Opisała mu je najlepiej, jak umiała, ciągle nie widząc ich na oczy, a on pokiwał głową z zadowoleniem.

– Te prowadzą do tunelu. Nie otwieraj, póki nie znajdziesz drugich, a ja nie unieruchomię wiru – powiedział.

Finka musiała użyć całych pokładów woli, by nie szarpnąć za klamkę i nie zawołać Franka. Bo może wcale nie doszło do najgorszego i on gdzieś tam ciągle jest, a to uczucie pustki i zniknięcia to tylko dziwna magia nawiedzonego domu?

– Sznuróweczko, stań tu, przy tym gobelinie – poprosiła smoka, by jeśli znów odezwie się pokusa, między jej ręką a klamką stało jakieś sto kilogramów smoka.

Szukała więc kolejnych drzwi, nie wiedząc, czy będą podobne, czy zupełnie inne. Znalezienie ich zajęło jej jeszcze więcej czasu, bo były ukryte naprawdę sprytnie! Wyglądały jak lustro, jedno z wielu w pracowni. Ani nie było największe, ani w najbardziej ozdobnej ramie. Wysokie prawie na dwa metry, szerokie na metr, wyglądało jak coś, co wujek Daniela mógł kupić na targu staroci i nie zapłacić więcej niż kilkadziesiąt złotych. Ale to musiały być drzwi do Ścieżki Mgieł, bo kiedy Finka dotknęła nieco zniszczonej powierzchni, nie poczuła pod palcami zimnego szkła, ale lodowaty glut, trochę lepki, bardziej śliski, stanowczo magiczny.

– Danielu, mamy drugie drzwi – powiedziała pewna, że zmysły jej nie oszukują.

Mały demon przyciągnął sobie krzesło i podstawił je zaraz koło lustra. Wszedł na nie i wyciągnął ręce do góry, by dosięgnąć górnej krawędzi zwierciadła. Przez chwilę gmerał tam, mamrocząc coś pod nosem, a potem zeskoczył z krzesła całkiem zadowolony.

– Udało się? – upewniła się dziewczynka.

– Najprawdopodobniej – przyznał mały demon. – Bardziej tak niż nie – dodał, jakby to miało poprawić samopoczucie Finki.

– Raz kozie śmierć – szepnęła, próbując dodać sobie odwagi.

Nacisnęła klamkę, a drzwi do tuneli stanęły przed nią otworem. Za swoimi plecami usłyszała drugie kliknięcie, całkiem innego zamka i całkiem innych drzwi, ale w tym momencie liczyło się tylko jedno.

– Franek! – zawołała w ciemność. – Dziadku! Branwen! FRAAANEEEEK! – wołała, ale odpowiadało jej wyłącznie echo.

Choć pracownia była rzęsiście oświetlona, z jakiegoś powodu światło nie chciało się zapuszczać w ten korytarz. Nawet odrobinka się nie przesączała, nie rozrzedzała ciemności gęstej jak futro czarnego kota. Chyba wcale nie chciała tam wchodzić, przemknęło jej przez myśl, gdy po kolejnym krzyku usłyszała popiskiwanie szcurów, a może nietoperzy? Ale nie miała wyjścia.

Nabrała powietrza, jakby zamierzała zanurkować, po czym wkroczyła w ciemność tunelu. Teraz już zyskała pewność, że Frankowi dostała się bardziej przerażająca część planu, bo zagadywanie demonów nie było nawet w połowie tak upiorne, jak ten ciemny, wilgotny korytarz, w którym śmierdziało strachem, kurzem i dziwną magią.

– Franek! – zawołała, ale jej głos zdawał się grzęznąć w tej ciemności.

Zrobiła jeszcze jeden krok i prawie potknęła się o coś, co leżało jej pod nogami. Pochyliła się i wymacała rzecz, która wydała z siebie głuchy stuk, kiedy Finka ją kopnęła. Podniosła ją i cofnęła się do światła pracowni. Cylinder – nie miała żadnych wątpliwości, że należał do dziadka. A więc tu byli.

A jeśli tu byli, a teraz ich nie było, a Daniel ich nie zjadł, odpowiedź była właściwie jedna.

– Wpadli w pułapkę – powiedziała cicho.

W zasadzie nie była zaskoczona, obawiała się, że tak właśnie to wyglądało. Co gorsza, w pułapkę musiał wpaść też Franek. Może zresztą wpadli razem, jeśli znaleźli się w tunelach i razem wkroczyli do pracowni...

– Muszę po nich iść – oznajmiła twardo Finka.

– Nie dasz rady – odpowiedział Daniel.

– Muszę choć spróbować.

Demon pokiwał głową zasmucony, jakby miał jej już nigdy nie zobaczyć i jeszcze chwila, a znów będzie w nawiedzonym domu całkiem sam.

\* \* \*

Finka jednym uchem słuchała tego, co Daniel mówił o Ścieżce Mgieł i o tym, że nie można tam iść bez kotwicy albo latarni, która pomoże znaleźć drogę (choć nie bardzo wiedział, skąd wziąć jedną czy drugą), i o tym, że dziewczynka jest zbyt żywa, żeby to się mogło udać. Bardziej była skupiona na drzwiach prowadzących na ścieżkę, które otworzyły się w zaklętym zwierciadle. Stojąc wciąż w pracowni, trzymając się obiema rękami ramy lustra, całkiem solidnej i drewnianej, wsadziła głowę przez migotliwą, fioletowo-niebieską barierę z magii i zajrzała na drugą stronę.

Tu nie było ciemno. Było szaro, jakby to był najsmutniejszy i najbardziej przybijający koniec listopada, ale bez nadziei na pierwszy śnieg, który przykryje martwe rośliny, czy Gwiazdkę, która tu nigdy nie mogła nadejść. Niebo zdawało się wisieć nisko, jakby przytłoczone ołowianymi chmurami. Może zbierało się na burzę lub deszcz? Słońca nie widziała, nie była pewna,

czy w ogóle gdzieś tam się chowało. Było jasno, ale w taki niezwykły sposób, jakby zamiast słońca znajdowały się tu te dziwne, brzęczące jarzeniówki, które montowali w szkolnych przebieralniach i łazienkach – w ich niebieskawym, zimnym świetle wszyscy wyglądali jak zombie.

– Poczekaj! – zawołał za nią Daniel. – Masz, obwiąż się tym w pasie, inaczej się zgubisz!

Podał jej grubą linę z powiązanych ze sobą sznurów do zasłon.

– Nie zostawaj długo albo nie zdołasz wrócić – powiedział, gdy oplotła się w talii sznurem i zawiązała supeł.

– Nie idę tam zwiedzać. Zawołam ich i pomogę im wrócić. Sam mówiłeś, że potrzebują latarni, będę ich latarnią. – Starła się brzmieć na osobę bardzo pewną tego, co robi, ale jej głos trochę drżał, a palce zaciskały się nerwowo na zawiązanym w talii sznurze, jakby był jej liną ratunkową. W sumie był.

Daniel teraz już niewiele mówił. Wiedział, że jej nie powstrzyma. Jeszcze nawet nie przyzwyczał się do tego, że tu była, a już znikła – pomyślał – opuszczała go, jak wszyscy. Jak tatuś, jak wujek. Znowu będzie sam. Bardzo nie chciał znów płakać, ale zbierało mu się na łzy, a gardło miał całkiem zaciśnięte szlochem, który próbował połknąć jak niedobre lekarstwo.

– Sznurówka zostanie z tobą, dopóki nie wrócę, dobrze? – zapytała Finka.

Miała przeczucie, że nie powinna zabierać smoka w miejsce, które kojarzyło jej się z zimnem i śmiercią. W przebłysku intuicji zdjęła jeszcze z szyi rzemyk z sakiewką z jajkiem żar-ptaka. Na wszelki wypadek. Nie chciała, by Sorchka wykluła się w zimnym i strasznym miejscu, nie po latach spędzonych w niewoli.

Zawiązała sakiewkę na szyi Sznurówki i poprosiła, by zaopiekowali się nią pod jej nieobecność.

Chłopiec pokiwał głową w milczeniu. A gdy odwróciła się i zrobiła krok w stronę falującej tafli fioletowych glutów, powiedział szybko:

– Wcale nie musisz tam iść! Możesz tu zamieszkać ze mną. Tu wcale nie jest tak źle! Ludzie z miasteczka nie mogą tu przyjść, nie zrobią ci krzywdy. Możemy nawet przynieść jakieś inne jedzenie niż cukierki, jeśli chcesz!

Finka, wciąż zaciskając palce na sznurze, rzuciła tylko:

– Nic się nie martw, Danielu, wróć!

I wskoczyła w galaretowate drzwi na Ścieżkę Mgieł.

– Nie wrócisz – wyszeptał.

Daniel usiadł na podłodze przed zwierciadłem. Głowę zwiesił nisko, a gdy dynia zaczęła mu ciążyć, zdjął ją i odłożył na bok. To już nie miało znaczenia, prawda? Przecież nie było już nikogo, kto mógłby się wystraszyć twarzyczki małego demona...

Potańczał ciemne łuski na policzkach; zawsze trochę swędziały, gdy tyle godzin nosił dyniową maskę.

Przypomniało mu się, jak długo siedział na podłodze pracowni, czekając, aż wróci tata. Albo wujek. Ktokolwiek. A im dłużej tak siedział, tym bardziej był pewien, że nigdy już po niego nie przyjdą. Zostanie całkiem sam. I nigdy nie wróci do domu. Nigdy nie przytuli się do tatusia. Nigdy nie zobaczy mamusi, która czekała na nich po drugiej stronie Ścieżki Mgieł. Mamusi, która wcale nie chciała, żeby tu szli. Była zdenerwowana i próbowała to tatusiowi wyperswadować. Ciągle gładziła się po ogromnym brzuchu, a w środku wiercił się braciszek, którego mama nazywała „ruchliwym utrapieniem”. Z jego powodu nie mogła z nimi iść, Ścieżka Mgieł nie była dobrym miejscem dla takich maluszków.



– Wrócimy, zanim się obejrzysz – zapewniał ją tatuś. – To jego piąte urodziny, Adam przygotował dla niego coś naprawdę, naprawdę wyjątkowego. Wiesz, jak on kocha Halloween!

Mamusia wzdychała ciężko, ale Daniel błagał:

– Mamusiu, mamusiu, możemy iść? Tam jest niespodzianka dla mnie! NIESPODZIANKA! – piszczał podekscytowany.

Wcześniej był w tym świecie tylko dwa razy, króciutko i tylko w domu wujka Adama, ale teraz tata powiedział, że będą mogli przechadzać się po miasteczku, które wujek zaczarował specjalnie dla niego!

Mama w końcu westchnęła i gładząc brzuch falujący od kopniaków, powiedziała:

– Niech wam będzie, powsinogi, ale najdalej jutro życzę was sobie widzieć z powrotem w domu! Nawet nie myślcie, że się wykręcicie od przygotowania sypialni dla tego ruchliwego utrapienia, które już się rwie na ten świat.

Tata pocałował ją głośno, a potem poczochnął Danielowi czarne włosy, mówiąc:

– To co, szkrabie? Gotowy na przygodę życia?

Daniel był gotowy. Całym sobą był gotowy.

I dlatego to wszystko jego wina. Gdyby nie miał urodzin, wujek nie zrobiłby dla niego niespodzianki. Wtedy nawet by się tu nie wybrali w tym czasie. I nikt by nie napadł tatusia i wujka. I nie zostawiliby go tutaj całkiem samego. I nie stałoby się nic złego.

Daniel nawet nie zauważył, że płacze, a już całe strumienie łez spływały mu po policzkach, do tego glut zaczynał wisieć u jego krótkiego, czarnego noska. Dopiero ciepłe chuchnięcie dymem w jego włosy, a potem liźnięcie gorącym językiem w ucho przypomniało małemu demonowi, że w sumie wcale nie

jest tu sam. Smoczątko nachylało się nad nim i wydmuchiwało w jego stronę kółeczka dymu, a z wielkich, błyszczących oczu wyzierała troska.

Sznurówka zagulgotała coś, zaświstała, aż przez nozdrza poszły jej kolejne kółeczka dymu, ale Daniel nie był w stanie jej zrozumieć tak jak Finka. Smok przestępował z łapki na łapkę i patrzył z niepokojem to na chłopca, to w falującą taflę gluta, i znów coś gulgotał. Daniel mógł nie rozumieć słów, ale domyślił się, czym się zamartwiała jego towarzyszka.

– Ona nie wróci – powiedział cicho. – Oni nigdy nie wracają, Sznuróweczko. Ścieżka Mgieł zabiera ludziom życie i ciepło. Czasami zmienia ich w duchy. Rzadziej, jeśli magia jest w nich silna, może zmienić ich w czarne koty. Ale nie pozwoli im wrócić bez szwanku.

Smok nie miał takich problemów ze zrozumieniem słów chłopca, jak ten z tłumaczeniem świstów i bulgotów. I teraz rozumiał doskonale, co demon chciał przekazać.

Sznurówka całym swoim baryłkowatym ciałem próbowała przedrzeć się przez zasłonę z glutów, ale im bardziej się pchała, tym twardsza stawała się bariera! Przyjaciółka Finki była z każdą chwilą bardziej wkurzona, a potem zrobiła to, co każdy wkurzony smok, czyli potraktowała barierę z gluta ogniem! I...

Nic się nie stało. Tylko rama wokół falującego galaretowatego zwierciadła wydawała się nieco osmalona. Sznurówka nie mogła nawet zajrzeć za zasłonę!

– Wygląda na to, że jesteś nieśmiertelna – powiedział Daniel. – Nie zdołasz tam wejść.

Sznurówka odwróciła się w jego stronę i zagulgotała wzburzona. Demon nie rozumiał, co mówiła, ale poczuł jej strach i ból. Był taki sam jak jego, kiedy czekał tu na powrót taty.

– No dobrze, spróbuję – obiecał cicho.

\* \* \*

Z każdym krokiem Finka czuła się gorzej. Zimno wgrzyzało się jej w kości, każdy oddech kosztował ją coraz więcej wysiłku, a z jej ust ulatywała chmurka pary niczym malutka porcja ciepła, która na zawsze już opuszczała jej ciało. Nie mogła myśleć. Stawiała stopę za stopą, nie wiedząc, dokąd idzie, czemu tu jest; czegoś tu szukała, ale nie mogła sobie przypomnieć czego. Wszystko było szare, zimne, nawet ona! Patrzyła na swoje ręce: były posiniałe, blade, zupełnie inne, niż je pamiętała. Musiała wracać – przemknęło jej przez myśl – ale nie miała pojęcia, skąd przyszła, kręciła się w kółko i wszystko dookoła niej wyglądało tak samo. Pamiętała, że dostała sznur, po którym miała trafić do swojego świata, ale tego starczyło tylko na kilkanaście kroków i odwiązała go, brnąc w upiorną krainę, nawołując brata, dziadka, przyjaciół. Teraz już nie pamiętała ich tak wyraźnie.

Myśl, Finko, myśl! – ponagliła się, gdy dotarło do niej, że wcale nie zostało jej wiele czasu, i uznała, że Daniel miał rację: ta przygoda nie mogła się dobrze skończyć.

Skupiła się ze wszystkich sił na tym, co jeszcze pamiętała. I nagle wydało jej się, że widzi w oddali błysk, ciepły, szkarłatny błysk odcinający się od całej tej mglistej szarości i zimna.

Sznurówka! Wiedziała, że to musiał być jej mały smok! Musiała wrócić, zanim ona zechce tu wejść. To nie było miejsce dla smoków!

Nagle zgięła się w pół, kiedy ostry ból przeszył jej brzuch. Dygotała. Próbowwała iść w stronę tego pulsującego magią błysku, ale nogi się pod nią ugięły i upadła na twarz. Nawet nie zdołała się podeprzeć, jej policzek zderzył się z pylastym

podłożem, a chmurka duszącego kurzu wdarła się w jej usta i nos.

Nie wyjdę stąd żywa, pomyślała dziewczynka. Martwa chyba też nie, dodała dla porządku. I nic, zupełnie nic nie mogła z tym zrobić...

\* \* \*

Mały demon zdecydował się na coś, czego obiecał nigdy nie robić. Wszedł sam, samiuteńki, na Ścieżkę Mgieł! Zawsze był tu z tatą i nawet wtedy wyglądało to na straszne i smutne miejsce, ale teraz, gdy został zupełnie sam, okazało się nawet gorsze!

Ścisnął sznur, którego drugi koniec powinien być przywiązany do Finki, i powtarzał głośno:

– Jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam, jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam, jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam. – I tak w kółko, bo tata zawsze go ostrzegał, że kiedy ktoś choć na chwilę zapomni, kim jest, i o tym, czego pragnie, zamienia się w kolejnego ducha, których całe tabuny błądziły w nieskończoność po Ścieżce Mgieł.

Sznur wisiał w jego dłoniach całkiem luźno, ale starał się nie martwić tym na zapas. Powtarzając jak mantrę to, kim był i po co tu szedł, poruszał się do przodu, choć Ścieżka Mgieł próbowała mieszać mu w perspektywie, gdzie jest przód, gdzie tył. Miał sznur. Jak długo się go trzymał, nie groziło mu, że nie zdoła wrócić do pracowni i nawiedzonego domu. Drugi koniec przywiązał do nogi stołu, zbyt wielkiego, by go przepchnąć przez drzwi w zwierciadle.

Nagle sznur w jego palcach się skończył, ale wcale nie był już związany wokół pasa Finki! Daniel bał się coraz bardziej,

ale powtarzał zawzięcie:

– Jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam! – A łzy spływały mu po policzkach i zamarzały na jego ciemnych łuskach. Rozglądał się spanikowany, szukając dziewczynki.

Była! Dostrzegł ją ledwie dwa lub trzy kroki dalej, zwiniętą w kłębek na ziemi, przysypaną już pyłem, jakby stawała się częścią Ścieżki Mgieł. Zawołał jej imię, ale nawet nie drgnęła.

– Jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam – mamrotał z mocą, jakby to było najpotężniejsze zaklęcie na świecie.

A potem położył koniec sznura na ziemi i poszedł po dziewczynkę. To tylko kilka kroków, znajdzie go za chwilę, pocieszał się w myślach.

– Jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam – zaklinał rzeczywistość.

Dziewczynka była zimna i wcale się nie ruszyła, kiedy wreszcie do niej dotarł i przewrócił ją na plecy.

– Jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam! – krzyczał jej w twarz tak długo, aż jej powieki zatrzepotały jak skrzydła motyla.

Złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć w stronę leżącego sznura, póki jeszcze pamiętał, gdzie go zostawił. Zanim Ścieżka Mgieł go połknie i przysypie pyłem zapomnienia.

– Jestem Daniel, idę po Finkę i zaraz wracam! – wyrzucał z siebie, dysząc, bo dziewczynka wcale nie była lekka, a on nie zamierzał jej zostawić.

– Jestem Finka – usłyszał cichutki szept za swoimi plecami.

– Jesteś Finka – przytaknął. – A ja jestem Daniel. I musimy się stąd wydostać – dodał.

Odetchnął z ulgą, kiedy znalazł sznur.

– Trzymaj się go – powiedział i wetknął go między zimne palce Finki.

A potem szedł, powtarzając mantrę:

– Jestem Daniel, a to jest Finka, wracamy do domu!

Prawie rozpłakał się ze szczęścia, kiedy zobaczył przed sobą galaretowaty fiolet, najładniejszy kolor świata, gdy porównać go z całą tą szarością Ścieżki Mgieł!

Przeskoczył barierę i pociągnął za sobą Finkę. Wylądowali na kamiennej podłodze pracowni, a Daniel opadł na plecy, ciężko dysząc. Był tak zmęczony, że bolała go każda łuska, każdy włos na ciele. Chyba już nigdy nie będzie mi ciepło, pomyślał.

I dokładnie w tym momencie Sznurówka wydmuchała mu w twarz kłęb ciepłego dymu. Mały demon uśmiechnął się leciutko i zasnął.







## CZASEM WARTO BYĆ NIE CAŁKIEM ŻYWYM CHŁOPCEM!

Branwen wiedziała, że nie mają wiele czasu. Magia Ścieżki Mgieł zaczęła ich już podgryzać. I nie chodziło tylko o to, że za godzinę, może dwie będzie miała zapewne wibrysy, a może i ogon, a Jewgienij był na najlepszej drodze, by stać się ogromnym i bardzo silnym kocurem – już teraz jego odsłonięte ramiona, dotąd pokryte dosyć gęstym, ale ludzkim owłosieniem, zaczynały wyglądać nieco futrzaście. Gorzej, że siostry Kamenow robiły się ciut przeźrocyste, ledwie już widać było ich stopy, a Sylwester po prostu stracił cały kolor – jego skóra poszarzała tak bardzo, że słoniowe uszy wydawały się zupełnie na miejscu. Baltazar się trzymał, podobnie Ptaszarka Sarai i Ważka, ale one nie były do końca ludźmi, więc magia nie całkiem wiedziała, jak się do nich zabrać. Za to z Karolem i Mariettą poradzi sobie bez większych problemów. Branwen nie była pewna, czy Marietta zawsze miała takie zielone oczy, czy to też część przemiany?

– Musimy narysować krąg ochronny. Ma ktoś może ołówek, kredę, kijek? – zapytała energicznie.

Baltazar spojrział na nią w milczeniu, jakby doskonale wiedział, co ją trapiło. Wyciągnął z kieszeni rozkładaną batutę i podał ją wiedźmie.

– Czy to wystarczy, moja droga? – zapytał.

– Powinno. – Uśmiechnęła się pocieszająco.

Kucnęła, zanurzając poły kimona w pyłe, i spróbowała narysować coś w piachu, co samo w sobie było trudne – nie przypadkiem nie zalecano w szkole dla magicznych rysowania kręgów na pustyni – ale tu okazało się po prostu niemożliwe! Niezależnie od tego, jak mocno naciskała batutę na podłoże, nie była w stanie narysować choćby maciupieńkiej linii! Nawet dołka nie mogła zrobić! Spróbowała kopnąć piasek trzewikiem, ale znów, nie pozostał po tym nawet najmniejszy ślad! Niedobrze, bardzo niedobrze! – pomyślała, ale starała się nie okazać pozostałym swojego zdenerwowania. Podjęła jeszcze kilka prób, ale wszystkie były równie jałowe.

Baltazar zorientował się, że coś jest nie całkiem po jej myśli, bo kucnął obok i zapytał przyciszonym głosem:

– Pomóc ci, moja droga?

Podawała mu batutę, ale wystarczyło kilka sekund, by przekonali się, że wcale nie szło mu z tym dobrze.

– Sarai, zechcesz spróbować? – poprosiła Branwen, mając nadzieję, że nie całkiem ludzki charakter Ptaszarki da jej teraz jakąś przewagę. Nic z tego.

Och, wiedźma miała ochotę zawyć ze złości! Czemu musieli trafić do tego miasteczka? Do tej przeklętej Dąbrówki?

– Już się zorientowała, że żywy nic tu nie wskóra? – zapytał Franka kot, liżąc się po łapie.

– A niby czemu nie? – zapytał chłopiec.

– Bo to nie jest miejsce żywych, to oczywiste! To kraina umarłych i wkrótce umarłych, magia żywych nie ma tu wiele do gadania – powiedział zwierzak i prychnął z lekką pogardą. – Myślisz, że byłbym dziś kotem, gdyby magia mogła mnie uratować? Nie umniejszając nic waszej wiedźmie, byłem najpotężniejszym czarnoksiężnikiem w tej części Rubieży. I na nic mi się to nie zdało ani nie uchroniło przed tym, że mogę się teraz polizać po tyłku.

– Żadna magia tu nie działa? – dopytywał chłopiec, korzystając z tego, że ich towarzysz wydawał się teraz odrobinę bardziej rozmowny i skory do dzielenia się wiedzą.

– To martwa kraina, czego nie rozumiesz? Doprawdy, ta dzisiejsza młodzież, taka nie za bystra, nie? Mamusia cię pewnie kocha mimo wszystko, co? – prychnął kot.

– A i owszem, kocha, nawet bardzo. I wcale by jej się nie podobało, że jesteś takim niemiłym kotem – odciął się Franek. – Skoro to jest martwa kraina... Czy mógłbym spróbować? – zapytał Branwen. – Jeśli powiesz mi, co mam zrobić, kto wie, może mi się udać.

Wiedźma podała mu batutę i nagle się uśmiechnęła. Może nie było aż tak źle?

Chłopiec kucnął i bez trudu narysował linię na piasku.

– O proszę, kawaler taki pełen tajemnic! Czym ty jesteś, chłopcze? – zapytał kot, podchodząc bliżej do narysowanego śladu. Machnął na nim łapką, jakby chciał go zmasać, ale linia pozostała dokładnie taka, jak Franek ją narysował.

– No, Franiu! To jest rewelacja! – Baltazar aż zaklaskał z emocji.

Chłopiec, uśmiechając się pod nosem, narysował wokół grupki cyrkowców wielki okrąg.

– Będziesz go musiał jeszcze uzbroić, skoro nasza magia tu szwankuje – powiedziała Branwen i wytłumaczyła mu, jak ma



to zrobić.

Uczestniczył już w zakładaniu ochronnych kręgów, ale zwykle to wiedźma lub dziadek wypuszczali inicjującą iskrę. Teraz to było jego zadanie! I udało mu się to bez problemu. Ba, jego magia wyrywała się z niego fioletem jak nigdy! Jakby właśnie tu czuła się naprawdę u siebie, a w świecie żywych była troszkę ociężała i nieco mniej żwawa.

Fioletowa iskra zeskoczyła z jego palców i pomknęła wzdłuż narysowanego kręgu, aż ten na chwilę rozjarzył się jak neon. Potem fiolet przygasł, ale Franek czuł wyraźnie, że tam był.

– No pięknie. Czyli udało się odwlec nieuniknione – powiedział Sylwester cicho.

– Przynajmniej do pierwszej burzy piaskowej – oświadczył kot.

Cyrkowcy jęknęli z zawodem, a czarnoksiężnik tylko przyglądził łapką futerko na uchu i podjął tym nieznośnie zadufanym tonem:

– Och, zapomniałem wspomnieć o burzach piaskowych? No są, zawsze się na jakąś zbiera. Pewnie zastanawiacie się, czy ten krąg wytrzyma? No cóż, jest narysowany na piasku, jak myślicie?

– Czy mógłbyś przestać się wyzłośliwiać? Nikomu w ten sposób nie pomagasz! – ofuknęła go Branwen.

– A przepraszam bardzo, przegapiłem, że moim obowiązkiem jest pilnowanie, by wszystkim humorki dopisywały. Może jeszcze mam was zabawiać kocimi wygibaskami? Albo mruścić? Zdaje się, że ludzie strasznie lubią kocie mruczenie! Mówią, że ich uspokaja! Zamruczeć wam? – zapytał, a potem wydarł się najbardziej skrzekliwym kocim jazgotem, jaki mogło wyprodukować jego gardło.

Zabrzmiało to tak, jakby trzysta kotów zaczęło się jednocześnie marcować!

– Starczy tego uspokajania, co? – burknął Baltazar. – Jeszcze się może okazać, że nam tu z tobą za ciasno w kręgu, i co?

– No co? Zemrę trochę szybciej niż wy? Zabłądzę trochę szybciej niż wy?

– Nie opuścisz z nami Ścieżki Mgieł, kiedy moja wnuczka znajdzie sposób, by nas stąd wyciągnąć, bo osobiście zatrzasnę ci drzwi na nosie? – podrzucił Baltazar, a zwierzak umilkł.

– Jeśli jest równie bystra jak ten tutaj, to powodzenia z tym ratunkiem – mruknął tylko i zwinął się w kłębek, jakby szykował się na solidną drzemkę.

– Nie znasz mojej siostry. Gdybyś znał, tobyś nie wątpił – powiedział Franek.

– Poczekaj godzinę, może dwie, a sam nie będziesz znał swojej siostry. Zapomnisz. Ją, potem siebie. Przed tym krąg was nie uchroni. Co z tego, że nie będziecie duchami czy kotami, gdy nie będziecie już sobą? – zapytał kot z rezygnacją.

– Ja go uduszę! – warknęła Marietta, ale Sylwester przyciągnął ją do siebie i uściśnął mocno.

Nie ufał temu całemu kotu. Głównie dlatego, że jako bestiar wiedział, że ten wcale, ale to wcale kotem nie jest. Tak wyglądał, zupełnie jednak nie czuć go było kotem na poziomie magicznym.

Franek się wystraszył. Bo właśnie to pamiętał z koszmarów. Był już w tej krainie, a ta wyssała z niego całe ciepło, a potem zabrała mu wszystko, czym był. W najgorszych snach zapominał nawet o tym, że chciał się z niej wydostać!

– Nie zapomnimy – powiedział twardo Baltazar. – Będziemy pamiętać, bo będziemy o tym mówić. Jak długo żyje opowieść, tak długo żyje pamięć, a z pamięcią my.

Branwen poklepała go po ramieniu, bo to była znakomita rada!



– Czas na opowieści! – oznajmiła i usiadła po turecku na piasku. Czerwone kimono rozłożyło się wokół niej jak płatki kwiatu.

– Co to za opowieść? – zapytała cicho Ptaszarka, siadając koło wiedźmy i opierając się o nią lekko. Wydawała się słabsza, jakby mniejsza.

– Nie jedna, ale wiele! Każdy z nas jakąś ma – odparła wiedźma. – I każdy z nas opowie swoją. I nie tylko sam nie zapomni, ale i reszta z nas go nie zapomni.

Reszta cyrkowców przysiadła na piasku. Tylko Olga Kamenow stała za plecami siostry z zaplecionymi ciasno przedramionami.

– Jestem Branwen, wiedźma, która nie chciała być jeziornicą. Która przedłożyła cyrk i wielki świat nad zbiornik wodny, w którym moja rodzina żyła od wielu, wielu pokoleń. Mogłam być potężną topielicą i ściągać zgubę na każdego młodzika, który tylko byłby dość głupi, by dać się ślicznej pannie zwabić nad tafłę wody. Ale widzicie, to nie było życie dla mnie. A na dnie jeziora zupełnie nie da się zaparzyć porządnej herbaty. Tamta woda psuła smak każdej zielonej herbaty, a do takiej właśnie miałam słabość. Więc odeszłam i sama wykuwam swój los. I nigdy się nie oglądałam za siebie, nigdy nie żałowałam. Nawet dziś, gdy wiem, dokąd zaprowadziła mnie ta ścieżka, nie czuję żalu czy smutku. Cieszę się, że jestem tu z ludźmi, których kocham, lubię, szanuję. Niczego więcej nigdy nie chciałam od życia.

– Jestem Jewgienij – powiedział nieco onieśmielony siłacz. – Mogłem być trollem spod mostu, jak cała moja rodzina. Ale marzyłem o świecie, świetle i magii. Marzyłem o czymś, do czego moje serce zaśpiewa. Z czego będę mógł być dumny. I jestem dumny! Nigdy nie myślałem, że mogę mieć tak fantastyczne życie jak to, które wiodłem w cyrku. Nie

myślałem, że mogę wyczarować coś tak pięknego, że ludzie będą płakać ze wzruszenia. Trolle spod mostu czasem sprawiają, że ludzie płaczą, ale nigdy ze wzruszenia, nigdy pod natłokiem piękna. I jeśli to byłby mój koniec, nie żałowałbym niczego. Jestem szczęśliwy, jak nigdy nie byłem pod mostem.

Branwen sięgnęła w stronę siłacza i uściśnęła jego wielką dłoń. Dłoń, która potrafiła podnieść ogromny głaz, ale była też w stanie wyczarować najdelikatniejszą koronkę ze światła i blasku.

– Twoja magia jest legendarna i ci, którzy mieli szczęście ją zobaczyć, nigdy jej nie zapomną i nigdy nie zapomną ciebie – powiedziała, a wzruszony Jewgienij siąknął nosem.

Ptaszarka przez chwilę bawiła się długimi rękawami swojej tuniki, a potem rozwiązała troczki przytrzymujące ją na jej drobnym ciele. Franek pierwszy raz zobaczył jej gołe ramiona – zwykle nosiła cyrkowy trykot z długimi rękawami, ale dziś pod tuniką miała koszulkę na ramiączkach. A całą jej jasną skórę pokrywał delikatny puch.

– Jestem Ptaszarką Sarai. Jeśli czegoś żałuję, to tego, że nie ma przy mnie moich ptaków. Będą za mną tęsknić, jeśli nie zdołamy wrócić. Ale to jedyny powód do smutku. Miałam cudowne życie, a naprawdę nie zanosiło się, że takie będzie. Kiedy miałam trzy lata, do domu moich rodziców przyszli ludzie, źli ludzie. Skrzywdzili moich rodziców, a mnie zabrali. Zamknęli mnie w złotej klatce i oczekiwali, że będę im śpiewać pieśni o miłości, pięknie i radości. Śpiewałam, ale o smutku, rozpacz, niewoli. Śpiewałam tak długo, aż ich dusze uschły, zwiędły i zgasły. A wtedy uwolniłam się z klatki i odeszłam, nie odwracając się za siebie. Miałam jedenaście lat. I przerażał mnie świat, którego nie znałam. Ale spotkałam Baltazara i powiedział, że cyrk zawsze będzie moim domem. I słowa dotrzymał. I spędziliśmy razem piękne trzydzieści lat, a każdy

dzień w cyrku był wart, by o nim pamiętać. – Uśmiechnęła się do maestra tak słodko, że wszystkich lekko ścisnęło w żołądkach.

A może to dlatego, że większość z nich nie wiedziała, że samym śpiewem mogła doprowadzić ludzi na skraj rozpacz?

– Jestem Baltazar, maestro ekstraordynaryjny, ojciec wspaniałej dziewczuszki, dziadek dwóch genialnych wnucząt. Całe życie chciałem tylko jednego: mieć najlepszy cyrk na Rubieżach i bez wątpienia udało mi się tego dokonać.

– No, prawie najlepszy – wtrącił się Sylwester, ale Bączek zgromił go spojrzeniem i ostrzejszym tonem powiedział:

– To moja opowieść i to ja ocenię, czy twój cyrk mógł się choćby równać z moim!

Branwen, Jewgienij i Marietta parsknęli śmiechem, bo ten odwieczny spór był w równym stopniu częścią osobowości tych dwóch, co ich magia i cyrk.

– Nie przyjmuję do wiadomości, że to miałby być koniec – kontynuował Bączek. – Mam jeszcze zbyt wiele do zrobienia, zbyt wiele do pokazania moim wnukom. Za rzadko bywałem u mojej córeczki. Za rzadko myślałem o tym, jakie dobre mam życie, jaki wspaniały mam cyrk i jakich cudownych wokół siebie ludzi i nieludzi. Jeśli czegoś żałuję, to tego, że nie walnąłem Sylwestra Żuczka w łeb, kiedy odmówił odwiezienia zwierząt do Sanktuarium, bo gdyby to zrobił, cep tępy, nigdy byśmy się nie znaleźli w tej sytuacji. Bylibyśmy dziś tak daleko od Dąbrówki, jak to możliwe!

– Nie zaczynaj! – warknął Sylwester, ale pogroził tylko Bączkowi palcem. Od jakiegoś czasu czuł się nieco niewyraźnie. Szarawo wręcz. I był trochę wdzięczny Baltazarowi, że podjudzając stary spór, nieco mu podniósł ciśnienie i znów poczuł się ciut bardziej żywy.

– Ja zaczynam? To ty zaczynasz, kmiotku! – rzucił Baltazar, ale uśmiechnął się i mrugnął do Sylwestra, jakby to był hermetyczny dowcip.

– Jestem Sylwester! – powiedział nieco bardziej energiczny i odrobinę mniej przyszarzony maestro. – Bestiar i maestro najlepszego, najstarszego i najbardziej utytułowanego cyrku Rubieży! I żaden mi tu Bączek podskoczyć nie może, bo jego cyrk ledwie raczkował, gdy nasz miał już historię pełną chwały, oklasków i trofeów!

– Może i raczkował, ale nie był zakurzonym i staromodnym przeżytkiem, jak twój! – rzucił Baltazar, a Sylwester aż się zacietrzewił, poczerwieniał i parsknął śmiechem, bo znów poczuł się bardziej żywy niż chwilę wcześniej.

A to huncwot, pomyślał i pokręcił głową. Że też ich ścieżki miały być splecione do samego końca! W tym chwilowym wzruszeniu przyznał:

– Nie wierzyłem, że istnieje porządny cyrk bez zwierząt, ale pokazałeś mi, że to jednak możliwe. Nie jest to może najlepszy cyrk Rubieży, ale całkiem przyzwoity.

Obaj zaśmiali się jak z dobrego żartu.

– A mnie się ten cyrk bez zwierząt wcale nie podoba – powiedziała cicho Olga Kamenow. – Nie dlatego, że brakuje mi tresowania lwów czy słoni, ale dlatego, że miałam swoją rolę i funkcję, czułam się potrzebna, byłam częścią programu, częścią cyrku, a teraz, kiedy nie mogę występować ze zwierzętami, czuję się jak zbędny element układanki, nie pasuję.

I gdy to mówiła, robiła się bardziej i bardziej przeźroczyta, aż widać było przez nią piaszczystą wydnię!

– Nie gadaj głupstw, Olga! – zaprotestowała ostrym tonem jej siostra, Katerina. – Jesteśmy czymś dużo więcej niż tylko treserkami zwierząt. I więcej niż tylko artystkami cyrkowymi.

Jesteś moją siostrą, starszą i silniejszą. Zawsze się mną opiekowałaś i zawsze pilnowałaś, bym nie wpadła w kłopoty większe, niż mogłabym sobie poradzić. Gdy nasi rodzice skończyli jako przekąska dla wcale nie tak dobrze wytresowanego, jak myśleli, lwa, to ty dopilnowałaś, bym miała dom. I to nie cyrk był moim domem, ale ty. To ty robiłaś mi kanapki ze śmietaną i cukrem, ty zawsze wiedziałaś, że wyrosłam z butów czy ubrań. Ty pilnowałaś, bym nie szła spać głodna. To ty mnie nauczyłaś nie tylko tresury czy woltyżerki, ale też jak być dobrą kobietą. Nigdy nie byłaś tylko cyrkówką, jesteś i byłaś moją siostrą, moim wzorem, siłą, przyjaciółką i obrończynią. Nawet gdybyśmy jutro odeszły z cyrku, a wiem, że o tym myślisz, niewiele by to zmieniło, Olga. Jesteś całym skomplikowanym światem, warstwami humorów, wspomnień, nie zawsze mądrych pomysłów, żartów, których nigdy nie możemy opowiadać w dobrym towarzystwie czy przy małych. Więc mnie nie wkurzaj z tym przechodzeniem w stan duchowy, bo cię trzepnę. Nie zostawisz mnie samej, a ja się nigdzie nie wybieram. Pamiętaj, że nigdy nie przestała obowiązywać zasada veta. Pamiętasz? Jeśli robisz coś głupiego, mogę powiedzieć „veto”, a ty nie możesz się ze mną sprzeczać. To mówię: veto. Żadnego stawania się widmem, duchem lub czym tam jeszcze miałabyś się stać, gdy całkiem będziesz przeźroczysta. Wracasz ze mną, rozumiano? Do cyrku, nie do cyrku, to już sobie przedyskutujemy, ale nie zostawisz mnie samej, łajzo, bo nawet z tymi muchami w nosie nigdy nie złamałabyś danego mi słowa, a ja cię z obietnicy, że nigdy mnie nie opuścisz, nie zwalniam! Rozumiemy się? – prawie krzyczała.

– Rozumiemy – powiedziała Olga i prawie natychmiast stała się znów bardziej cielesna i kolorowa.



– Jestem Karol – powiedział cicho klaun. – Nie mogę się zmienić w ducha, bo wcale nie jest powiedziane, że Prosiaczek jest w stanie ducha zobaczyć. Niewiele jest badań na temat postrzegania nadprzyrodzonego przez świnki wietnamskie. I ja po prostu nie mogę ryzykować, że on mnie nie zobaczy i będzie myślał, że go opuściłem. I jako duch nie będę mógł go ani przytulić, ani dać mu jabłuszka czy pomidorka. Nie mogę tak drastycznie pogorszyć jego życia tylko dlatego, że nie potrafię zapamiętać, że jestem klaunem Karolem, od czterdziestu lat w cyrku. Tego się po prostu świnkom nie robi. On ostatnio przeszedł zbyt wiele, by znów go tak stresować. Gdy się stresuje, przestaje jeść, a gdy nie je, jest smutny i nie śpi. To nie jest zdrowe dla takiej małej świnki. No – zakończył i poklepał się po udach, które znów były pełne i twarde, żadnej przeźroczystości w swoich pasiastych portkach nie zauważał.

I dobrze, bo zmęczyło go już to gadanie. Za to też kochał Prosiaczka – nie musiał z nim strzepić języka, obaj wiedzieli, że są przyjaciółmi, i już.

– Jestem Ważka, a tak naprawdę Libelulla. Jestem ze starego ludu, ale wolę waszą bandę popaprańców od zaszczytów elfiego dworu. Nie nudzę się z wami. Nie wiem, co wydarzy się następnego dnia. Nie muszę się w pas kłaniać nikomu. I ktoś musi mieć oko na Pajęczycę, którą z uporem godnym lepszej sprawy trzymacie w cyrku – powiedziała, rozłożyła cieniutkie jak mgiełka, ważkowe skrzydła i roześmiała się, a jej śmiech brzmiał jak dzwoneczki. Wszyscy wpatrywali się w nią zaskoczeni. Chyba nawet Baltazar nie znał wszystkich elementów tej historii.

– Kochanie, twoja kolej – powiedział Sylwester, poklepując po plecach Mariettę. Ale ona milczała, z nisko pochyloną głową.



– To trudne – powiedziała wreszcie. – Kiedyś myślałam, że w moim wieku będę już zupełnie gdzie indziej. Będę miała dom, męża, dzieci. Będę piekła torty urodzinowe i przesadzała rośliny do większych doniczek, kiedy ich korzenie nie będą się już mieścić. Nigdy nie myślałam, że skończę w cyrku, bo nie odziedziczyłam waszej magii, tato. – Spojrzała na Sylwestra smutnymi oczami.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś, kochanie. Nie wiedziałem, że chciałaś odejść z cyrku – odezwał się maestro, a oczy zrobiły mu się całkiem wilgotne.

– Chciałam. Planowałam wielką przemowę, gdy tylko skończę osiemnaście lat. Jak Marysia Bączek, miałam przejść przez Bramę, dostać się do szkoły, ułożyć sobie życie, w którym moja niewystarczająco cyrkowa magia nie będzie powodem do wstydu, ale tą małą, śmieszna rzeczą, która troszeczkę odróżnia mnie od zwykłych ludzi, jednak nigdy aż tak, bym nie pasowała. Ale... wtedy zmarła mama. A chwilę potem wujek Staszek i ciocia Roma. Sam byś sobie nie poradził z wychowaniem Cyryla...

– Czyli zostałaś dla nas? Kosztem własnych marzeń? – zapytał cicho Sylwester.

– Nie byłam nieszczęśliwa, tato. Kocham ciebie, Cyryla, cyrk też. Po prostu chciałam czegoś innego... W kółko nazywałeś mnie spadkobierczynią, następczynią... ale myślę, że to nie jest moja rola. Cyryl kocha cyrk nie mniej niż ty. O ile jeszcze żyje... To absurdalne, skoro właśnie jesteśmy na Ścieżce Mgieł, a on w całkiem żywym świecie, ale martwię się o niego.

– Z Cyrylem wszystko w porządku – powiedział Franek uspokajająco. – Z cyrkiem też. Cyryl i Ula bronią obozu. Burmistrz nie zdoła przełamać kręgu, jak długo tam są.

– A co z pozostałymi? Max, Simona? Dziaduszka? – Do Baltazara dotarło, że nawet nie zapytał. Może bał się, co może usłyszeć. Kiedy obudzili się z transu w ciemnych tunelach i nie doliczył się dzieci, tygrysów i niedźwiedzia, był pełen najgorszych przeczuc. A potem wpadli z deszczu pod rynnę i z tuneli na Ścieżkę Mgieł. Westchnął, bo znów pomyślał z tęsknotą o nudzie i przewidywalności. Czyż nie byłoby miło?

– Cali i zdrowi. Śpią. Nie mogliśmy ich obudzić – przyznał Franek.

Cyrkowcy odetchnęli z ulgą.

– Dla zmiennokształtnych to najlepsze lekarstwo na złe uroki i zaklęcia – powiedziała Branwen.

– Choć bywa kłopotliwe, gdy trzeba takiego śpiocha przeciągnąć z dala od granicy kręgu – przyznał Franek.

Rozejrzał się po cyrkowcach i z zadowoleniem przyznał, że faktycznie, wyglądali lepiej niż jeszcze godzinę temu – czy ile czasu minęło, odkąd zbudował krąg. Gdyby ktoś mu teraz powiedział, że to ledwie dziesięć minut, uwierzyłby. Gdyby usłyszał, że siedzą tu od tygodnia, też nie miałby problemów z przyjęciem tego jako prawdy. Może tylko to, że nie burczało im ciągle w brzuchach, sprawiało, że ten tydzień był odrobinę mniej prawdopodobny. Martwa kraina czy nie, żołądki Baltazara Bączka i Jewgienija nie znosiły próżni.

Kupił siostrze czas. Miał nadzieję, że gdy oni tu koncentrowali się na tym, by nie zapomnieć, kim są, ona tam robi zamieszanie, które pomoże im się stąd wydostać.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że Franek nic nie opowiedział, ale wcale też nie bladł. Zbladły natomiast wszelkie jego powątpiewania w to, czy magia, którą dostał od losu, nie mogłaby być lepsza. Bardziej żywa na przykład. Powiązana z fajowymi smokami czy żywiołem, od którego emanuje się ciepłkiem, jak piecyk. Bo teraz, na Ścieżce Mgieł, wcale nie

czuł się półmartwym chłopcem, jak tam, w koszmarach. Zrozumiał, że należał do obu światów i to miało swoje wady, ale też zalety.

I gdy nikt nie zwracał na niego uwagi, wsunął do kieszeni mały kamyk. Tak na wypadek, gdyby musiał tu kiedyś wrócić. Na przykład po mamę. Oczywiście dopracuje szczegóły dużo lepiej. Nauczy się wszystkiego o kotwicach i latarniach, wciągnie na pokład Finkę, która znajdzie wszystkie potrzebne książki świata i pomoże mu opracować plan taki, że mucha nie siada. Ale ostatecznie to Franek był chłopcem wystarczająco martwym, by dostać się na Ścieżkę Mgieł i wrócić bez szwanku, a to już coś!

Miał nadzieję, że Finka nie próżnowała i była coraz bliżej rozwiązania, bo jej brat nie miał pewności, ile zostało im czasu. Na horyzoncie zbierały się ciemne chmury. Takie, wypisz wymaluj, jakby burzowe.





## FINKA ZNAJDUJE WIĘCEJ NIŻ ROZWIĄZANIE!

Finka siedziała po turecku, tuląc Sznurówkę, która nie chciała jej odstąpić nawet na sekundę – nie po tym, jak „poszła, zniknęła, umarła prawie, nie wróciłaby, zostawiłaby samą, nie można!”. W ramach przeprosin głąaskała więc smoka po pleckach, między skrzydełkami, i czekała, aż Daniel się obudzi. Od Sznurówki wiedziała, co się stało. Poszedł po nią. Uratował ją. Tak bardzo się bał Ścieżki Mgieł, ale mimo to odważył się tam wejść. Ona szła tam po brata, przyjaciół i dziadka. On poszedł po obcą dziewczynkę. Finka musiała przyznać, że ją to poruszyło, i martwiła się, czy z małym demonem wszystko będzie w porządku. Wyglądał, jakby spał, ale czy mogła mieć pewność, że tak jest? Wiedziała o wiele za mało o demonach, by czuć się w tej sytuacji komfortowo.

Ona też na chwilę zasnęła czy zemdląła po tym, jak wrócili do świata żywych, ale trwało to krócej niż w przypadku Daniela. Czy to było normalne? Czy lata spędzone w tym domu, bez opieki i jedzenia, za to z kręgami ochronnymi



i iluzją pożerającą magię, osłabiły go bardziej, niż chciał się przyznać? Widziała, jak chudziutkie miał ręce i nogi, a teraz, gdy zdjął dyniową maskę, jak zapadnięte były jego policzki.

Odetchnęła, kiedy chłopiec poruszył się we śnie, przekręcił na bok, zsuwając z ramion jej bluzę, którą go przykryła, bo kiedy się obudziła, był straszliwie zimny. Nagle otworzył oczy, równie duże i czarne jak oczy żar-ptaka. Przez chwilę wydawał się zdezorientowany i wystraszony, jakby nie pamiętał, co się stało i kim ona była, ale potem odetchnął i szepnął:

– Udało się.

– Powiedzmy. Nie znalazłam Franka, dziadka i całej reszty – powiedziała cicho.

– Wir mógł ich rzucić daleko na Ścieżkę Mgieł – wyjaśnił Daniel.

– I czują się tak samo jak ja, zanim mnie znalazłeś? – zapytała zmartwiona.

– Niekoniecznie. Zależy, jaką mają magię. I ile jej mają. Twoja jest zbyt obca na Ścieżce. A Sznurówka nawet nie mogła tam za tobą iść.

– Myślisz, że ciągle żyją? – Ledwie zdołała wyksztusić z siebie to pytanie, ale musiała wiedzieć.

– Możliwe. Zwykle nie idzie tak szybko, jak z tobą.

– Czyli jeszcze mogą wyjść – pocieszała się.

– Bez kotwicy i bez latarni raczej nie – przyznał, choć wiedział, że ją tym zasmuci.

– Dobra, więc jak im to załatwić? Powiedz mi, jak zrobić kotwicę i latarnię, a zrobię ją i będą mogli wrócić. – Finka aż zatarła ręce.

– Ja... nie wiem. Tatuś wiedział. – Mały demon znów był na granicy łez.

– Czyli musimy się dowiedzieć. – Rozejrzała się po regałach z książkami i podartych tomach rozrzuconych na podłodze.



Jeśli miała szczęście, któryś z nich zawierał informacje o latarniach i o tym, jak zrobić taką dla uwięzionych na Ścieżce Mgieł.

– Oni zabrali grimuar wujka, a tam na pewno napisano wszystko o latarniach, kotwicach i Ścieżce Mgieł, bo to była specjalność wujka, badał je i sam zbudował to wejście. Tak w ogóle został moim wujkiem i poznał tatusia.

– Oni, czyli burmistrz i jego pacholki? – upewniła się Finka. Mały demon pokiwał głową.

– No dobrze, muszę ukraść tę księgę z powrotem – powiedziała, bo to było oczywiste rozwiązanie.

Jeszcze nie wiedziała, jak tego dokona, ale w porównaniu z włamaniem na Ścieżkę Mgieł skok na ratusz nie wydawał się szczególnie trudną sztuką.

Przez chwilę się zastanawiała, czy burmistrz trzymałby taką zdobycz w domu, czy może jednak w ratuszu. I przychyliła się do tego drugiego. W domu z burmistrzem mieszkała pani Aniela, ale i Boguś. Nieznośny i wścibski nastolatek.

Poza tym, przypomniała sobie, Branwen nie wspominała po wizycie u burmistrza nic o demonicznej magii w jego domu, a z tego, co wyczytała Finka, to nie jest coś, co łatwo ukryć.

Studnia i ratusz, z tego, co mówił Franek, przyciągały zewsząd stada duchów. Logiczne jej się wydało, że wabikiem może być ta sama magia, która stworzyła wejście na Ścieżkę Mgieł. A to oznaczało, że musiała sprawdzić tę hipotezę i wykraść księgę. Proste.

Obawiała się tylko, że jeśli wyjdzie teraz na ulice miasteczka, pacholki burmistrza złapią ją i oddadzą jakiejś rodzinie „na wychowanie”. Albo użyją jako zakładniczki, żeby złamać opór Uli i Cyryła. Żadna z tych możliwości nie przypadła jej do gustu.

– Nie masz czasem pelerynki niewidki czy czegoś w tym rodzaju? – zapytała małego demona.

– Możesz iść tunelami – powiedział cicho Daniel.

– One nie prowadzą tylko do parku?

Pokręcił głową i zaczął palcem rysować na kamiennej podłodze kształt przypominający kurzą stopę.

– To były tunele ewakuacyjne na wypadek ataku rozbójników – tłumaczył. – Rozbójnicy to tacy prawie piraci, tylko bez morza i statku. Kiedyś na Rubieżach było ich naprawdę dużo. I czasami, gdy mieszkańcy nie chcieli płacić haraczu, podpalali domy. Dlatego dom na wzgórzu, ratusz i rynek miały ukryte wejścia do tuneli, którymi można się było wydostać do parku, gdyby budynki zajęły się ogniem. My jesteśmy tu. – Dźgnął najdłuższą kostkę w kurzej łapce. – Tu jest ratusz, obok rynek, tu wejście do tunelu jest w studni, a tu jest park – wyjaśnił, rysując kropki w miejsce trzech pazurów kurzej łapki.

– No dobra, nie jest źle. Masz może latarkę? – zapytała z nadzieją.

– Mam coś lepszego – powiedział z uśmiechem.

Zerwał się z podłogi i wysunął głęboką szufladę w jednym ze stołów roboczych. Pogmerał w niej chwilę, po czym triumfalnym gestem wyciągnął świecę.

\* \* \*

Tunel był ciemny, mokry i ciasnawy. Żadnej z tych cech Finka nie doceniała i wiele by dała, gdyby choć raz droga do leża złoła prowadziła jasnym, schludnym korytarzem, bez pajęczyn, bez lodowatych kropli spadających na kark, bez dziwnych hałasów, których echo niosło się i odbijało od ścian, i wracało nawet straszniejsze. Czy to możliwe, że naprawdę słyszała czyjeś jęki

i grzechot łańcuchów, czy jej wyobraźnia całkiem się rozbrykała?

Na pewno wyłapywała marudzenie Sznurówki, która tuptała za nią, szurając brzuszkiem o nierówne podłoże, i narzekała, że to nie jest miejsce dla dobrze odżywionych smoków. Finka zgadzała się z nią po całości – nawet szczupłym i niezbyt wyrosniętym dziewczynkom było tu troszkę ciasno.

– To już niedaleko – powiedziała, choć wcale nie była tego pewna.

Miała wrażenie, że idą już całymi godzinami, choć na powierzchni doszłaby od nawiedzonego domu na wzgórzu do ratusza może w piętnaście minut. Tu odległości wydawały się większe i trudniejsze do przebycia.

I stanowczo coś jęczało!

Finka wzięła głęboki wdech i szła dalej. Nie zamierzała się poddać. Franek by się nie poddał, gdyby to ona ugrzęzła w pułapce Ścieżki Mgieł. Znalazłby sposób, by ją wyciągnąć, i ona wcale nie zamierzała być gorsza. Dlatego może sobie coś tam jęczeć i brzęczeć łańcuchami, ona potrzebowała księgi czarnoksiężnika!

Minęła miejsce, w którym ścieżki się zbiegały, i odetchnęła z ulgą. Teraz już wiedziała, że ma za sobą najdłuższy kawałek. Przypomniała sobie rysunek Daniela i wybrała tunel, który powinien prowadzić do ratusza, a nie na rynek czy do parku.

Jęki były głośniejsze. Teraz słyszała też ludzkie głosy, podniesione i pełne złości. Szła bliżej ściany i dała znać Sznurówce, że teraz już muszą być cichutko – jeśli ona słyszała tamtych, oni mogli usłyszeć je.

Zobaczyła drzwi, zza których do tunelu wpadało odrobinę światła. Przycupnęła przy nich nisko i ostrożnie zajrzała do środka sporego pomieszczenia. Pierwszym, co rzuciło się jej w oczy, była maszyna – podobna do tej, którą widziała

w pracowni w nawiedzonym domu, ale dużo większa! Szklane bańki były pełne światła i mieniącego się jak brokat płynu. Umocowane na długich prętach i rurkach, obracały się wokół osi niczym dziwaczna reprezentacja bardzo skomplikowanego układu słonecznego – w samym centrum znajdowała się największa bańka, mieniąca się złotem. Były też wielkie, szklane tuby wypełnione fioletową mgłą i błękitnym dymem!

Poza maszynerią nie było w komnacie nic więcej – białe ściany i kinkiety, żadnych mebli. Dalej jednak znajdował się równie jasny korytarz i to stamtąd dochodziły głosy, które Finka słyszała. Rozpoznała ten burmistrza i młodego urzędnika, który pokazywał im, gdzie rozbić obóz, ale trzeciego głosu nie znała. Był męski, niski, jakby ochrypliły od krzyków.

– Nie myśl, że masz jakąkolwiek szansę ujść z tego cało, jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć! – wrzeszczał burmistrz, a potem Finka usłyszała odgłos uderzenia.

– Proszę być rozsądnym – zaklinał urzędnik. – Nie ma potrzeby eskalować przemocy. Czemu pan po prostu nie chce współpracować?

W odpowiedzi rozległ się tylko niewesoły śmiech i odgłos splunięcia.

Burmistrz krzyknął wściekły i znów rozległy się odgłosy uderzania.

– Złamię cię, choćbym miał na to poświęcić resztę życia – warczał wzburzony.

– Burmistrzu – odpowiedział trzeci głos – nawet gdybym stracił nagle rozum i uznał, że chcę z wami współpracować, a po tym wszystkim jest to po prostu mało prawdopodobne, nie znam szyfru, którym napisany jest ten grimuar. Tylko Adam go znał. – Na chwilę umilkł, jakby pozwalał tej informacji wsiąknąć w niezbyt lotny umysł burmistrza. – Jakim trzeba

być idiotą, by zabić jedyne czarnoksiężnika, który rozumiał tę maszynę i potrafił przeczytać instrukcję obsługi?

Finka zamarła. Słowo „szyfr” naprawdę nie brzmiało dobrze. Może chodziło o zupełnie inny grimuar? Może takich ksiąg walało się tu, w piwnicach ratusza, więcej?

Burmistrz znów uderzał, a trzeci mężczyzna zaśmiał się jak szaleniec.

– To musi być smutne, patrzeć, jak całe miasto umiera, a magia wysycha – powiedział.

– Zgnijesz tu, jeśli nie będziesz współpracował! – krzyknął burmistrz.

– Z waszej dwójki to Adam wziął cały rozum, a dla ciebie nic nie zostało? – zapytał w odpowiedzi mężczyzna.

– Panie burmistrzu, za chwilę ma pan spotkanie z radą handlową. Nie ma pan już czasu na zmianę ubrania, gdyby to się zakrwawiło – ostrzegł słabym głosem urzędnik.

– Wrócę tu – powiedział zimno burmistrz. – W końcu powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. O tej maszynie i o Ścieżce Mgieł.

Finka nadstawiała czujnie uszu. Więzień stał się dla niej dużo bardziej interesujący, skoro miał informacje o Ścieżce Mgieł!

Słyszała odgłos oddalających się kroków dwóch osób, a potem zgrzyt zamka i trzaśnięcie drzwiami. Przez chwilę nasłuchiwała, ale dochodził do niej tylko urywany oddech pozostawionego mężczyzny.

To był jej moment, zdecydowała.

– Sznuróweczko, zostań na czatach, ja idę porozmawiać z tamtym panem – powiedziała.

Smok był chętny do przedyskutowania tego planu, zwłaszcza części, w której dziewczynka idzie tam sama, ale Finka położyła palec na ustach i szepnęła:

– Ciiii, bo nas usłyszą.

Sznurówka wypuściła pełen dezaprobaty kłębuszek dymu, a Finka uchyliła drzwi odrobinę szerzej. Zawiasy zaskrzypiały, a ten odgłos w ciszy panującej w tunelach wydawał się głośny jak wystrzał z armaty. Przez kilka sekund Finka wstrzymywała oddech, obawiając się, że skrzypienie kogoś zwabi, ale nikogo nie słyszała. Wślizgnęła się więc do środka komnaty i mijając wiszące bańki, tuby i rurki, przemknęła na drugą stronę, do korytarza.

Nie była pewna, czego się spodziewała, ale nie demona! Tymczasem przykuty do ściany łańcuchami stał bez wątplenia demon. Miał szarą skórę i zwinięte na plecach wielkie, błoniaste, jakby nietoperzowe skrzydła, a gdy się odwrócił, by spojrzeć prosto na dziewczynkę, zobaczyła czarne jak węgielki, wielkie oczy.

– No, no, no, a kogo tu mamy? Burmistrz wyręcza się małymi myszkami? – zapytał i pokazał jej zęby ostre jak noże. – Podejdź bliżej, chętnie spróbuję, jak smakuje mięso takiego malutkiego gryzonia.

– Przestań – powiedziała ostrym tonem Finka. – Nie mam czasu na takie głupoty. Moi bliscy są uwięzieni na Ścieżce Mgieł i muszę ich stamtąd wydostać. I myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

– Jak dokładnie? – zapytał i uśmiechnął się tak, że Fince po plecach przeszedł lodowaty dreszcz.

– Zawrzemy umowę. Jak człowiek z demonem. Żadnego zjadania, żadnego bicia. Ty pomożesz mnie, ja tobie.

– Słucham – powiedział i oparł się skrzydłami o ścianę za sobą. Gdyby nie widziała wszystkich tych łańcuchów i kajdan, mogłaby pomyśleć, że jest zupełnie zrelaksowany.

– Czy wiesz, gdzie jest grimuar czarnoksiężnika? – zapytała. Skinął głową.



– Naprawdę nie umiesz go przeczytać? Naprawdę jest spisany szyfrem? – drążyła.

– Ktoś tu nadstawiał ucha! – Uśmiechnąłby się niemal przyjaźnie, gdyby nie ostre kły, którymi błysnął. – Tak, jedyną osobą, która potrafi przeczytać grimuar, jest czarnoksiężnik, ale ci idioci go zabili.

Finka skrzywiła się zawiedziona. Jej plan poszedł z dymem. Ale to nie znaczy, że nie mogła szybko wymyślić kolejnego.

– Czy wiesz, jak zbudować latarnię, której potrzebują ci na Ścieżce Mgieł, by trafić z powrotem do naszego świata? – zapytała.

– Tak – powiedział tylko, a Finka wyczuła, że jej nie okłamał.

– Czy pomożesz mi ją zbudować?

Zagrzechotał łańcuchami w milczeniu, jakby mogła zapomnieć, że jest uwięziony.

– Jeśli cię uwolnię, pomożesz mi?

Kiwnął głową, ale Finka przypomniała sobie coś, co przeczytała w jednej z ksiąg. Umowy z demonami są trudne, bo trzeba zadbać o wszystkie kruczki. By nie skończyć jako kolacja.

– Obiecujesz, że nie zrobisz krzywdy mnie, mojemu bratu Frankowi, mojemu dziadkowi ani żadnemu członkowi naszego cyrku oraz że zrobisz, co w twojej mocy, żeby mi pomóc? – wyrecytowała.

Parsknął krótkim śmiechem.

– Jeśli mnie uwolnisz, nie spotka cię z moich rąk żadna krzywda. Ani twoich bliskich – zapewnił i zabrzmiało to jak przysięga.

Finka poczuła zapach siarkowej magii.

– I jeszcze jedno – przypomniała sobie.

Uniósł brew, jakby rozbawiony tym, że próbowała coś jeszcze dorzucić do umowy.

– Pomożesz Danielowi dostać się do domu, do jego mamy. Nie chcę, by został sam w nawiedzonym domu.

Demon nagle oderwał się plecami od ściany i stracił wszelkie pozory wyluzowania.

– Opowiedz mi o Danielu – zażądał.

– On mi pomagał. I uratował życie. Obiecałam, że pomogę mu wrócić do domu. I myślę, że jesteś jego najlepszą szansą, by tak się stało. Stracił tatę. Ludzie z miasteczka próbowali zrobić mu krzywdę. Nie wiem, na jak długo mu wystarczy magii. Mógłby przyłączyć się do naszego cyrku, ale myślę, że nie byłby szczęśliwy. Tęskni za rodziną. Obiecaj, że mu pomożesz i nie zrobisz krzywdy. Nie wykorzystasz tego, że jest mały i słaby. Obiecaj! – powiedziała stanowczo. – Albo nici z umowy – dodała, bo demon wpatrywał się w nią intensywnie, jakby się zastanawiał, w jakiej kolejności zjadać jej kończyny.

– Dogadujesz się z demonem? Nie wiesz, że nie można nam ufać? – Jego głos brzmiał dziwnie, jakby nagle miał problem z wyduszeniem z siebie słów.

– W tym miasteczku jest mnóstwo ludzi i dwa demony. Ludzie nie okazali się szczególnie godni zaufania. A Daniel i owszem. To znaczy, że przynajmniej połowa tutejszej populacji demonów jest godna zaufania. Zaryzykuję – powiedziała twardo.

Zaśmiał się, jakby opowiedziała najzabawniejszy dowcip świata.

– Dobrze, jak masz na imię?

– Finka. Józefina Zielke – dodała, widząc, że czekał, aż poda swoje pełne imię.

– Ja, Adalard, demon piątej potęgi, obiecuję ci, Józefino Zielke, że ani tobie, ani twoim bliskim nigdy nie zagrozi z mojej

ręki żadna krzywda. Obiecuję też, że pomogę ci, na ile to możliwe, uwolnić twoich bliskich ze Ścieżki Mgieł, budując latarnię. Obiecuję też, że pomogę Danielowi wrócić do domu. Czy przyjmujesz tę obietnicę i zechcesz mnie uwolnić?

– Tak, to brzmi dobrze – przyznała Finka. – Teraz tylko znajdę sposób, by przeciąć te łańcuchy – wymruczała.

– Klucze są w tej skrzynce na ścianie, zaraz obok gaśnicy. Sprawiało mu frajdę, że wiem, że tam są, ale nie mogę po nie sięgnąć – powiedział spokojnie demon.

Dziewczynka sięgnęła do skrzyneczki i wyciągnęła wielki klucz. Rozpinając kłódkę, rzuciła:

– Gdybyś mógł poczekać z zemstą, aż uwolnimy moich przyjaciół i rodzinę, może nawet wyjedziemy z miasteczka, byłoby super.

– Nie jest to częścią naszej umowy, Józefiono, ale myślę, że możemy to dodać małym druczkiem – powiedział i uśmiechnął się szeroko, gdy udało jej się zwolnić zapadkę i pałak kłódki odskoczył.

Demon zaczął odkręcać liczne pęta łańcucha, uwalniając się z niewoli już bez dalszej pomocy.

Finka była dziewczynką ostrożną. Świadomą zagrożenia. Nie zawsze ją to powstrzymywało od działania, ale wiedziała, co może się wydarzyć, jeśli rzeczy nie pójdą po jej myśli. Uświadomiła sobie, że tym razem nie wie. Nigdy wcześniej nie zawierała umowy z demonem i jej wyobraźnia pędziła teraz na łeb na szyję. Zaciskała zęby tak mocno, że rozbolały ją policzki.

– Nie bój żaby, mała. Najgorsze oboje mamy za sobą – powiedział nagle demon, dziwnie wysoki i jakby większy, kiedy stał tak blisko.

– A co mamy przed sobą? – zapytała niepewnie.

– Czas pokaże. W najgorszym wypadku bardzo duże bum – powiedział i uśmiechnął się szeroko, jakby to był najlepszy

dowcip w jego repertuarze.

Duże bum? – pomyślała Finka. W sumie była gotowa na duże bum. Odkąd obudziła się w opustoszałym obozie, robiła wszystko, by myśleć racjonalnie, szukać rozwiązania, znajdować wskazówki, knuć plan. Ale w głębi duszy o niczym innym nie marzyła tak, jak o wielkim bum. Wyobrażała sobie, jak cała jej wściekłość, strach i frustracja wrywają się z niej na wolność jak wygłodniałe zwierzęta. Wyglądają jak ogromne wilki z ognia i dymu. Rzucają się na to miasteczko i pożerają wszystko i wszystkich. Ledwie o tym pomyślała, jej dłonie stanęły w płomieniach. To już nie był mały ognik, trudny do podtrzymania płomyk. Wiedziała, że gdyby mu pozwoliła, pożarłby wszystko. Zamknęła oczy, oddychając ciężko. Czuła gorąco rozlewające się pod koszulką i przez chwilę myślała, że cała stoi w ogniu, ale wtedy coś musnęło jej umysł ciepłym oddechem i usłyszała szept Sorchy:

– Nie jesteś sama. Kiedy przyjdzie czas, podpalimy świat.

Wystraszyła się i gwałtownie otworzyła oczy. Miasteczko? Marzyła, by je spalić do fundamentów. Cały świat? Nie była tego taka pewna...

Demon patrzył na nią czarnymi, lśniąco-czarnymi oczami i śmiał się pod nosem.

– A to ci niespodzianka – powiedział rozbawiony.

Złapał ją za mankiet bluzy i uniósł jej rękę, oglądając z każdej strony dłoń płonąca jak pochodnia. Tkanina bluzy, podobnie jak skóra dziewczynki, się nie zapalała, ale kiedy przytknął palec do płomieni, cofnął go gwałtownie i syknął. Nie znosił bólu, dość się już wycierpiał w niewoli.

Dziewczynka wystraszyła się i płomienie natychmiast zniknęły. Ale już wiedział, że nie były tylko iluzją.

Ci w miasteczku nie mają nawet pojęcia, z czym igrają, wkurzając tę małą – pomyślał. I odetchnął na myśl, że gdy

wybuchnie, on nie będzie przykuty łańcuchami do ściany. Bo wybuchnie. Takie jak ona zawsze wybuchają. Jeśli dopisze mu szczęście, będzie akurat poza zasięgiem piekła, które ona rozpęta.

Kiedy wyszli z podziemi ratusza i wkroczyli do tuneli, z ciemności nagle wyłonił się – a niech to – prawdziwy smok! Wciąż jeszcze mały, ale gdy otworzył pysk i dmuchnął ogniem, jego rozmiar nie miał większego znaczenia. Adalard zaczął się śmiać i nie mógł przestać. Pocierał ślady po łańcuchach, patrzył to na dziewczynkę, to na smoka i chichotał jak opętany.

Finka ofuknęła go, że ma się nie śmiać, bo Sznurówce będzie przykro, ale to tylko rozbawiło go jeszcze bardziej. Sznurówka, co za historia!

Dziewczynka wyminęła go z godnością. Ona i smok toczący się za nią jak mała beczułka ruszyli tunelem w stronę nawiedzonego domu na wzgórzu.

Adalard szedł za nimi i przyciskał dłoń do ust, tłumiąc chichot. Nic nie mógł na to poradzić. Po tylu latach niewoli uwolnili go mała dziewczynka i smoczy przedszkolak. Przecież nikt mu w to nie uwierzy!









## KAŻDA KROPLA MAGII I JESZCZE TROCHĘ

Ostatecznie Finka szła pierwsza, demon deptał jej po piętach, a Sznurówka uznała, że najlepszą pozycją, na wypadek gdyby należało przysmażyć tyłek demonowi, był koniec kolumny. Tunel już wcześniej wydawał się Fince ciasny, ciemny i zwyczajnie nieprzyjemny, ale teraz, gdy otaczał ją jeszcze swądek siarki i dym, który w ramach ostrzegawczych sapnięć wypuszczała nosem Sznurówka, przyprawiał ją o dreszcze, a koszulka przykleiła jej się do spoconych pleców.

Sapnęła z frustracją, kiedy potknęła się w ciemności i zwolniła, a demon wpadł na nią z impetem. Zwłaszcza gdy ułamek sekundy później na niego wpadła Sznurówka i teraz oboje szturchnęli idącą przed nimi dziewczynkę.

– Możesz się trochę odsunąć? – zapytała demona sfrustrowana. – Nie mogę oddychać, ściany są za blisko, a jeszcze ty... Sznuróweczko, ty też, kroczek do tyłu, odstępów przynajmniej wyciągniętych łapek, jasne?

Cofnął się o krok i powiedział uprzejmie:

– Nie wspominałaś, że masz klaustrofobię.

– Nie mam. Po prostu nie lubię ciasnych i ciemnych pomieszczeń – warknęła, a on miał czelność znów się zaśmiać pod nosem.

Sznurówka nie doceniała jego poczucia humoru, więc znów dmuchnęła mu w kark gorącym dymem.

Finka westchnęła ciężko i znów wspinała się po wąskim chodniku. Wszystko, co przeczytała dotąd o demonach, okazało się prawdą – były irytujące, złośliwe i należało się od nich trzymać z daleka. Uniosła wyżej świeczkę od Daniela. Płomyk był zbyt mały, by faktycznie rozjaśnić drogę przed nimi, ale bała się go podkarmić swoją magią. Zwłaszcza odkąd słyszała w głowie szept Sorchy i cichutkie mruczenie głodnych jak kociak płomieni, które nosiła w sobie.

Droga z powrotem wydawała się dłuższa, pewnie dlatego, że spory kawałek szli pod górkę, ale wreszcie na granicy światła dziewczynka zobaczyła drewniane drzwi i ciężką, czarną kłamkę.

Demon nagle cofnął się o kilka kroków i przywarł plecami do ściany.

Ktoś tu wiedział o pułapce, przemknęło Fince przez myśl.

Sznurówka też się cofnęła i pisnęła coś pod nosem.

Dziewczynka nacisnęła kłamkę i zaparła się całym ciężarem, by otworzyć drzwi. Coś je blokowało z drugiej strony, musiała to coś przepchnąć. Ledwie uchyliły się na kilkanaście centymetrów, coś huknęło o ścianę tuż koło nich, a po chwili odgłos tłuczonego szkła towarzyszył kolejnemu uderzeniu, tym razem o drewno.

– Danielu, to ja! Nie rzucaj niczym! – zawołała przez dzielącą ich barierę.

I faktycznie, nic już nie rozbiło się o ścianę, więc ostrożnie popchnęła je jeszcze raz, aż otworzyły się wystarczająco, by zdołała się wślizgnąć. Z drugiej strony blokowało je ciężkie krzesło. Daniel znów zaczął się barykadować, ale tym razem w pracowni. Rozejrzała się i przez chwilę nie wiedziała, gdzie się podział, aż zauważyła ciemną, kudłatą głowę wychylającą się spod stołu. Ciągłe ścisnął w ręce szklane probówki, gotów nimi cisnąć, ale pisnął, rozpoznawszy Finkę. Upuścił szkło i pobiegł prosto do niej, szeroko rozkładając ręce do tulina.

– Jesteś! Wróciłaś! Nie zabrali cię! – wołał, a jego słowa tłumiała miękkość jej bluzy, w którą wtulił twarz. – Bałem się, że cię złapali! Tak długo cię nie było! – powiedział i dziewczynka poczuła, że drżał z niepokoju.

– Jestem! I znalazłam kogoś, kto nam może pomóc z latarnią – oznajmiła i obejrzała się w stronę drzwi.

Adalard stał w progu. Milczał, zaciskał zęby tak mocno, że słyszała, jak zgrzytały o siebie upiornie. Sznurówka popchnęła go z tyłu, bo dosyć już miała tego tunelu i chciała wejść do środka, ale demon stał, jakby coś go wmurowało. Wzrok miał wbity w Daniela.

Mały demon dopiero po chwili uwolnił się z objęć Finki i z zaciekawieniem spojrział we wskazanym kierunku. I nagle zamarł. Oczy zrobiły mu się jeszcze większe, a z ust wyrwał się pisk tak dziwny, że Finka wzięła go za okrzyk przerażenia. Natychmiast zasłoniła sobą Daniela, myśląc, że wystraszył się demona, ale chłopiec ani myślał zostać w miejscu. Nagle odbił się od podłogi jak kauczukowa piłeczka i skoczył w stronę przybysza z bojowym okrzykiem.

– On nam pomaga! Obiecał! – zawołała Finka, ale Daniel jej nie słyszał.

I wcale nie wpił się pazurami w oczodoły demona ani nie chwycił go za gardło w próbie mordy, jak się obawiała Finka! Najwyraźniej to wcale nie był okrzyk bojowy, raczej pisk radości, bo mały demon zwisał z szyi dużego demona w uścisku. Adalard przez chwilę jeszcze nie mógł się ruszyć, ale po kilku sekundach jego skamienie przysło i zamknął chłopca w objęciach, przytulając go ze wszystkich sił.

– Tatusiu! – wyszeptał chłopiec. – Myślałem, że nigdy, już nigdy, nie wrócisz – dukał między szlochami.

– Ja też myślałem, że nigdy cię nie zobaczę – odpowiedział Adalard i pocałował kędzierzawą głowę synka.

Czemu pachniał dynią? – przemknęło mu przez myśl. Wydawał się taki malutki, zbyt lekki na zdrowe demoniczne dziecko. Ale był cały i żywy, w tym momencie to więcej, niż Adalard marzył. Żył w przekonaniu, że go zabili. Tak mu zresztą powiedzieli. Sądził, że ta mała go okłamuje. Ale przez sekundę obudziła w nim nadzieję już tym, że znała imię jego synka.

Finka i Sznurówka patrzyły na nich zaskoczone. Nie spodziewały się takiego obrotu sprawy. Gdy dziewczynka zobaczyła demona w podziemiach ratusza, nie dostrzegła w nim ani odrobiny podobieństwa do Daniela. Te skrzydła i brak łusek, w ogóle nie był podobny!

Trzasnęła drzwiami do tuneli i odchrząknęła głośno, próbując zwrócić uwagę demonów.

– Cieszę się waszym szczęściem, naprawdę, ale możemy sprowadzić tu mojego brata, dziadka i cyrkową rodzinę, żeby też mogła ich przytulać z radością? – zapytała.

Daniel, wczepiony w ramiona taty, powiedział cichutko:

– Pomożesz jej, tatusiu? Była dobra i nie chciała mi zrobić krzywdy.

Adalard pogłodził go po plecach.

– Zrobimy, co się da, ale to wcale nie jest łatwe.

– Mówiłeś, że wiesz, jak zbudować latarnię! – krzyknęła dziewczynka z wyrzutem.

– Bo wiem, tylko w tym momencie nie mam głównego składnika.

– Czyli? – zapytała sfrustrowana.

Czemu nic nie może iść lekko i łatwo?

– Magii – powiedział i uśmiechnął się blado. – Myślisz, że po co mnie tam trzymali? I jak napędzali całą tę maszynę do odławiania duchów i przerabiania ich na magię? Ale nie martw się, nie zamierzam się poddać. Poszperamy, może zostało tu, w domu Adama, jeszcze wystarczająco wiele magicznych przedmiotów, żeby powstał błysk widoczny na Ścieżce Mgieł.

\* \* \*

Kto by pomyślał, że w nawiedzonym domu należącym do czarnoksiężnika nie da się znaleźć przesadnie wielu przedmiotów magicznych!

Na stole przed nimi leżały dwa pierścienie, jeden z bursztynem, jeden z kryształem. Kryształowa kula. Osiem samozapalających się świeczek. Dwa sztylety i jeden kielich oraz zwinięta w kłębek szata.

– Mało tego – zmartwiła się Finka.

– Większość była w pracowni, musieli je rozkraść wtedy, kiedy zabierali grimuar – powiedział zatroskany Adalard. – Niewiele wiedzą o magii, ale żona burmistrza potrafiła ją wyczuć. Kiedy zaczynało im brakować paliwa, a ofiary same się nie pchały do miasteczka, używali takiej zachomikowanej magii, by podtrzymać działanie maszyny.

– Jestem jeszcze ja – powiedziała cicho dziewczynka. Nie była pewna, bo ciągle jej nie wyjaśnił, jak dokładnie działa ta cała latarnia i czy zabrałaby jej magię na dobre, czy tylko pożyczyła.

Sznurówka szturchnęła ją i zabulgotała z oburzeniem.

– I Sznurówka – zgodziła się Finka. – Gdy byłam na Ścieżce Mgieł, widziałam błysk jej magii. Tylko wcale nie był jak wielka latarnia, a ja znajdowałam się całkiem blisko drzwi...

– Obie jesteście magiczne w uroczy sposób, ale trochę tej magii za mało, by zrobić wielkie widowisko widoczne z każdego końca Ścieżki Mgieł – przyznał Adalard.

– Jest jeszcze Ptaszorz – powiedział cicho chłopiec.

– Ptaszorz przetrwał tyle czasu poza domem?! – zawołał zaskoczony demon.

Zagwizdał na palcach, a przeciągły i wysoki dźwięk aż zawibrował dziewczynce w kościach.

– Zwykle chowa się na strychu – wyjaśnił Daniel. – Zmienił się – dodał po chwili, jakby chciał przygotować tatę na niezbyt przyjemną niespodziankę.

Po chwili Finka usłyszała furkot piór i skrzek. Ptaszorz wtargnął do pracowni z rozmachem i łopotem, a gdy spojrzenie jego koralikowych ślepi padło na Adalarda, rozskrzeczał się na całego! Machał długim ogonem, łopotał skrzydłami, wymachiwał dziobem na boki, co chyba było wyrazem dzikiej radości. A potem jak kula jaskrawych piór i entuzjazmu opadł na wyciągnięte w jego stronę ramię chłopca.

– No kolego, zmieniaj się – powiedział Adalard i poczochnął go po nastroszonych piórkach na łebku.



Ptaszor znów się wydarł, jakby właśnie wschodziło słońce, a on w kontrakcie miał obudzenie całego świata. I nic poza tym się nie wydarzyło.

– On już od dawna się nie zmienia. Jest smutny – powiedział chłopiec. – Próbowałem mu złapać królika, ale za szybko uciekały. A zamrażarka wujka była całkiem pusta – dodał przepaszającym tonem.

Adalard potarł powieki i nic nie powiedział. Fince wydawało się, że próbuje trzymać fason, ale gdyby nie musiał być twardym demonem, teraz by płakał.

– Nic nie szkodzi, wrócimy do domu, nakarmimy i Ptaszora. Będzie sobą, zanim się spostrzeżesz – powiedział w końcu, ale głos miał niższy, jakby stłumiony.

– Ciągłe mamy za mało, prawda? – zapytała cicho Finka, bo nawet ona widziała, że przedmioty na stole nie mają za wiele magii. A skoro buzująca magią Sznuróweczka była tylko rozbłyskiem złota w szarości Ścieżki Mgieł... – Potrzebujemy więcej, dużo więcej, prawda?

– Gdybym miał swoją magię, nie byłoby problemu. Zabrali wszystko, ale odbuduję ją – powiedział pocieszająco Adalard i położył rękę na ramieniu dziewczynki.

– W kilka godzin? – zapytała. A potem pokręciła głową. – Nie, nie kilka godzin. Czytałam o wydrenowaniu, lecz się to wiele, wiele miesięcy, prawda?

Nie odpowiedział. Nie musiał.

I nagle coś jej przyszło do głowy.

– Tamta maszyna... Twoja magia ciągle w niej jest, prawda? – zapytała.

Skinał głowę.

– I gdybym ją uwolniła z tej maszyny, mógłbyś ją wykorzystać na latarnię?

– Tak, ale to nie takie proste! To jest magiczne szkło, otoczone specjalnym polem ochronnym. Nie pójdziemy tam i nie stłuczemy go, żeby zabrać moją magię – tłumaczył.

– A ogień? – zaproponowała.

– Co z ogniem? – nie rozumiał.

– Czy ogień zniszczy szkło? I bariery?

– Nie każdy, nie ten normalny.

– A magiczny? – dopytywała.

– Nie wiem. Możliwe. Zależy, jak gorący będzie. I jak nasycony magią. Finko, gdybyś miała wystarczająco dużo magii, by rozwalić bariery i szkło, nie potrzebowalibyśmy niczego więcej, by zbudować latarnię.

– Muszę spróbować – powiedziała z uporem. – Jeśli zrobimy odpowiednio duże bum, zobaczą nasz błysk i trafią do drzwi. Więc to musi być naprawdę duże bum – dodała.

Sznurówka zapiszczała coś nerwowo.

– Oczywiście, że możesz iść ze mną. Nie poszłabym robić bum bez ciebie – zapewniła Finka.

Adalard nie wiedział, co jej powiedzieć. Czy powinien jej to odradzać? Czy miał do tego prawo? Czy nie zrobiłby wszystkiego, co tylko możliwe, by odzyskać rodzinę? A co ważniejsze, choć szanse nie były duże, to się mogło udać. A gdyby odzyskał swoją magię, byłby w stanie rozwiązać nie tylko jej problemy, ale i swoje. Potrzebował magii, by wrócić z synem do domu.

– Jeśli maszyna wybuchnie, w tunelach nie przeżyjecie fali uderzeniowej – ostrzegł.

– Czyli musimy wyjść na powierzchnię, zanim wybuchnie. Albo zacząć od tamtej strony. Jeśli cały ratusz się zawali na podziemia, żadne szkło, nawet magiczne, nie wytrzyma!

Demon patrzył na zaciętą minę dziewczynki i wiedział, że niezależnie od tego, co powie, ona się nie podda i nie zrezygnuje. Więc rzucił tylko:

– Pójdziemy tunelami. Nie możemy przeparadować przez całe miasteczko, licząc, że nikt nie zauważy faceta ze skrzydłami czy dziewczynki ze smokiem.

– I małego demona – podkreślił Daniel, bo z całą pewnością nie zamierzał zostawać w tyle, sam w tym domu, znowu.

Ptaszorz zaskrzeczał energicznie.

– I Ptaszora – dodał chłopiec.

– Brakuje tylko orkiestry dętej i klaunów – powiedział cicho demon, ale Finka usłyszała i wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Kiedy ściągniemy moich przyjaciół ze Ścieżki Mgieł, będziesz miał i klauna, i trębacza. Sam widzisz, jesteśmy skazani na sukces! – Uniosła obie pięści w górę.

Adalard tylko westchnął. Taaa, bez wątpienia był na coś skazany, choć wcale nie miał pewności, czy właśnie na sukces.

\* \* \*

Znów tunele. Ostatni etap tej przygody po prostu nie mógł się obejść bez ciasnych i ciemnych tuneli, pomyślała Finka. Tym razem jednak skręcili najpierw w korytarz wiodący do parku. Chciała uprzedzić Cyryla i Ulę, że już niedługo. I pragnęła się upewnić, że nadal są w obozie, a mieszkańcy nie złamali barier i nie mają zakładników. I na przykład nie trzymają ich w ratuszu, który zamierzała podpalić i zrównać z ziemią.

Nawet nie wiedziała, że na dworze zdążyło się ściemnić, a park o tej porze dnia wydawał się bardziej posępny i tajemniczy. Kilka razy źle skręciła, ale w końcu dotarła do

placyku z fontanną, a stąd wiedziała już, jak trafić do szkoły i obozu na szkolnym boisku.

Otaczała go całkowita cisza, kiedy się przekradała zaroślami. Przez chwilę myślała, że to zły znak, ale gdy się zbliżyła, poczuła delikatną wibrację ochronnego kręgu. A chwilę później świsnęła koło niej strzała i wbiła się w pień drzewa tuż nad jej głową!

– To ja, Finka – syknęła w ciemność.

– Jesteś sama? Czy wzięli cię na zakładniczkę? – Rozpoznała Cyryla, choć wyraźnie starał się mówić bardziej dorosłym i niższym głosem.

– Mam towarzystwo, ale nie wchodzi do obozu. Wszyscy cali? Śpiochy się pobudziły? – zapytała, przekraczając barierę. Ta przytrzymała ją na sekundkę, jakby rozpoznawała na niej dziwny osad magiczny, może demonów, może Ścieżki Mgieł, ale w końcu wpuściła ją do środka.

– Śpią jak kamienie. Bez Branwen mogą się nigdy nie obudzić – przyznał Cyryl i zeskoczył z dachu przyczepy, na którym urządził sobie punkt obserwacyjny. – Znaleźliście ich?

– Poniekąd – mruknęła dziewczynka wymijająco.

– A gdzie Franek?

– Z nimi – powiedziała, nie wchodząc w szczegóły.

– Burmistrz dwa razy próbował sforsować barierę, za pierwszym razem się odbił, za drugim razem lekko go przysmażyła. Zapowiedział, że wróci rankiem. Nie wiem, ile bariera wytrzyma. Ani czy będą czekać do rana, czy tylko chcieli uspić naszą czujność – opowiadał Cyryl.

– Będą zbyt zajęci, żeby was niepokoić – rzuciła Finka i zaczęła się siłować z klapką w bocznym luku autobusu Jewgienija. To tam cyrkowcy trzymali to, czego potrzebowała.

Wyciągnęła ciężki plastikowy baniak i powiedziała:

– Będzie gorąco.

– Dobrze, noc zapowiada się chłodna – odparł Cyryl i się wyszczerzył.

Starął się nie pokazać, jak bardzo jest zmęczony i jak bardzo się boi. Miał prawie trzynaście lat. Czasami myślał, że jest już całkiem dorosły i ciocia i dziadek zawracają mu głowę pierdołami. Dziś nie czuł się dorosły. I wcale chętnie pozwoliby cioci się przytulić i ponarzekać na to, że nie umył uszu albo wyrasta z wszystkiego szybciej, niż ona nadaża szyć.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, rano wszyscy będziemy w obozie, gotowi opuścić to miasteczko na zawsze – powiedziała Finka, jakby czytała mu w myślach.

– A jeśli nie pójdzie dobrze? – zapytał cicho.

– W końcu pójdzie – pocieszyła go i z baniakiem opuściła bezpieczeństwo kręgu.



## BARDZO DUŻE BUM

Adalard, Daniel i Sznurówka czekali na Finkę w tunelu. Ptaszorz siedział na ramieniu demona, nastroszony wojowniczo. Finka zaproponowała Sznurówce, by leciała górą i oszczędziła sobie wdrapywania się po drabince w studni. Nie chciała mówić wprost, że miała poważne obawy, czy Sznurówka się zmieści ze swoim brzuszkiem i skrzydłami wewnątrz studni, a wspinanie się po drabinie nie należało do jej specjalności.

Sznurówka nie była zachwycona tym, że miałyby się rozdzielić, ale Finka przekonała ją, że porządny atak wymaga załogi na ziemi i w powietrzu.

Znów szli w ciemnych i ciasnych tunelach w stronę ratusza. Im bliżej się znajdowali, tym głośniejsze stawały się dźwięki, które mogło wydawać drżące szkło, oraz mechaniczne stukanie trybów maszyny. Jeszcze kilka godzin wcześniej maszynaria pracowała niemal bezgłośnie, teraz była hałaśliwa jak wiatrak.

– Wkrótce osiągnie pełnię mocy i zacznie zasysać duchy ze Ścieżki Mgieł – powiedział Adalard.



Wcześniej wspomniał, że to byłby najlepszy moment dla Franka, dziadka i cyrkowej ferajny na przemieszczanie się do naszego świata. A przy okazji najbardziej niebezpieczny, bo po tamtej stronie drzwi wszystko miało swoją cenę.

Skręcili w odnogę kanałów prowadzącą w stronę rynku i studni. Tu magii i duchów było najwięcej. Finka ich nie widziała, ale nie potrzebowała nawet zaklęcia widzenia tego, co niewidzialne, by czuć je całą sobą. Włoski na karku stały jej dęba. Było jej tak zimno, że wokół ust gromadził się kłębuszek pary! Wydawało się, że coś próbuje ją zatrzymać, szarpie za ubranie, szepcze coś do ucha (nie rozumiała ani słowa). Ale nic nie mogło jej zatrzymać. Miała za mało czasu, za mało pomysłów, za mało planów awaryjnych, by teraz się cofnąć.

Właśnie dlatego wspinała się po drabince biegnącej wewnątrz cembrowiny pustej studni. Adalard niósł za nią kanister, bo potrzebowała obu rąk, by nie spaść. Serce biło jej w piersi tak głośno, że słyszała jego „łub, łub, łub” przez cały czas. Żołądek ścisnął jej się ze strachu.

Nagle do łomotania serca dołączył cichutki śpiew. Sorcha nie chciała, by Finka się bała. Nie była sama. Nie była bezradna. Była żywiołem. Miała w sobie moc i zrobi z niej użytek!

Dziewczynka nie była pewna, czy Sorcha śpiewała o sobie, czy o niej, ale to nie miało znaczenia. Nabrała animuszu i jeszcze szybciej wspinała się po stalowych obręczach, aż zaczęło do niej docierać światło setek żaróweczek i lampek, którymi udekorowany był daszek nad studnią. Wychyliła się ostrożnie za krawędź cembrowiny, by się upewnić, że nie czekają na nich na rynku ludzie burmistrza.

Nie zobaczyła nikogo. Rynek był cichy, a światła w ratuszu pogaszone, tylko łuna świec w dyniowych latarniach tańczyła na ścianie budynku. Wszystkie sklepiki już pozamykano. Okna

w kamieniczkach przy rynku pozostawały ciemne. Teraz, po podsłuchanych rozmowach burmistrza, nie była pewna, czy w ogóle ktoś w tych domach mieszkał, czy burmistrz już dawno pozbył się tych obywateli, przehandlował ich za kolejne porcje magii. Wspięła się po ostatnich trzech stopniach i wydostała się ze studni, kucnęła, przyciskając plecy do betonowej cembrowiny, i czekała, aż wyjdą pozostali.

Adalard wydostał się i zaciągnął chłodnym, nocnym powietrzem. Pachniało jesienią, dynią i pszczelim woskiem. Nie pamiętał, ile dokładnie czasu minęło, odkąd mógł odetchnąć pełną piersią, rozprostować skrzydła, powąchać coś, co nie śmierdziało piwnicą. Uśmiechnął się i wyciągnął Daniela ze studni. Za nim wyleciał Ptaszor. Sznurówka już wisiała nad budynkiem ratusza, jej złote łuski i szeroko rozpięte skrzydła migotały w blasku światełek i latarni.

Finka pobiegła, nie oglądając się za siebie. Oblała benzyną drzwi ratusza, aż całe schody ociekały połyskującymi tęczowo kałużami. A potem uniosła dłonie, które teraz stały w płomieniach jak pochodnie, i podpaliła płyn. Cofnęła się o krok, gdy ogień buchnął gorącem. Ale wcale nie skończyła. Miała w sobie za wiele złości, gniewu, bezradności i strachu, że jej się nie uda, że zawiedzie, że nie zdoła uratować brata, dziadka, cyrków...

Ogień wylewał się z niej wściekłą falą. Finka krzyczała jak mała szyszymora, pozwalając, by wszystko, czego się bała, utonęło w ogniu i przestało pożerać jej serce. Płomienie otaczały ją, ale nie robiły jej krzywdy. Szyby trzaskały z głośnym hukiem, farba na drzwiach puchła w pęcherzach i jej płatki unosiły się wokół jak śnieg. Ogień lizał ściany, zabierał więcej i więcej. Dziewczynka wylewała z siebie fale żywiołu, aż poczuła, że prawie nic w niej nie zostało. Ale czy to wystarczy? A jeśli nie? Jeśli nie była wystarczająco dobra?

Usłyszała wysoki świergot Sznurówki, a po chwili bardziej poczuła, niż zobaczyła morze ognia, które smok spuścił na dach. Finka cofnęła się o kilka kroków, kiedy dachówki zaczęły pękać i spadać okruchami na ziemię.

Adalard pociągnął ją jeszcze dalej, prawie do samej studni. Cały ratusz stał w płomieniach, powietrze pełgało gorącem, a czarny dym wzbijał się w niebo, gdzie Sznurówka ciągle jeszcze dorzucała do pieca swoje trzy grosze.

Finka czuła się pusta, zmęczona. Nie wiedziała, czemu płacze, ale łzy spływały jej po policzkach, rozmazując sadzę, którą miała wysmarowaną twarz.

– To za mało – powiedziała cicho. – Ogień jest coraz mniej głodny...

Adalard trzymał ją, jakby się bał, że pobiegnie w płomienie. Obawiał się, że miała rację. Ogień, choć potężny i wściekły, wciąż nie sięgał do podziemi. Demon ciągle czuł w kościach szum wirników i pobrzękiwanie krążących wokół silnika kul. Maszyna działała, a magia nadal była w niej uwięziona. Gdyby miał swoją moc, mógłby coś z tym zrobić, a tak pozostawało mu tylko patrzeć na płomienie pożerające budynek, ale cały czas za małe, by zmienić los – jego, Finki, jej bliskich na Ścieżce Mgieł, ale też Daniela czy Ptaszora. Adalard nie chciał nawet o tym myśleć, ale przecież widział, jak słaby, wychudzony i wyzuty z magii był jego syn. I nie był pewien, czy w tym stanie przeżyłby wędrówkę Ścieżką Mgieł. Ani czy on, praktycznie bez magii, zdołałby znaleźć drogę do domu.

Daniel tulił się do jego boku, wystraszony, ale i trochę zafascynowany największym ogniskiem, jakie w życiu widział. Adalardowi ścisnęło się serce na myśl, że jego synek ufa, że ojciec znajdzie rozwiązanie, zapewni mu bezpieczeństwo, zaprowadzi do mamy i zakończy najgorszą przygodę, jaka spotkała go w jego krótkim życiu.

Finka nie miała siły stać. Upadła na kolana i płakała.

I znów usłyszała szept Sorchy.

– Już czas, już czas, już czas – powtarzała w jej głowie.

– Na co? – Finka nie rozumiała.

– Lepszej chwili nie będzie – odszepnęła Sorcha, a jajko żarptaka zaczęło parzyć skórę dziewczynki.

Finka wahała się, ale Sorcha naciskała:

– Jestem gotowa. Proszę, już czas! Czuję, jak mnie wzywają płomienie!

Dziewczynka nie powiedziała nic więcej. Wyplątała jajko z sakiewki i przez chwilę trzymała je w zaciśniętych dłoniach, a żar parzył jej palce.

– To była przyjemność opiekować się tobą – szepnęła.

– To była przyjemność poznać ciebie – odszepnęła Sorcha. – Już czas na nowe życie!

Z oddali docierało do nich wycie syren, krzyki, dźwięki silnika. I Finka wiedziała, że to ostatnia szansa, za chwilę zjawią się strażacy i zaczną gasić jej dzieło. Więc podbiegła do pożeranego przez płomienie ratusza i przez roztrzaskane okno wrzuciła do środka jajko, jakby to był mały granat.

– Uciekaj! – usłyszała krzyk Sorchy.

Posłuchała. Biegła do studni i przycupnęła za jej osłoną, zagwizdała na Sznurówkę, a ta zleciała z nieba, jakby wyczuła, że za chwilę wydarzy się coś wielkiego i groźnego, a jej mamusia jej potrzebuje.

Adalard nie miał pojęcia, co się właśnie stało ani czym dziewczynka rzuciła w płomienie, ale miał silny instynkt samozachowawczy – padł płasko na bruk, osłaniając siebie i synka skrzydłami.

Huknęło, jakby cała ziemia zadrżała, a piekło się otworzyło, wypuszczając w niebo słup żywej lawy i ognia! Cały budynek

rozjarzył się, ściany i dach pękały od gorąca jak słomki, ratusz wypalał się od środka!

A to był dopiero początek! Kolejny wstrząs zagrzechotał wszystkimi oknami na rynku i nagle... o tak! Adalard był pewien, co właśnie usłyszał! A właściwie nie słyszał! Jeszcze chwilę temu, mimo huczącej pożogi, mimo gorącego wiatru, który wył, wirując wokół ratusza, mimo pękających szyb, ścian i belek stropowych, słyszał wciąż szum silnika maszynierii. Teraz zamarł! A gdy rozległ się głośny odgłos tłuczonego szkła, demon poczuł pierwszą falę magii. Sekundę później biła ze studni jak gejzer: złota, niebieskawa, fioletowa! Niczym gigantyczny reflektor, który zmieniał noc w dzień. Niczym największa latarnia, jaką mógł sobie wyobrazić!

Wyciągnął ręce w stronę światła i energii, a złote drobinki jego magii odnajdywały go i skapywały na niego jak wiosenny deszcz.

Ptaszorz rozwinął skrzydła i wleciał w strumień magii jak w wodospad. Nurzał się w nim, odzyskując swoją moc, odwracając destrukcyjny wpływ, jaki ten świat miał na jego potęgę. I nagle mógł się zmienić! Zrzucił z siebie przebranie ptaszyska i przeciągnął się w swojej prawdziwej formie, nieskończenie długiej, zwinnej, silnej i wspaniałej! Rozwinął skrzydła na całą ich czterometrową rozpiętość i potrząsnął otoczonym pierzastą grzywą łbem. Opadł w dół, na rynek, i otoczył swoim potężnym, węzowym cielskiem swoją rodzinę, Adalarda i malutkiego Daniela, ale też dziewczynkę i smoka, którzy zakończyli ich niewolę. Bo zbliżali się ludzie i nie byli w dobrych nastrojach. Ale będą się musieli najpierw mierzyć z lewiatanem, zanim chłopcu, mężczyźnie, dziewczynce i smoczemu przedszkolakowi spadnie włos czy łuska z głowy! Poskrobał pazurami krótkich łap o kocie łby rynku i przemieścił swoje ogromne cielsko tak, że mógł stanąć oko



w oko z nadbiegającym burmistrzem i jego żoną. Łypnął na nich ogromnym, czerwonym okiem i wyszczerzył zęby wielkie jak u rekina. Był głodny, a ta dwójka wyglądała wcale apetycznie!

Ryknął, a potem zaśmiał się dudniąco, gdy nagle się cofnęli i chyba skończyły im się tematy do pogawędek.

– Wow, lewiatan! – zawołała zachwycona Finka. – Jak go zmieniłeś w Ptaszora?

– Sam się zmienił, jak inaczej mógłby się kręcić między ludźmi? Zwykle kiepsko reagują na tego przystojniaczka – powiedział Adalard i z radością poklepał łuskowate cielsko swojego pupila. Tęsknił za nim nie mniej niż za resztą swojej rodziny.

– Może nauczyć tego Sznurówkę? Żeby nie musiała tu zostawać sama, kiedy my wrócimy do domu? – zapytała dziewczynka z nadzieją.

– Jeśli tylko ta twoja smocza baryłeczka zdoła zapamiętać zaklęcie, czemu by nie – odpowiedział wesoło.

Widok magicznego gejzeru napełniał go radością. Nie musieli już budować latarni. Nie ma możliwości, by jej bliscy, jeśli jeszcze żyją, byli w stanie przegapić taki błysk. Zwłaszcza że trwał i trwał, nic nie wskazywało na to, by miał się szybko skończyć.

– Czas otworzyć drzwi – powiedział Adalard i pstryknął palcami.

I nagle cała ich piątka znalazła się w pracowni czarnoksiężnika w nawiedzonym domu na wzgórzu. A ta, wypełniona nieskończonymi zwojami lewiatana, wcale już nie wydawała się taka wielka!

Przez uchylone drzwi do tunelu wlewało się do środka jeszcze więcej magii. Całe tunele jarzyły się fiołkowym



blaskiem, a zwierciadło z ukrytymi w nim drzwiami na Ścieżkę Mgieł wydawało się go przyciągać.

Demon nie musiał nawet dotykać drzwi i szukać guziczka mechanizmu. Wystarczyło, że machnął ręką i wypowiedział jedno słówko, a powierzchnia zwierciadła zmarszczyła się i odsłoniła wejście do szarości Ścieżki Mgieł.





## ŚWIATEŁKO W TUNELU

Franek widział, że Ścieżka Mgieł wpływa na jego towarzyszy nawet w ochronnym kręgu. Zdawał się, podobnie jak rozmowy, spowalniać efekt martwej magii, ale nie był w stanie powstrzymać go całkowicie. Było mu trochę głupio, bo sam nie czuł się gorzej. Nie robił się przeźroczysty, nie wyrastał mu koci ogon, ba, po raz pierwszy od dawna nie było mu zimno. Może powinien się zastanawiać, co to właściwie mówi o jego statusie nie całkiem żywego, a może trochę bardziej niż wcale martwego chłopca, ale nie miał na to ochoty. Gdyby był inny, znajdowałiby się teraz w jeszcze gorszym położeniu. I miał tylko nadzieję, że Finka wpadła na jakieś rozwiązanie...

Nie, to brzmiało, jakby wątpił w to, że je znajdzie, pomyślał, i poprawił się: Mam nadzieję, że mamy tyle czasu, ile Finka potrzebuje, by nas uratować.

Cyrkowcy i dziadek tracili ciepło, ale też nadzieję. Siedzieli w kręgu z nosami na kwintę. Wcale nie poprawiało ich samopoczucia to, że nie byli w stanie stwierdzić, czy minęło

kilka godzin, kilka dni czy tygodni, odkąd tu są. Czas i Ścieżka Mgieł nie współpracowali i każda sekunda wydawała się rozciągać jak miękka krówka. Ale Franek wiedział, że to część tutejszej magii i nie mogło minąć wiele czasu. Broda dziadka wcale nie była dłuższa niż w dniu, kiedy zniknęli z obozu, a policzki Jewgienija nosiły ledwie błękitno-szarawy cień zarostu.

Kot zwinięty w kłębek obserwował ich wszystkich, nie zwracając sobie głowy rozmową. Ale nie umknęło mu, jak inaczej od pozostałych chłopiec reagował na Ścieżkę Mgieł. I współczuł dzieciakowi. Kiedy wszyscy przegrają tę walkę, zostanie całkiem sam. Nie wiedział, co Ścieżka Mgieł robi z małym chłopcem z martwą magią, ale cieszył się, że pewnie go już nie będzie, by się przekonać na własne oczy. Ta sama magia, która za pierwszym razem pomogła mu przetrwać wrzucenie na Ścieżkę Mgieł, nawet kosztem ludzkiego kształtu, teraz się wyczerpywała. Miał przekichane. Dlatego przykrył łapkami nos i milczał posępnie, czekając na nieuniknione.

Kiedy Franek zobaczył błysk, w pierwszym momencie myślał, że to tylko zwidy – wpatrywał się w horyzont tak intensywnie, że mogło mu się po prostu przywidzieć, ale blask nie tylko nie zniknął po tym, jak przetarł oczy, ale wręcz się nasilił, pulsował jak żywy ogień, wznosił się i opadał, mimo to nie dogasał! I Franek po prostu wiedział, że to sprawka Finki!

Poczuł to samo muśnięcie w głowie, jak w tych snach, w których przychodziła po niego, by wyciągnąć go z koszmarów. Finka znalazła sposób, by ich sprowadzić do domu!

Franek zerwał się na równe nogi i wrzasnął triumfalnie, wymachując rękami nad głową.

– Oszalał, wszystkich nas to czeka – mruknął Sylwester.

– Żeby szaleństwo było najgorszym, co przed nami – rzuciła Sarai, owijając się szczelniej rękawami tuniki. Jej drobne ciało wydawało się całkowicie stracić umiejętność produkcji ciepła.

– Zbierać się, kompanio! Wracamy do domu! – zawołał Franek, pokazując na pulsujący na horyzoncie błysk.

– Strasznie daleko – powiedziała cichutko Ważka.

– Może to tylko fatamorgana? – zapytał Jewgienij, który gdy tylko zamykał oczy, widział pod powiekami rozbłyśki światła, jakby jego magia robiła, co w jej mocy, by utrzymać go w dobrym nastroju. Zamykał oczy z ochotą i wyobrażał sobie nowe układy choreograficzne i pokazy świetlne. Budował w wyobraźni ogromne świecące kule z małych rozbłyśków, przypominające dmuchawce. Może tylko wymyślił sobie ten pulsujący na horyzoncie rozbłysk nadziei.

– To Finka! Wstawajcie, musimy iść, zanim zgaśnie! – popędzał ich chłopiec, nie rozumiejąc, czemu się nie ruszają.

– Nie powinniśmy wychodzić z kręgu, dogasniemy jeszcze szybciej – powiedziała słabym głosem Marietta.

– Musimy iść! – wrzasnął Franek, przelewając w ten krzyk całą energię. – To nie zwidy, to Finka, zrobiła coś szalonego, jak podpalenie świata albo zaprzyjaźnienie największego potwora, jakiego znalazła w okolicy, żeby nas wyciągnąć, a wy nie zmarnujecie jej wysiłków! Nie pozwolę wam na to! Nie będziecie tu siedzieć i dogasać, gdy mamy szansę wyjść z tego cało! Wstawać! W tej chwili! Albo zostawię was tu i sam pójdę!

Dziadek patrzył na niego przez chwilę w milczeniu. Nie odzywał się już dłuższy czas, jakby Ścieżka Mgieł coś w nim złamała. Ale teraz, gdy wpatrywał się we wnuka, jego oczy znów zdawały się błyszczeć życiem.

– Jesteś pewien? Że to Finka, a nie, no wiesz, światełko w tunelu, a na końcu czeka nas tylko śmierć? – zapytał poważnym tonem.

Chłopiec sapnął. Nie czuli tego tak jak on. Dla niego różnica między tym pulsującym życiem błyskiem a martwą magią była oczywista. Ale może i oni mogli to poczuć? Nie myśląc więcej, przejechał palcem po kręgu wyrysowanym w piasku. I nagle uderzyła w niego fala martwej magii. I dzikie, gorące pulsowanie błysku było czymś jeszcze bardziej obcym i niepasującym do tej szarej i pustej krainy.

– Musicie mi zaufać – powiedział więc i zrobił krok poza krąg.

Kot wreszcie wykazał zainteresowanie nowym elementem krajobrazu. Wstał, otrzepał futerko z piasku, wystawił pyszczek poza krawędź kręgu i posmakował powietrze na języku. Dzieciak miał rację! To było coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył na Ścieżce Mgieł. Czy mu się wydawało, czy wyczuł nawet odrobinę dymu w tej magii, która nie powinna się tu nigdy znaleźć, ale dawała mu cień nadziei, że to może jednak nie koniec?

Kot z gracją opuścił krąg i ruszył w stronę błysku. Był dość lekki, by nie zapadać się w piachu aż tak głęboko, jak pozostali, więc uszedł ładnych parę kroków, nim Branwen powiedziała:

– Równie dobrze możemy iść. Co nas czeka, jeśli zostaniemy? – Jej długi, czarny i lśniący jak jej warkocze ogon objął się o łydki, a oczy miała już zupełnie zielone.

Może są na świecie gorsze rzeczy niż zmiana w kota, ale wciąż – czy koty potrafią zaparzyć porządną filiżankę herbaty? Nie miała ochoty tego sprawdzać, więc podążyła za czarnym kocurem w stronę błysku.



Franek nie był pewien, czy cyrkowcy faktycznie poczuli odmienność magii błysku, czy przekonali ich kocur i Branwen, czy może po prostu nie mieli już siły, by się z nimi kłócić, a zostawać sami wcale nie chcieli, ale wszyscy wstali i maszerowali za tą dwójką i małym chłopcem, który upierał się, że za tym światelkiem w tunelu stała Finka.

To nie była łatwa wędrówka. Przedzierali się przez szarą pustynię, chwilami nic nie widząc, bo zaczęło się coś, co wyglądało na burzę piaskową – nagle całe kłęby niesionego wiatrem piachu uderzały ich w plecy i wciskały się wszędzie. Branwen i Sarai oderwały kawałki tkaniny ze swoich szat i rozdały cyrkowcom, by mogli zasłonić usta i nosy, bo oddychanie stało się trudniejsze.

Ale brnęli, mimo przeszkód, a im dłużej szli, tym wyraźniejsze było pulsowanie i żar bijący od błysku!

– Już niedaleko! Damy radę! – przekrzykiwał wiatr Franek.

Dziadek z trudem przedzierał się przez sypki piach, był tak zmęczony, że pot spływał mu po czole i plecach, ale jeśli był choć cień szansy, że wydostaną się z tego martwego piekła, nie zamierzał się poddać.

– Gdy stąd wyjdziemy, zamierzam znaleźć najlepszą restaurację w okolicy i zamówić wielki talerz placków ziemniaczanych ze śmietaną! Chrupiących, złotych i pysznych. I cały dzban ciemnego piwa z gęstą, białą pianą! I szarlotkę z cynamonem i kratką z kruchego ciasta. Z lodami i karmelową polewą. I nie, wcale nie kawałek, ale całą blaszkę! I będę ucztował, jakbym pokonał śmierć, bo tak właśnie będzie! Bo martwi nie mają planów! A ja mam! – ryknął Bączek i by podkreślić wagę owych słów i planów, poklepał się po brzuchu, jakby już robił miejsce na te wszystkie pyszności.

– Gdy stąd wyjdziemy, macie zaproszenie na pokaz świateł i magicznych fajerwerków, jakich świat nie widział! Ludzie będą o nim opowiadać wnukom, bo to będzie najpiękniejsze, co w życiu widzieli – zawołał Jewgienij.

A za ich przykładem poszli kolejni. I każdy robił plany na najbliższe dni, godziny po uwolnieniu. Nie były to wielkie plany. Czasem zakładały ogromny dzbanek herbaty albo długi, gorący prysznic i najcieplejsze skarpetki. Czasami dotyczyły przytulenia chłopca, który został sam w obozie. Bo w tej fatalnej sytuacji nie szło o wielkie plany, wielkie zmiany, rewolucje, ale o drobiazgi i te rzeczy, dla których warto było brnąć przez pustynną burzę.

– Narysuję portrety każdego z was, żebym nigdy nie zapomniał mojego lata w cyrku – powiedział Franek wzruszony.

– Jeśli narysujesz mnie z wibrykami, obiecuję zemstę straszniejszą, niż możesz sobie wyobrazić – zapowiedziała Branwen i przytuliła chłopca, jakby chciała mieć pewność, że wie, że tylko żartowała.

Nagle zamarła, dostrzegając poruszający się przed nimi ciemny kształt. Franek też go zauważył i wyczuł dziwną magię, która wirowała wokół tamtego jak ciemna chmura.

– Kim jesteś? – zawołał chłopiec, stając między obcym a gromadą cyrkowców.

– Kimś, kto ma dopilnować, byście trafili do drzwi. Finka przesyła pozdrowienia – powiedział mężczyzna.

Wybuch dzikiej radości przebił nawet wycie wiatru i szum przesypującego się wszędzie piachu.

– No, kompanio, ostatni wysiłek, już niedaleko – powiedział obcy i kiwnął, by szli za nim.

Wspinali się na wydnię, a kiedy stanęli na jej wysokim grzbiecie, błysk zmienił się w morze światła, a w nim wyraźnie było widać ramę zwierciadła, w którym osadzono przejście między światami. Dzieliło ich od nich może kilkaset metrów i pokonanie stromej wydmy, ale teraz we wszystkich wstąpiła nowa energia. O wiele łatwiej dać z siebie wszystko, kiedy widać już metę!

– Kto ostatni na dole, ten gapa! – zawołał Jewgienij i skoczył, turlając się i fikołkując aż na sam dół wzniesienia!

Pozostali nie zamierzali zwlekać i wkrótce wszyscy turlali się w dół wydmy, zbyt stromej, by nogi nie zapadały się po kolana. Zjeżdżali na pupach, jakby to wcale nie była góra piachu na Ścieżce Mgieł, ale zaśnieżony pagórek. Baltazar Bączek położył się na wydatnym brzuchu i zjechał z górki na pazurki, wołając całą drogę „JUHU! JUHU!”.

I kiedy wszyscy byli już na dole, zarumienieni i roześmiani, nieznajomy mężczyzna powiedział:

– Takich harców na Ścieżce Mgieł nikt nie pamięta. A teraz ostatni krok, zanim ta mała podpali coś jeszcze, bylebyście mieli swoją latarnię.



## WRESZCIE RAZEM!

Finka siedziała na podłodze przed zwierciadłem, z Danielem po jednej stronie, Sznurówką po drugiej i Ptaszorem wypełniającym każdą przestrzeń, jaka pozostała w pracowni. Łuskowate, a gdzieniegdzie pierzaste cielsko lewiatana stałe było w ruchu, widziała mięśnie poruszające się pod skórą, falowanie jego boków w oddechu. Przeciągał się stale, jakby próbował się znów odnaleźć w swoim naturalnie wielkim ciele po latach zatrzaśnięcia w ciele niewielkiego ptaka. Wyczuwał też zdenerwowanie małego demona i dziewczynki, która rozpoczęła reakcję łańcuchową przywracającą ład rzeczom: Ptaszorz znów był wielki i potężny, Adalard się odnalazł, a chłopiec nie płakał cały dzień w swojej sypialni. Wszystko zmieniło się na lepsze, więc Ptaszorz czuł się nieco niespokojny teraz, gdy ta dwójka gryzła palce ze stresu, bo czy to aby nie była zmiana jedynie chwilowa? Czy istniało ryzyko, że wkrótce wszystko pryśnie i znów będzie musiał się pomieścić cały

w malutkim ptaszysku? Na samą myśl jego cielsko falowało, przepływało w zwojach i pętlach wokół pracowni.

– A jeśli tatuś znowu zniknie? – szepnął cicho Daniel i wtulił buzię w rękaw bluzy Finki. – Albo wcale nie wrócił, a mnie się tylko coś śni i zaraz się obudzę? – dodał po chwili, bo miał już takie sny i przebudzenie z nich było po prostu najgorsze na świecie.

– Twój tata jest potężnym demonem i wie, co robi. Przeprowadzi ich. I na pewno nie śpisz – powiedziała Finka i delikatnie uszczypnęła go w wierzch dłoni.

Daniel zachichotał i znów przytulił się do dziewczynki. Była taka ciepłutka. I dotrzymała słowa wtedy, więc może i teraz będzie tak, jak mówi?

Czekali. Finka wiedziała, że jest za wcześnie, by się niepokoić. Według zegarka minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd Adalard przeszedł przez zwierciadło, by sprowadzić jej bliskich. Dziesięć minut to naprawdę niewiele. Ale to samo dziesięć minut po drugiej stronie mogło być nieskończenie dłuższe.

I nagle poczuła znajomą obecność! Zimną mackę, która pacnęła jej świadomość. Zupełnie jakby znów byli malutkimi dziećmi, a Franek złośliwie przykładał do jej ciepłutkiej łydki swoją lodowatą stópkę i dyszał w ucho: „Chcesz szoka? Masz szoka!”. Zerwała się na równe nogi, wsadziła głowę w falującą fioletowym glutem powierzchnię i wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak mogła:

– MARCO!

I nie minęły trzy sekundy, a usłyszała odpowiedź:

– POLO!

– FRAAANEEEEK! – wrzasnęła znów, a już po sekundzie usłyszała:

– FINKAAAA!

I nagle ich zobaczyła! Wszystkich! Szli, jakby mieli za sobą wiele dni wędrówki i ciągnęli resztką sił, ale szli! Franek wyrwał się z grupki i biegiem dotarł do niej, i już złapała go za rękę, i wciągnęła przez zwierciadło do pracowni! Ściskali się bez słowa, a łzy moczyły im policzki. Po chwili Finka odsunęła brata na odległość wyciągniętych rąk i uważnie mu się przyjrzała. Był cały. Błady, zmęczony, ale cały. Odwdzieczył jej się równie czujnym spojrzeniem.

– Nowa fryzura? – zapytał rozbawiony i odruchowo złapała kilka przypalonych kosmyków. Nawet nie zauważyła, kiedy to się stało w całym tym szaleństwie. A chłopiec dodał: – Widziałem twoje światło, wielkie, jakbyś podpaliła cały świat.

– Na szczęście dla świata wystarczyło spalenie ratusza – powiedziała. Nie dodała, że gdyby trzeba było spalić cały świat, by go ściągnąć, cóż, tym gorzej dla świata. O rzeczach oczywistych się nie mówiło. – To Daniel, to on był tym przerażającym demonem z nawiedzonego domu na wzgórzu – przedstawiła chłopca, który stał nieśmiało, chowając się za jej plecami.

– No to faktycznie wzięłaś na siebie najgorszą część zadania – prychnął Franek.

– Cicho, bo cię poszczuję lewiatanem. – Wskazała na ogromną bestię otaczającą całą pracownię.

– Oczywiście, że nie obyło się bez potwora – zaśmiał się i znów uściskał siostrę. W jego życiu roiło się od pytań i niepewności. Ale Finka była wykrzyknikiem i wiadomą, którą można było wpisać w każde równanie jako pewnik.

A potem pomogli przedostać się przez zwierciadło pozostałym: dziadkowi, Branwen, Jewgienijowi, Sarai, Ważce, Sylwestrowi, Marietcie, siostrom Kamenow i klaunowi



Karolowi. Potem jednym dzikim susem do środka dostał się wielki, czarny kocur. A na końcu wszedł Adalard i mrugnął do Finki, jakby bez słów powiedział: dotrzymałem obietnicy!

Dotrzymał! I Finka musiała go za to przytulić, choć wielkie skrzydła trochę przeszkadzały, a demon tylko parsknął śmiechem i poklepał ją po plecach, mówiąc:

– No już, już, nie psuj mi reputacji.

– Adalard, na wszystko, co święte, czy możesz przestać się roztkliwiać i z łaski swojej mnie odczarować? – burknął czarny kot, drapiąc o podłogę długimi pazurami.

– Adaś? – zapytał Adalard zdezorientowany.

– No przecież, że nie Święty Mikołaj! – burknął kot i patrzył na niego z pretensją.

Adalard kucnął przed zwierzęciem i wyszeptał zaklęcie, przesuwając nad czarnym futrem dłonią. Przez chwilę nic się nie działo. Kot z frustracją miauknął i błysnął zębami na demona, jakby robił mu wyrzuty, że ten się nawet nie stara. Ale prawie w tym samym momencie jego futerko zaczęło połyskiwać złotymi iskierkami.

Nagle błysk zrozumienia pojawił się w zielonych oczach kota i ten śmignął, jakby miał ogon w płomieniach. Przeskakując nad zwojami ciała lewiatana, wypadł z pracowni i usłyszeli łomot, gdy wpadł w całą kolekcję halabard i krzesel, które za drzwiami ustawił Daniel. Do ich uszu dotarła wiązanka przekleństw, a potem głośne, zupełnie niekocie tupanie na schodach.

– Co się stało wujkowi? – zapytał zdezorientowany Daniel.

– Przypomniał sobie, że za sekundę czy dwie obdarzyłyby wszystkich zebranych widokiem swojego nagiego zadka, i mu się głupio zrobiło – powiedział rozbawiony Adalard.

– Ja też tak poproszę! – zawołał Jewgienij, wymachując ogonem i uzbrojonymi w pazury dłońmi.

– Z wami nie trzeba zakłęcia, transformacja się nie skończyła. Dajcie swoim ciałom chwilę, a dotrze do nich, że już nie są na Ścieżce Mgieł i ciągle żyją. To samo dotyczy tych przeźroczystych – dodał demon, zerkając na siostry Kamenow.

– A gdzie Prosiaczek? Na pewno umiera z głodu! – powiedział klaun Karol.

I to przypomniało Fince, że to wcale jeszcze nie koniec. Ale zanim wspomniała o tym Adalardowi, wrócił czarnoksiężnik Adam. Wcale nie był podobny do swojego brata, Stanisława Wyciorka. Wysoki, chudy jak szczapa, ze sterczącymi wokół głowy czarnymi włosami, wkroczył do pracowni w powiewającej wokół niego ciemnofioletowej szacie czarnoksiężnika narzuconej na dresowe spodnie i wełniany sweter.

– Adalard, czy możemy już zrobić w tym mieście porządek? Zbyt długo mu to wszystko uchodziło na sucho – powiedział ostrym tonem.

– A możemy wyjechać, zanim zaczniecie wojnę? – zapytała uprzejmie Branwen.

– Nie będzie żadnej wojny. To zajmie mi kilka minut. A potem zajmiemy się waszymi problemami. I zjemy porządny posiłek. Wymagający pieczenia i przypraw, nigdy więcej surowych gryzoni – dodał czarnoksiężnik.

– No nie brzmi to źle, muszę przyznać – oświadczył Baltazar.

Nie mógł się nacieszyć tym, że przeżyli. I że ma obok siebie oboje wnucząt. Wprawdzie wnusia podejrzenie pachniała spalenizną, a ostatnie przygody dowiodły, że wnusio jest tak nie do końca żywy, ale nie zamieniłby ich na żadne inne

dzieciaki. Pech? Też mi coś, żaden pech mu niestraszny, bo ta dwójka zawsze znajdzie rozwiązanie!



## NOWE PORZĄDKI

Nie było to kilka minut, ale faktycznie, czarnoksiężnik uporał się z bratem zaskakująco szybko. Ale w sumie to Finka, Sznurówka i Sorcha wydajnie mu w tym pomogły, spalając ratusz i niszcząc maszynę magiczną w podziemiach.

Nigdy by nie pomyślała, jak wiele zależało od tych wirników, trybików, szklanych kul i silnika, tymczasem kilka godzin od zniszczenia maszyny miasto i burmistrz po prostu nie byli sobą. A właściwie – byli sobą w całej boleśnie brzydkiej i absolutnie prawdziwej formie!

Ale po kolei!

Tunele były po wybuchu częściowo zasypane, więc musieli dotrzeć na rynek górą, przespacerować się przez główną ulicę miasteczka. Sznurówka wzbiła się w powietrze, a za nią sunął gigantyczny skrzydlaty wąż, niczym pierzasty latawiec z niekończącymi się zwojami kolorowego ogona. Finka zapatrzyła się na tę dwójkę odcinającą się od jaśniejszego świtem nieba. Nie mogła uwierzyć, że to już ranek.

Jeszcze bardziej nie mieściło się jej w głowie, że to ledwie doba, odkąd obudzili się w obozie, z którego zniknęli wszyscy dorośli. Czas płynął dziwnie w tym miasteczku, w którym nawet drzewa myślały, że to już jesień. Była zmęczona i wyczerpana emocjonalnie, ale nie zamierzała przegapić ostatniego aktu tej historii. Nie wiedziała, co planowali czarnoksiężnik i demon, ale miała nadzieję, że burmistrzowi i jego żonie pójdzie ostro w pięty za wszystko, co ona i jej przyjaciele przeszli z ich winy.

W teorii nie musieli iść z nimi. Mogli zostać w domu i opędzłować zapasy słodyczy Daniela, który chętnie by się podzielił czekoladkami i cukierkami, ale nikt nie chciał tkwić sam w domu, nie w głowie im też było się rozdzielać, w grupie czuli się nieco pewniej. Mały demon nie zamierzał już spuścić taty z oka po tym, jak bardzo się bał, gdy ten poszedł po przyjaciół Finki na Ścieżkę Mgieł.

Finka obawiała się, że gdzieś po drodze natkną się na całą armię mieszkańców z widłami i pochodniami, a to wcale nie jest jeszcze kres tej morderczej przygody, ale ledwie wkroczyli do miasteczka, zrozumiała, że nic nie było takie, jak sądziła.

Po najładniejszym miasteczku Rubieży nie został nawet ślad!

Zniknęły wszystkie dekoracje, światełka, przybranie, dynie, wieńce, ozdoby werand i trawników, jakby jednym pstryknięciem palców ktoś zniknął wszystkie objawy Halloween w tym miejscu! Co więcej – domy wcale nie były już śliczne, zadbane i zamieszkane! Wiele chyliło się ku upadkowi, widzieli zapadnięte dachy, obłazące z farby fronty, zbutwiałe i zawalone schodki i werandy, zabite dyktą okna i rynny wiszące na ostatnich gwoździach! Nawet ogrody i przydrożne drzewa były w fatalnym stanie, pozarastane, zaniedbane, często

niepodlewane od tak dawna, że trawniki wyglądały jak klepisko.

Co więcej – cała ulica sprawiała wrażenie wymarłej. Nie widzieli ani śladu ludzkiej obecności! Jakby od lat miasteczko było całkiem opuszczone.

Czarnoksiężnik szedł na czele małego pochodu i zgrzytał zębami tak głośno, że słyszeli go wszyscy. Adalard podążał za nim, pozornie zrelaksowany, ze skrzydłami ciasno zwiniętymi za plecami. Szedł wolno, by Daniel bez trudu za nimi nadążył. Dalej postępowali Branwen, Jewgienij, Baltazar, bliźniaki, Sylwester i reszta trupy. Rozglądali się, oszołomieni tym, jak naprawdę wyglądało miasteczko.

– Leniwy łajdak – mruknął tylko czarnoksiężnik, gdy Baltazar zapytał, jak to możliwe, że w ciągu kilku godzin miasteczko tak podupadło.

Demon był nieco bardziej rozmowny.

– Kilka godzin temu wyglądało tak samo. Po prostu cała Dąbrówka spowita była urokiem i magią, którą produkowała maszyna. Niszcząca pod nimi, bo nikt nie dbał o domy i resztę. To nie było zaklęcie na lata. To miał być tylko jeden, absolutnie wyjątkowy dzień, prezent urodzinowy dla Daniela, idealne i śliczne miasteczko halloweenowe, jak w bajkach.

– A ludzie? Spotkaliśmy ich wczoraj, dawali nam cukierki.... Czemu te domy są całkiem puste? – zapytała Branwen.

Demon wzruszył ramionami.

– Nie zawsze na czas zjawiali się turyści. Czasami burmistrz poświęcał mieszkańców. Przez ponad trzy lata okazji do tego nie brakowało.

– Ale myśmy widzieli mnóstwo ludzi! Na przyjęciu, na zebraniu w ratuszu – wtrąciła Finka.

– Magia generowała im statystów, żeby nie było widać, jak wielu żywych stracili. A skoro maszyna już zniszczona,



a zaklęcie prysło, została pewnie garstka prawdziwych ludzi.

Sylwester zagwizdał cicho pod nosem. Cała ta historia nie mieściła mu się w głowie. Gdyby w jakiejś karczmie zaczął ją opowiadać podróżnym, jak nic wzięliby go za wariata albo zapytali, czy nie zjadł jakichś podejrzanych grzybków, czy nie wypił aby za dużo cydru. Wierzył w magię, nie inaczej, wszak sam był bestiarem i maestrem magicznego cyrku. Ale przez większość życia miał do czynienia z tą małą magią, oswojoną, niekoniecznie widowiskową, małego zasięgu i łatwą do zrozumienia, wytłumaczenia, pojęcia. A nie z demonami, zaklęciami zmieniającymi całe miasteczko, czarnoksiężnikami i urokami tak pokreconymi, jak to, przez które wciąż miał słoniowe uszy wciśnięte pod szapoklak czy przez które Baltazar Bączek zamienił się ciałami z Prosiaczkiem. Wcale mu się ta pełna rozmachu i dziwaczna magia nie podobała, chętnie wróciłby do czasów, kiedy tylko o niej słyszał w karczmach i sam był pierwszy, by wykrzyknąć: „Bujda, panie, czy to aby nie nadmiar cydru przemawia?”. Czuł, że coś się zmieniło też w nim, i nie był pewien, jak się z tym wszystkim ma, poza tym, że wcale nie był z powodu tych zmian zadowolony.

Objął ramieniem Mariettę, milczącą prawie bez przerwy, odkąd wrócili ze Ścieżki Mgieł, i zastanawiał się, jak mógł przegapić pewne rzeczy. I Olga i Katerina Kamenow – niby wiedział, ale zupełnie nie rozumiał, jak bardzo zaboląła je zmiana, którą przeszedł cyrk. I to było coś, nad czym musiał pomyśleć.

Gdy doszli do rynku, oczom ich ukazały się wciąż płonące zgliszczą ratusza. Burmistrz, jego żona i może pięć innych osób polewało je wodą z węża podłączonego do hydrantu, ale były wciąż tak gorące, że strugi wyparowywały wielkimi kłębami, a płomienie, dziwnie błękitno-różowe, wcale nie przygasały.

– Stasiek, kanalio, co żeś zrobił z naszym miasteczkiem? – ryknął Adam.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, z szatą rozwiewaną przez wiatr i wyglądał jak postać z komiksu superbohaterskiego.

Najwyraźniej nie tylko miasteczko straciło urodę i powab. Burmistrz też wyglądał zupełnie inaczej – zostały resztki podobieństwa, więc mogli go rozpoznać, ale był niższy, mniej atletyczny, wcale nie złotowłosy i kompletnie nie przystojny. Właściwie wyglądał jak ropucha, która czekała jeszcze na pocałunek mający zamienić ją w księcia. Jego żona też się zmieniła, nie była już tak młoda, za to przypominała Frankowi to, jak zwykle przedstawiano w książeczkach dla dzieci Babę Jagę, z jasną pajęczyną włosów sterczących jej wokół głowy, jakby od lat się nie czesała i schludną fryzurę, makijaż i czyste ubrania zawdzięczała wyłącznie magii, która teraz zniknęła.

Burmistrz na chwilę zastygł w szoku, jakby brat był ostatnią osobą, którą spodziewał się spotkać (i tak zapewne było, skoro żył w przekonaniu, że go zabił), a potem jego spojrzenie przeskoczyło na Adalarda i skrzywił się nienawistnie. Może myślał, że demon wciąż jest przykuty w podziemiach płonącego ratusza?

– Ja? To ty zniszczyłeś wszystko! Było pięknie! Turyści przyjeżdżali! Ale nie! Musiałeś zniszczyć maszynę, zabrać nam magię, ty egoistyczna szujo! Zawsze wolałeś potwory od ludzi, od własnego miasteczka, własnej rodziny! – wybuchł wściekłą tyradą.

– Może mieszkańcy miasteczka zagłosują, jak bardzo są zadowoleni z twoich rządów? A nie, nie mogą, bo wszystkich zabiłeś! – odparł czarnoksiężnik.

– Nie wszystkich! Ciągłe mogą głosować! – zawołał jego brat.

Młody urzędnik, starsza kobieta, która wcześniej chciała przygarniać Ulę, oraz mężczyzna, którego Finka rozpoznała jako tego, który zadawał liczne pytania na zebraniu, wypuścili z rąk węża strażackiego i cofnęli się o krok. Strumień wody opadł i już nie leciał na płonący budynek, ale zbierał się kałużą na pokrytym gruzem rynku.

I nagle Finka usłyszała szept:

– Już czas...

– Padnij! – wrzasnęła i rzuciła się na kolana, zasłaniając głowę.

Nikt z cyrku nie pytał, o co chodzi. Po ostatnich przygodach po prostu przywarli do ziemi. Adalard pociągnął Adama w dół i zasłonił skrzydłami synka.

Nagle dogasające zgliszcza zmieniły się w ogromną kulę ognia! Wielka kopuła z krwistoczerwonych i złotych płomieni wypełniła cały wypalony szkielet budynku i wzbiła się wyżej o dwa lub trzy piętra. Rosła, rosła, aż prysła jak bańka mydlana z ognia i żaru! A w niebo wzbił się żar-ptak, wspaniały, ogromny i potężny. W niczym nie przypominał drobnej i wychudzonej po latach niewoli Sorchy! Jej pióra mieniły się jak złoto i płomienie, a długi ogon był wściekle czerwony i rozkładał się szeroko jak u pawia.

– Wspaniała! – jęknęła Finka, nie mogąc uwierzyć, że tak ogromny i wspaniały stwór wyłonił się z jajka, które było dość małe, by zmieścić się w kieszeni!

– Dziękuję, Finko! Za wszystko – szepnęła jej w myślach Sorcha i wzbiła się w niebo.

Ptaszorz, wyraźnie zainteresowany nowym stworzeniem w okolicy, podfrunął, wijąc się swoim węzowym ciałem, w jej stronę, ale wystarczyło, że rozłożyła swoje sześciometrowe skrzydła i otoczyła się żarem dość gorącym, by spalić pióra zbyt wścibskich lewiatanów, a nabrał rozsądku i dystansu.

Za to Sznurówka nic sobie z gróźb nie robiła! Podleciała naprawdę blisko i dmuchnęła ogniem i dymem na powitanie. Sorcha zaśmiała się, jakby opowiedziała jej najlepszy żart.

I odleciała, zostawiając za sobą oszołomionych ludzi, czarowników i demony, niepewnych, czy naprawdę widzieli żartaka, choć podobno są już wymarłe, czy może tylko im się przyśniło!

A potem wszystko, co zostało z budynku ratusza, zawaliło się z głośnym trzaskiem, niczym domek z kart, który złożył się do środka.

Burmistrz załamał się razem z nim, jakby budynek był symbolem jego władzy nad opustoszałym miasteczkiem. A wtedy Adalard powiedział:

– Pamiętasz, jak mówiłem, że kiedyś los się odmieni i zapłacisz za to, co mi zrobiłeś?

Tego było już burmistrzowi za wiele. Złapał pod ramię swoją żonę i próbował się nią zasłonić jak tarczą. Pacnęła go dłonią i szturchnęła łokciem, odsunęła się gwałtownie i powiedziała:

– Mnie w to nie mieszaj!

– Za późno, Amelio, sama się w to wmieszałaś – zauważył czarnoksiężnik Adam.

A potem pokręcił głową i powiedział do Baltazara:

– Szkoda moich nerwów na tych tutaj. Nie przeżyją jednego dnia. Chodźmy do waszego obozu i odczarujmy tych śpiochów.







## POBUDKA, ŚPIOCHY!

Cyryl starał się trzymać fason, ale prawie się popłakał z ulgi, kiedy zobaczył dziadka i ciocię Mariettę. Bał się, że już nigdy nie wrócą i będzie całkiem sam. Ula pobiegła do Baltazara.

– Dziaduszka znów jest niedźwiedziem i nie może się obudzić! – powiedziała przerażona.

– Zaraz się tym zajmiemy, kochanie – uspokoił ją i wchłonął resztkę magii z ochronnego kręgu.

Podczas gdy całe miasteczko pogrążyło się w rozkładzie i ruinie, obóz wyglądał dokładnie tak, jak wczoraj. Podniszczone przyczepy i kampery, stary autobus, kilka mniejszych i większych pojazdów. Dwójka dzielnych dzieciaków, które utrzymały solidny krąg, zasłużyła na fanfary.

Baltazar Bączek podążył za Ulą do miejsca, gdzie spały tygrysy, niedźwiedź i Prosiaczek. Dzieciaki nie miały dość siły, by zawlec ich do przyczep, ale okryły wszystkich kocami. Branwen i czarownik szli za nim i to ona od razu rozpoznała



zakłęcie. Odetchnęła z ulgą, bo nie tylko je znała i wiedziała, jak je zdjąć, ale też nie było groźne i nie mogło zrobić śpiochom krzywdy.

Wyspali się za wszystkie czasy. I zamierzała nie raz i nie dwa żartować sobie z Maxa, że przespał wszystko, gdy oni tu walczyli o życie, wędrowali Ścieżką Mgieł, mierzyli się z demonami i miasteczkiem, które składało ofiary z ludzi. Znała tygrysa od dawna i wiedziała, że nic nie zirytuje go bardziej niż to, że ominęła go chryja.

Szybko przygotowała paski pergaminu z zaklęciem i spaliła je nad śpiącymi. Kilka sekund i pochrapywanie zmieniło się w mlaskanie, a to w ziewnięcie i przeciąganie się. A potem zmiennokształtni gwałtownie przybrali swoje ludzkie formy. Futro zniknęło w ułamku sekundy. Dziadek przewidująco rzucił im ich cyrkowe szlafroki, w których paradowali za kulisami, zanim zmieniali się na okoliczność występu.

– Co się tu dzieje? – zapytał Max.

Simona usiadła gwałtownie i rozejrzała się dookoła, przyciskając do siebie jedwabny szlafrok. Dziaduszek Niedźwiedź zawsze wracał do ludzkiej postaci wolniej, ale miał tę przewagę, że nigdy nie pojawiał się z gołym tyłkiem, więc i teraz stał w kalesonkach i podkoszulku, drapiąc się po brodzie. Nic nie pamiętał, nic a nic. Zaniepokoiło go to poważnie. Bo zwykle pamiętał. Chyba że miał swoje humory i atak złości. A to znaczyło, że mógł komuś zrobić krzywdę.

– Uła? – zawołał, a jego wnuczka prześlizgnęła się pod ramieniem Baltazara i wtuliła w szeroką klatkę piersiową dziadka.

– Wszystko dobrze, dziadziu, po prostu pospałeś – powiedziała cicho, a on westchnął z ulgą i pogłaskał ją po złotych włosach.

Prosiaczek obudził się z głośnym kwiknięciem rozpacz. Chrumkał w panice, aż poczuł, że Karol podnosi go z ziemi i mocno przytula. Prosiaczek natychmiast się uspokoił. A więc to, że coś zaczarowało Karola i go zabrało z przyczepy, to był tylko sen, zły sen. Okropny, prawie jak ten, w którym zniknęły wszystkie pomidorki koktajlowe na świecie.

Wtulił się ryjkiem w szyję Karola i wydał pełne miłości pochrumkiwanie.

– Czy możemy już jechać? – zapytał cicho Cyryl. Miał dosyć tego miasta.

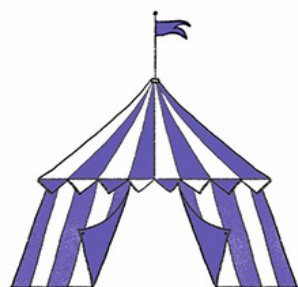
– Zapraszam wszystkich do mnie, mój dom wszystkich pomieści. Potrzebujecie odpoczynku. I musimy porozmawiać – powiedział czarnoksiężnik poważnym tonem.

– O czymś konkretnym musimy porozmawiać? – najeżył się zaniepokojony Baltazar.

Chyba nie będzie mu tu imputował odszkodowania za pożar czy inne bzdury?

– No nie wiem, może o nagrodzie, którą powinniście dostać za uratowanie mnie, mojego przyjaciela i jego synka? – odpowiedział rozbawiony czarnoksiężnik.

– A, to zmienia postać rzeczy – zgodził się łaskawie Baltazar.



## EPILOG

Spędzili w nawiedzonym domu na wzgórzu trzy dni. Wypoczywali, jedli, niektórym zniknęły kocie ogony, uszy i wibrysy, inni nabierali cielesności.

Finka i Sznurówka uczyły się od Ptaszora zaklęcia zmieniającego postać, dzięki czemu Sznurówka nie wyglądała już jak smoczątko rozmiarów sporej beczułki, ale jak duży wąż zbożowy, pięknie miedziany, z ciemniejszymi cętkami, zupełnie jak wtedy, kiedy była smoczym oseskiem i okręcała się wokół nadgarstka Finki niczym bransoletka. Teraz była dużym wężem, ale nie mniej słodkim. Na początku utrzymywała przebranie tylko przez minutkę, a potem wybuchała całym swoim brzuszkiem i skrzydełkami, ale ćwiczyli i ćwiczyli, a jej szło coraz lepiej.

Ptaszorz chwalił postępy uczennicy zadowolonymi prychnięciami. Finka nie posiadała się ze szczęścia. Bo to oznaczało, że kiedy nadejdzie pora powrotu do domu, nie będzie musiała Sznurówki zostawiać, jeśli ta zechce z nią iść!

Oczywiście nastanie czas, kiedy będzie dużo za dużym smokiem, aby się pomieścić w domu, ale nim do tego dojdzie, miały jeszcze mnóstwo czasu.

Za to powrót do domu wydawał się nieuchronny.

Okazało się, że mama przeczytała wiadomość, którą Finka zostawiła w notesie korespondencyjnym tak na wszelki wypadek po tym, jak wszyscy dorośli zniknęli, a ona szła na spotkanie z nieznanym i potencjalnie niebezpiecznym demonem. I wcale nie była zachwycona tym, jakie przygody spotykają jej bliźniaki. Prowadziła na ten temat dosyć burzliwą korespondencję z Baltazarem i najwyraźniej ustalili, że pobyt dzieciaków w cyrku należy nieco skrócić. Za to dziadek resztę wakacji miał spędzić z nimi w domu.

– A cyrk? A elfy? – zapytała zaniepokojona dziewczynka, kiedy zakomunikował im dalsze plany.

– Cyrk robi sobie chwilę przerwy. Dzięki nagrodzie od Adama i Adalarda możemy sobie na to pozwolić. I to nie tylko dlatego, że mam z wami jechać na drugą stronę Bramy na kilka tygodni. Rozmawialiśmy. Ja, Sylwester, pozostali. Musimy się poważnie zastanowić, jak właściwie chcemy widzieć przyszłość naszego cyrku. Wszystkie zmiany, wymuszone konkursem połączenie, a potem ta chryja z Gają... nie mieliśmy czasu porozmawiać, bo zmarnowaliśmy go na kłótnie. To nikomu nie służy. I zabija coś z atmosfery cyrku, a to dla niej to wszystko robimy. Nie chodzi o pecha, ale o to, że zgubiliśmy w tym całym zamęcie coś ważnego i musimy się za tym stęsknić, żeby to znów znaleźć. I musimy mieć dość dobry plan, by zechcieli do nas wrócić ci, którzy odeszli, albo by dali się zwerbować nowi. Co to za cyrk bez orkiestry? Co to za cyrk bez akrobatów? Trzeba się czasem zatrzymać i zastanowić. I to jest ten moment.

– Ale to nie koniec cyrku? – zapytała cicho Finka.

Wiedziała, że krążyły szeptaki, że ona i Franek przynoszą pecha. Gdyby ich wizyta miała doprowadzić do rozwiązania trupy, cóż, byłoby w tym więcej prawdy, niż chciałyby przyznać.

– Nie, na pewno nie. Wszyscy kochamy cyrk i długo bez niego nie wytrzymamy. Ale musimy go sobie wymyślić na nowo. A skoro pieniądze nie są już naszym zmartwieniem, dzięki Adalardowi i czarnoksiężnikowi, cóż, grzechem byłoby nie skorzystać z tej okazji, by stworzyć coś wspaniałego – wyjaśnił dziadek. – A elfy... Dla nich kilka tygodni to jak mrugnięcie okiem. Wrócimy, zanim się spostrzegą. I nadal będziemy jednym cyrkiem. Jeszcze lepszym.

Franek spędzał większość dnia z czarnoksiężnikiem. Rozmawiali o Ścieżce Mgieł i o śmierci. Chłopak miał swoje pytania, a czarnoksiężnik nie wydawał się żadnym z nich zaniepokojony, zaskoczony czy zmartwiony. Franek nosił w kieszeni złotą monetę, którą dostał od demona – wedle jego słów mogła pomóc mamie wyzdrowieć – a w drugiej kamyk, który wyniósł ze Ścieżki Mgieł, na wypadek gdyby miał tam wrócić. To była jego mała kotwica.

Dąbrówka w ciągu kolejnych dni obumarła nawet bardziej. Ale czarnoksiężnik i demon mieli już jakiś plan. Szykowali ogłoszenia, które miały zwabić osadników chętnych do rekonstrukcji miasteczka i dania mu nowej przyszłości. Najwyraźniej turystyka demoniczna była dużo bardziej przewidywalna niż ta ludzka i to mogła być jasna przyszłość Dąbrówki.

Jewgienij został w miasteczku dłużej. Chciał naprawić zarwany most, który obudził w nim trolla i ducha rodzinnych tradycji. A skoro cyrk miał wolne, a on urlop, równie dobrze

mógł się tym zająć. Nigdy nie powiedziałaby o tym swojej rodzinie, ale sprawiało mu to całkiem sporo radości. Oczywiście nie na tyle, by zrezygnować z cyrku i świateł, ale przypomniało mu te lepsze chwile z młodości. Bo tak naprawdę nigdy nie miał nic przeciwko mostom. Po prostu nie chciał spędzić pod nimi całego życia.

Najdziwniejsze, że Pajęczycza nigdy się nie obudziła. Nikt nie pamiętał, czy Branwen spaliła i nad nią pergamin, ale pewnie tak, czemu miałyby tego nie robić? Baltazar przewiózł jej przyczepę bliżej czarnoksiężnika, który zapewnił, że będzie ją miał na oku, jak długo okaże się to konieczne. I z całą pewnością będzie liczył okoliczne dzieci.

Ale tych jakiś jeszcze czas nie będzie w miasteczku zbyt wiele! Zuzia i jej rodzice wyjechali. Okazało się, że te dwa koty, które nie odstępowały jej na krok, to byli jej mama i tata, którzy podobnie jak czarnoksiężnik wydostali się ze Ścieżki Mgieł w kocich futrach. I nigdy nie zapomnieli, kim są i kim jest ich Zuzia, więc odwrócenie czarunku było możliwe. Być może trochę potrwa, zanim pozbędą się pcheł, ale to doprawdy drobiazg w porównaniu z całą tą awanturą. Adam odnalazł ich samochód i rzeczy w jednym z magazynów brata, wypłacił im sowite odszkodowanie i życzył miłej podróży, kiedy nie zwlekając nawet minuty, zechcieli opuścić miasteczko.

Reszta czarnych kotów niestety była już tylko kotami. Nie pamiętali o swojej ludzkiej części, więc zdjęcie uroku nie było możliwe. Pozostałe dzieci mogły wybierać, czy chcą zostać w Dąbrówce, czy wolą poszukać pozostałej rodziny. Połowa została. Nawet stare duchy już nie szwendały się po ulicach, bo Adam pomógł im wrócić na Ścieżkę Mgieł, skąd zassała je wcześniej maszynierka.



Dąbrówka nigdy nie wyglądała gorzej, ale też od lat nie miała lepszych perspektyw niż teraz. I nie wymagała poświęcania turystów, by zachować swój urok. Nie przeszkadzało w snuciu planów i to, że czarnoksiężnik był biegły w alchemii i potrafił wytworzyć złota, ile dusza zapagnie – a z pełną kiesą o wiele łatwiej wypłacać odszkodowania i snuć dalekosiężne plany odbudowy i rewitalizacji miasteczka.

– Kiedy wrócicie do nas w przyszłym roku, już będzie dużo lepiej. Za kilka lat będziemy waszym ulubionym miasteczkiem do odwiedzania – zapewnił, ściskając na pożegnanie prawicę Baltazara Bączka.

– Może myślicie, że to pech was tu przywiódł, ale mój syn zawsze będzie mówił, że przyjechaliście tu szczęśliwym trafem – powiedział Adalard, żegnając się z Finką.

Daniel wcale nie chciał, by wyjeżdżała. Pocieszało go tylko trochę to, że za kilka tygodni będzie dość silny, by wrócić do domu, do mamy i do braciszka. Może mały wcale nie będzie takim utrapieniem i będą się mogli razem bawić?

Kiedy Baltazar Bączek opuszczał granice miejskie Dąbrówki, oczy mu się nieco szklily. Czuł, że coś się kończyło, jakiś etap jego życia. Ale to tylko oznaczało, że czeka go kolejny, jeszcze lepszy.

Im bliżej był Bramy do realnego świata, tym gorliwsze układał przemówienia, mające przekonać jego córeczkę, że bliźniakom nic nigdy – nie, naprawdę – nie zagrażało. Powtarzał to sobie tak długo, aż sam uwierzył na tyle, by nie wyniuchała, że odrobinę mijał się z prawdą. Ale też nie ma co duszki zamartwiać. Cała ta terapia szła świetnie i perspektywy rysowały się znakomite, więc po co to psuć, zamartwiając się o coś, co już było i minęło? Przecież jego

wnuki przednio się bawiły. Urosły, zmądrzały, dojrzały przez te kilka tygodni. A że nie zawsze było łatwo i lekko? No takie już są Rubieże, życie i magia.

